

POLITYKA WIRUSA
Podziały utrudniają
walkę z pandemią

NIEDORZECZNIK
W głowie urzędnika
od praw dziecka

SIŁACZKA W KOŚCIELE
Jak ministerstwo
cenzuruje psycholożkę

TACO I PORTER
Zestaw muzyczny
na koniec lata

CZAS NA GÓRY
Każdy znajdzie
szczyt dla siebie

Kraków 20 września 2020 nr 38 (3715)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

HANNA KRALL

Życie z pamięci

DODATKI

- FESTIWAL CONRADA 2020
- PAMIĘĆ SYBIRU



6.

Festiwal

im. Zygmunta Haupta

Gorlice 23–27.09.2020

6th Zygmunt Haupt Festival



festiwalhaupta.pl

Organizatorzy



Instytut Kultury
ALMA-ART

GCK
Gorlicki Centrum Kultury

GORLICE
miasto kultury



Patronat medialny

Wyborcza



Pismo

Gorlice
Gorlicki Media Center

HALO GORLICE



Sponsor



Dofinansowanie

ZAiKS

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



”

Jestem przekonany, że gdyby Jezus chodził teraz po świecie, stałby właśnie z osobami LGBT, bo to one są najbardziej marginalizowane.

O. JAMES MARTIN SJ

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, CZAS, NADZIEJA, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają Autorzy i Autorki „Tygodnika” oraz ich wybitni rozmówcy.

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego” dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie

TYGODNIK
POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY WYDANIA



RME
Classic

KS. ADAM

Boniecki: Pytania Hanny K.

W TYM NUMERZE – HANNA KRALL! PISZĘ o tym, bo nie jest ona szczodra w udzielaniu wywiadów. Tym bardziej pamiętamy, że rzadko, bo rzadko, ale jednak czasem zaszczycała nas swoimi tekstami. Ja wspominam z dumą, że napisała dla „Tygodnika” recenzję opracowanego przeze mnie „Kalendarium życia Karola Wojtyły”, o czym wspomina w wywiadzie, zresztą pochwaliła się tym samemu świętemu JPII.

Nie pierwszy raz – ale od przeczytania zamieszczonej w tym numerze rozmowy z Anną Goc intensywniej niż zwykle – zadaję sobie pytanie: w czym leży sedno fenomenowi pisarstwa Hanny Krall? „Królowa polskiego reportażu powraca. Już wkrótce premiera nowej książki Hanny Krall” – tak Wydawnictwo Literackie zapowiedziało ukazanie się jej nowej książki pt. „Synapsy Marii H.”. „Królowa polskiego reportażu”? Ładnie i zasłużenie, lecz nawet królewski tytuł nie odpowiada na moje pytanie. No i wcale nie jestem przekonany do zamykania jej nowej książki w przegródce z napisem „Reportaże”. Ona sama powie: „To moja najdziwniejsza reporterska książka”, na co rozmówczyni odpowiada, że „można ją czytać jak wiersze amerykańskich poetów faktu”. Rzeczywiście, tę niewielką książkę można tak właśnie czytać. Jednak dla autorki, która nie podejmuje tematu użytego w tym przypadku rodzaju literackiego, to wciąż jest „reporterska książka”. Przedziwny to reportaż, oparty na tysiącach listów, które w ciągu ostatnich 50 lat od Marii H. do Hanny K. płynęły najpierw pocztą, potem faksem, wreszcie mailem. O powstaniu książki zdecydował – mówi Krall – fakt, że matka męża Marii była nie tylko w getcie, lecz także na Umschlagplatzu, że przynajmniej dwukrotnie powinna była umrzeć, a uszła z życiem.



Może to rzeczywiście zdecydowało ostatecznie o powstaniu książki, ale nie sędzę, że wyłącznie. Krall spotkała to, czego od wielu lat szuka i znajduje: człowieka „ze specjalnym rodzajem pamięci”, bo normalny człowiek „przegapia wszystko, a dopiero przy końcu życia rozumie, ile przegapił”. Może sednem fenomenowi Krall jest utrwalanie tego, co zapisała specjalna pamięć, pamięć zapisana w synapsach. Wyjaśniła to Annie Goc: „to mózg stworzył mosty między przeszłością i dniem dzisiejszym. Przeszłość zostawiła ślady w synapsach, połączeniach między komórkami nerwowymi”. Bo Hanny Krall tropi, odkrywa i spisuje to, co się zachowało w synapsach pamięci jej rozmówców, a także w postpamięci, czyli w pamięci drugiego pokolenia. Słucha, zgłębia, spisuje – ale myliłby się również ten, kto w Hannie Krall widziałby tylko strażnika pamięci. Bo sednem jej pisarstwa nie jest (mistrzowski) zapis przenikliwego, empatycznego kronikarza. Nie jest spisywanie księgi pamięci. Sednem jest uporczywe i obecne we wszystkich książkach Krall odwieczne pytanie, kiedyś sformułowane przez św. Augustyna: *unde malum?* Skąd zło? Św. Augustyn odpowiadał po prostu, że zła nie ma. Dla niego zło jest brakiem dobra, a natura, stworzona przez Boga jako dobra, została zepsuta.

Hanna Krall wie swoje. Mówi: „Zło nie jest marginesem. Zło jest pełnoprawną częścią ludzkiego losu... Mówienie, że istnieje tylko dobro, jest szkodliwe, bo nie przygotowuje na spotkanie ze złem. A ludzie powinni być przygotowani...”. I pyta: „Skąd się bierze zło, skąd się bierze dobro?”. Wyznaje: „To mi nie daje spokoju”.

Biada tym, którym to pytanie spokoju nie zakłóca. ©P



85. urodziny obchodzi JOACHIM TRENKNER

– nasz wieloletni autor, przyjaciel i stały współpracownik. Dziennikarski weteran, w czasach zimnej wojny publicysta mediów niemieckich i amerykańskich, przez MSZ RP odznaczony honorową odznaką Bene Merito.

Joachimie, w Twój jubileusz przyjmij podziękowania za wszystkie Twoje teksty i za to, że jesteś wzorem dziennikarstwa najwyższej klasy. A przede wszystkim za cierpliwą przyjaźń. Twoja obecność na naszych łamach to także dowód, że ludzka przyjaźń ma moc obalania barier, które niestety wciąż dzielą ludzi i narody.

Żyj długo, pisz dużo i wiedz, że w Krakowie przy Wiślniej 12 masz zawsze swoje miejsce.

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Artykuły Joachima Trenknera: powszech.net/trenkner

TEMAT TYGODNIKA

12 Życie z pamięci
ROZMOWA
Z HANNĄ KRALL,
REPORTERKĄ:
Pomysł, że istnieje tylko dobro, jest szkodliwy, nie przygotowuje na spotkanie ze złem. A ludzie powinni być przygotowani.



27 Pigułka autodestrukcji
ANNA GOLUS,
PRZEMYSŁAW
WILCZYŃSKI
Koronawirus, wraz z chaosem w szkołach i falą problemów dzieci, mógł być dla ich rzecznika Mikołaja Pawlaka trampoliną do kariery. Okazał się końcówką równi pochyłej.



44 Pochwała konsekwencji
WOJCIECH KONOŃCZUK
Protesty na Białorusi zaktywizowały dyskusję o polskiej polityce wschodniej. Zbiegają się one z 20. rocznicą śmierci Jerzego Giedroycia. A przecież na myśli „Kultury” wciąż opiera się nasza doktryna wobec Europy Wschodniej.



34 Siłaczka
ARTUR SPORNIAK
Trudno sobie wyobrazić, gdzie bez Ewy Kusz byłby dziś polski Kościół, gdy chodzi o walkę z nadużyciami seksualnymi wobec małoletnich.

96 Nieprzychylnie piosenki
ROZMOWA
Z JOHNEM PORTEREM,
MUZYKIEM:
Może wartościowe rzeczy rodzą się w trudnych warunkach? Dobry czas to brak pomysłów.



110 Góry w koronie
BARTEK DOBROCH
Na najbardziej znanych polskich szczytach spokój i cisza są rzadkie i sezonowe. Najlepiej szukać ich jesienią.



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. WYDAWCA

GRZEGORZ KRZYŻEWSKI / REPORTER // MAKSYMILIAN RIGAMONTI / FORUM // ANNA WILK DLA „TP” // BARTEK DOBROCH // ROBERT ŁASKA // SERGEI SUPINSKY / AFP // EAST NEWS

6 Putin za plecami Łukaszenki
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ /
PAWEŁ ŚPIEWAK /
O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ KRAJ

22 COVID, czyli racja stanu
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ
KOSSOWSKĄ I JAROSŁAWEM
GÓRNIAKIEM
*Jakie są społeczne i polityczne
wnioski z ostatnich miesięcy?*

27 Pigułka autodestrukcji
ANNA GOLUS, PRZEMYSŁAW
WILCZYŃSKI

31 Granice współczucia
ANDRZEJ STANKIEWICZ:
*Jarosław Kaczyński i ratunek
dla zwierząt*

■ WIARA

34 Siłaczka
ARTUR SPORNIK

38 Przytulisko
MARCIN CHODUŃ
*o tarnowskiej Fundacji
Kromka Chleba*

40 Rozstania z doktryną
JÓZEF MAJEWSKI:
*Jak meandruje nauczanie Kościoła
w dziedzinie etyki społecznej*

■ ŚWIAT

44 Pochwała konsekwencji
WOJCIECH KONOŃCZUK

48 Tatuaz z jaskółką
AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z SALONIK:
*Mówią, że Mama Rosa
to najlepsza kobieta na świecie*

DODATKI SPECJALNE



71 Magazyn Conrad

Oto pisarze i pisarki, z którymi będziemy rozmawiać podczas tegorocznego Festiwalu Conrada pod hasłem „Wizualne i niewizualne”.

Piszemy o belgijskiej debutantce Adeline Dieudonné, czeskiej prozaičce Biance Bellovej, norweskim powieściopisarzu Royu Jacobsenie, turecko-brytyjskiej autorce Elif Shafak oraz rosyjskiej poetce i prozaičce Marii Stiepanowej, a także rozmawiamy z irlandzką eseistką Emilie Pine.

57 Pamięć Sybiru

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER 70 WOJCIECH BONOWICZ
108 JAN KLATA 109 PAWEŁ BRAVO
114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: HANNA KRALL
FOTOGRAFIA: ANDRZEJ WIKTOR dla Dekalogu Wartości
DEKALOGWARTOSCI.COM
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

**50 Czego Ameryka
boi się bardziej**
MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN
DIEGO: *Epidemia, kryzys, zamieszki
na ulicach i rządy Trumpa*

53 Tygrysie wdowy
MARTA SAWICKA-DANIELAK
Z BENGALU ZACH.: *Samotne
kobiety na groźnych wyspach*

■ HISTORIA

62 Pseudonim „Ważny”
KRZYSZTOF TARKA:
*Jak emigracyjny polski premier
okazał się agentem komunistycznego
wywiadu*

■ NAUKA

66 Megakonstelacja
DARIUSZ AKSAMIT o pożytkach
z ciemnego nieba

69 Jak się dobrze zachować
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
*Pod wodami Bałtyku odkryto
czterystuletni drewniany statek*

■ KULTURA

96 Nieprzyzwoite piosenki
ROZMOWA Z JOHNEM PORTEREM

101 Prawdziwsze od prawdy
PIOTR KOSIEWSKI:
*Prace Małgorzaty Mirgi-Tas
są próbą opowiedzenia
o Romach przez Romów*

104 Łańcuszek nieszczęścia
MONIKA OCHĘDOWSKA:
Dwie nowe płyty Taco Hemingwaya

106 Zamrożeni w czasie
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Może pora z tym skończyć”

108 Osobistość
LEKTOR o książce „Klub”
Matildy Voss Gustavsson

■ ZMYŚŁY

110 Góry w koronie
BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Bunt społeczny na Białorusi jest piękny, słuszny i romantyczny. Ale niesie ze sobą też wiele trudnych pytań i wątpliwości – pisze w cyklu **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Lato w nauce [Podkast Powszechny]

Niezniszczalny materiał. Kamerka, która mieści się na plecach chrząszcza. Nowe badania nad pochodzeniem glazów w Stonehenge. I wszystkie rośliny Nowej Gwinei – na przegląd wydarzeń naukowych zaprasza **ŁUKASZ ŁAMŻA** powszech.net/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

A photograph showing a woman in the foreground, seen from the back and side, wearing a red and white cape that mimics the Belarusian national flag. She is looking towards a line of riot police in the background. The police are wearing helmets and carrying shields, standing in front of a blue riot vehicle. The scene is set on a paved street in an urban environment.

OBRAZ
TYGODNIA

PUTIN ZA PLECAMI ŁUKASZENKI

Choć represje wciąż rosną, białoruski reżim
nie jest w stanie wygasić masowych protestów społecznych.

WOJCIECH KONOŃCZUK

JEŚLI WŁADZE BIAŁORUSKIE MIAŁY NADZIEJĘ, że Białorusini w końcu zmęczą się protestowaniem, to każdy kolejny tydzień jest dowodem, jak bardzo się myliły. Ostatni weekend potwierdził, że w społeczeństwie utrzymuje się wielki potencjał gniewu, a działania reżimu nie są w stanie go osłabić. Zaczęło się od sobotniego marszu kobiet, który w całym kraju zgromadził ok. 20 tys. uczestniczek. W niedzielę w samym Mińsku protestowało co najmniej 100 tys. ludzi. Tysiące wyległy również na ulice innych miast.

Reżim niezmiennie nie wykazuje chęci do dialogu i stopniowo powraca do represji.

Za ich stosowanie odpowiedzialni są zamaskowani mężczyźni w cywilu, wspierani przez funkcjonariuszy bez znaków rozpoznawczych, którzy urządzają łapanki na protestujących. Władze w istocie posunęły się do działań o charakterze bandyckim. Ich brutalność z każdym kolejnym dniem rośnie – ponownie dochodzi do bicia, używane są granaty hukowe, armatki wodne, oddawane są strzały w powietrze. Na marszu kobiet jego uczestniczki były targane za włosy, zaciągane do więźniarek, gdzie rzucano je na podłogę jak kłody. W weekend zatrzymano znacznie powyżej tysiąca osób, a w dni powsze-

*Demonstracja
przeciw
białoruskiemu
reżimowi,
Mińsk,
13 września 2020 r.*

dnie, gdy protesty odbywają się na znacznie mniejszą skalę, do aresztów trafia 200–300 osób. Represje mają zatem dużą skalę i niewielkim pocieszeniem jest fakt, że w ciągu pierwszych czterech dni protestów brutalność sił porządkowych była znacznie większa.

Przemocy towarzyszyły działania skierowane na sparaliżowanie działalności siedmioosobowego prezydium Rady Koordynacyjnej opozycji. Z centrum Mińska porwana została Marija Kalesnikowa, jej członkini i jedna z kluczowych liderek ruchu protestu. Białoruskie służby próbowały wywieźć ją na Ukrainę, uznając, że za granicą będzie mniej groźna. Okazało się jednak, że trafiła kosa na kamień. Kalesnikowa przed przekroczeniem granicy podała swój paszport, udaremniając ten plan. W odpowiedzi trafiła do aresztu. Teraz tej dzielnej kobiecie grozi kilka lat więzienia. W sąsiednich celach już przebywa trójka innych członków Rady Koordynacyjnej, dwójka kolejnych jest za granicą. Na wolności pozostaje jedynie noblistka Swietłana Aleksijewicz, której Łukaszenka najwidoczniej boi się ruszyć.

Działania reżimu nie tyle wpływają na wyciszenie protestów, ile – na odwrót – przyczyniają się do ich utrzymywania czy nawet wzrostu. Gniew ogarnia kolejne grupy społeczne – od nauczycieli akademickich po piłkarzy. Masowe zrywanie przez funkcjonariuszy flag biało-czerwono-białych, łącznie z włamywaniem się na prywatne balkony, czy zamalowywanie antyreżimowych murali utwierdzają Białorusinów w przekonaniu, jak bardzo anachroniczny jest Łukaszenka. Natychmiast zresztą pojawiają się nowe flagi i nowe murale.

Protesty odbywają się pokojowo i nie widać oznak ich radykalizacji. Jednak mimo ich długości i masowości nadal nie osiągnęły żadnego ważnego celu politycznego. Władze udają, że demonstracje nie robią na nich wrażenia, i próbują manifestować, że wewnątrz są monolitem. Powstała sytuacja państwa zawłaszczanego – reżim chce utrzymać władzę pomimo delegitymizacji i masowego buntu społecznego. Droga do zwycięstwa ruchu protestu byłaby łatwiejsza, gdyby za plecami Łukaszenki nie stał Putin. To Rosja stała się główną podporą białoruskiego reżimu, obawiając się, że masowe protesty Białorusinów staną się inspiracją dla Rosjan. ©

Moria spłonęła, lecz działa nadal

TEN OBÓZ NIE POWINIEN BYŁ ISTNIEĆ dłużej niż kilka miesięcy, które wystarczyłyby na ewakuację syryjskich uchodźców, w latach 2015–16 przyplływających tysiącami na grecką wyspę Lesbos. Nie powinien był istnieć w formie, która szefa Międzynarodowej Federacji Towarzystw Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycza zmusiła do przyznania: „Dla człowieka to miejsce nie do życia”. Maurice Joyeux, jezuita, który oprowadzał tu papieża, mówił „Tygodnikowi”, że choć podczas wojen i rebelii pomagał w obozach w Rwandzie czy Darfurze, czegoś takiego jak Moria nie widział nigdy.

To nie ograniczenia logistyczne, lecz polityka zdecydowała o tym, że przez lata na dwóch małych wzgórzach z gajami oliwnymi, bez dostępu do bieżącej wody, latem pełnych kurzu, a zimą błota, mieszkało czasem nawet po 20 tys. ludzi zdanych na często heroiczną pomoc wolontariuszy, organizacji pozarządowych i ubezwłasnowolnionej tu w praktyce ONZ. Obóz niemal w całości spłonął w minionym tygodniu (na zdj.), być może podpalony przez mieszkańców – dochodzenie trwa. Wcześniej – po tym, gdy wykryto tu pierwszy przypadek COVID-19 – greckie wojsko otoczyło go kordonem. Przez ostatnie miesiące na Lesbos rosło napięcie między uchodźcami i migrantami a mieszkańcami wyspy – nikt, kto tu był, nie miał wątpliwości, że kiedyś dojdzie do katastrofy. Pierwsza, spontaniczna reakcja na pożar rzecznika greckiego rządu („niektórzy nie szanują państwa, które ich gości”) zabrzmiała więc jak wyjęta z dramatu Mrożka.

Teraz, tydzień po wielkim ogniu, tysiące ludzi wciąż śpi pod gołym niebem, a pomagający im spotykali takich, którzy nie jedli od dwóch, trzech dni. Dystrybucję żywności miało organizować wojsko, ale się wycofało. Dyskutuje się o przyszłości – i migranci, i Grecy nie chcą budowy nowego obozu. Ale poza symbolicznym gestem paru krajów Europy – przyjęcia kilkuset dzieci-uchodźców z Morii – zapewne zmieni się niewiele.

W 2020 r. Moria była już bardziej obozem imigrantów niż uchodźców – połowę jej mieszkańców stanowili Afgańczycy (także z Iranu, gdzie od czasu sowieckiej inwazji osiedliło się ich kilkaset tysięcy); żyło tu też wielu Kongijczyków i Kameruńczyków, którzy do sąsiedniej Turcji dotarli samolotami. Syryjczykiem był co piąty – choć turecki prezydent Erdoğan wciąż przekonuje Europę, że to on trzyma ją w szachu, na przemian otwierając lub zamykając granice właśnie dla uchodźców z Syrii.

Niezależnie jednak od statusu mieszkańców – który w niczym nie umniejsza ich tragedii ani skandalu istnienia samego obozu – Moria i podobne, mniejsze miejsca na wyspach Samos i Kos powinny być dla nas na Zachodzie czymś więcej niż powodem do wstydu. Właśnie za sprawą Morii pierwszy raz od wielu dekad zorientowaliśmy się, że w Europie powstają miejsca, w których pewne grupy ludzi traktuje się inaczej niż inne, ograniczając ich prawa człowieka oraz lekceważąc godność. Kiedy kilkanaście tysięcy ludzi traci dach nad głową, z ust polityków płyną zwykle słowa kondolencji. Po pożarze Morii zaległa cisza. Tak wielki kłopot z przyznaniem, że jej mieszkańcy należą do Europy już od pierwszych chwil, gdy dobili pontonami do brzegów Lesbos, to zła wiadomość i koszmarny prognostyk – dla nas wszystkich. © P. MARCIN ŻYŁA



ANGELOS TZORTZINIS / AFP / EAST NEWS



J. KOEHLER / EAST NEWS

Nord Stream skażony nowiczokiem

OTRUCIE rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego wstrząsnęło fundamentami niemieckiej polityki zagranicznej. Berlin jeszcze w czasach ZSRR przyjął zasadę, by za wszelką cenę utrzymywać dialog z władzami Kremla. Na zmianę tej taktyki nie wpłynęła ani wojna w Gruzji w 2008 r., ani aneksja Krymu i zbrojne destabilizowanie wschodu Ukrainy, trwające od 2014 r. Niemieckie władze, owszem, angażowały się dyplomatycznie, aby minimalizować skutki neoimperialnej polityki Rosji, ale równocześnie politycznym parasolem osłaniały projekt budowy drugiej nitki gazociągu Nord Stream po dnie Bałtyku. Jeśli prace zostaną dokończzone, to do Niemiec popłynie jeszcze więcej gazu ziemnego wydobywanego przez Gazprom. Pieniądze zasilą budżet autorytarnego reżimu.

Przewiezienie Nawalnego na leczenie do Niemiec zwiększa zainteresowanie jego sprawą tutejszej opinii publicznej. Najważniejsi politycy, w tym szef MSZ Heiko Maas i kanclerz Angela Merkel, już podali w wątpliwość dokończenie budowy Nord Stream 2. Niemcy żądają od Rosjan wyjaśnienia, kto stoi za próbą morderstwa najgroźniejszego przeciwnika Władimira Putina. Spełnienie tych żądań może być niemożliwe, jeśli zleceniodawcą zasiada na Kremlu.

Ewentualna blokada projektu narazi Berlin na wypłatę miliardowych odszkodowań. Utrudni transformację energetyczną kraju, bo zwiększone dostawy gazu miały ułatwiać zamykanie elektrowni atomowych i węglowych i przechodzenie na czyste źródła energii. Rozjuszy też Rosję, uzależnioną od sprzedaży surowców. To wszystko nie leży w interesie Niemiec. Z drugiej strony w żadnym innym kraju UE nie podkreśla się tak często, że od partykularnych profitów państwa ważniejsza jest europejska solidarność. Niemcy stoją przed decyzją, która zdefiniuje ich rolę na kontynencie.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Kto ma kierować na testy

MACIEJ MÜLLER



LICZBA DZIENNYCH ZAKAŻEŃ SARS-CoV-2 w Polsce, pod koniec sierpnia zbliżająca się do tysiąca, w ostatnich dniach spadła o blisko połowę. Epidemia w odwrocie? Bynajmniej. Ministerstwo Zdrowia deklaruje, że dzienny potencjał laboratoriów sięga 60 tys. testów, tymczasem liczba badanych próbek ledwo przekracza 20 tys. Odsuwając na bok spekulacje, że to celowa polityka mająca ukryć wzrost zakażeń po otwarciu szkół, wskazać trzeba na skutki strategii nowego ministra Adama Niedzielskiego. Narasta spór resortu zdrowia z lekarzami podstawowej opieki zdrowotnej: to na POZ przesunięto obowiązek wysyłania na testy potencjalnych zakażonych. W dodatku po obowiązkowym osobistym badaniu.

Po protestach Porozumienia Zielonogórskiego i innych organizacji ministerstwo cofnęło się o krok: można na test wysłać po teleporadzie, ale tyl-

ko jeśli u pacjenta występują naraz cztery objawy, z dusznościami włącznie. Lekarze rodzinni zwracają uwagę, że wcześniej na testy kierowali przecież pracownicy sanepidu, niemający nawet wykształcenia medycznego. Podkreślają, że w ich gabinetach brak odpowiedniego sprzętu ochronnego, a tym bardziej pomieszczeń mogących służyć odizolowaniu potencjalnych zakażonych. Poczekalnie łatwo staną się więc ogniskami infekcji, a wirus zagraża także im samym: fala zakażeń wśród lekarzy POZ może prowadzić do paraliżu całego systemu (teoretycznie załatwia się tu 80 proc. potrzeb zdrowotnych).

Lekarze zapowiadają kierowanie potencjalnych zakażonych do szpitali. Nie skorzystali na razie z „opcji atomowej”, czyli deklaracji niepodpisania kontraktów na kolejny rok. Ostatnio sięgnęli po nią na przełomie 2014/15 r., rzucając na kolana próbującego ostro negocjować ministra Arłukowicza. ©

Z frontu walki z pandemią

REINFEKCE. Media obiegała informacja o ponownym wykryciu SARS-CoV-2 u kobiety z Bytomia uznanej wcześniej za ozdrowieńca. Jednak bytomski sanepid nie zalicza tego przypadku jako reinfekcji. Według szefowej sekcji epidemiologii wynik dodatni przeprowadzonego testu świadczy jedynie o obecności „pozostałości materiału genetycznego nieaktywnego już wirusa”. Do tej pory na świecie potwierdzono kilka przypadków ponownej infekcji koronawirusem. W Hongkongu u jednego pacjenta wykryto wirusa innego pod względem genetycznym od tego, którym zaraził się 4,5 miesiąca wcześniej. Druga infekcja była bezobjawowa, ale nie jest to reguła. W Nevadzie stan ponownie zarażonego pacjenta znacznie się pogarszał.

SZCZEPIONKI. Naukowcy z Uniwersytetu Oksfordzkiego i firmy AstraZeneca

wstrzymali prace nad szczepionką na koronawirusa, ale po kilku dniach ruszyły one ponownie. Było to związane z niepokojącymi objawami, jakie wystąpiły u jednego ochotnika. Standardem w przypadku takich badań jest zatrzymanie podawania szczepionki kolejnym ochotnikom do czasu wyjaśnienia związku objawów z preparatem. Według „New York Timesa” u pacjenta rozpoznano poprzeczne zapalenie rdzenia, którego objawy nie pokryły się jednak czasowo z podaniem szczepionki – dlatego testy mogą być kontynuowane.

GRYPA. 31 sierpnia zakończyła się zima na półkuli południowej – a wraz z nią wyjątkowo łagodny sezon grypowy. Jak podaje „Economist”, w latach 2015-19 w Australii co roku notowano średnio 86 tys. przypadków grypy, a w tym roku zachorowało zaledwie 627 osób. Spadła zarazem liczba przeprowadzonych testów – ale tylko o 20 proc. To pokazuje, jaką moc ma mycie rąk, noszenie maseczki i stosowanie się do zasad izolacji społecznej.

© BARTOSZ KABAŁA

KRAJ W SKRÓCIE

PRACA DLA POSŁA

Onet sprawdził, czym zajmują się b. posłowie PiS, którzy znaleźli się poza Sejmem: blisko połowa ma dobrze płatną pracę w spółkach Skarbu Państwa lub organach administracji.

RUCH DLA POSŁANKI

Związana dotąd z Lewicą Hanna Gill-Piątek została pierwszą parlamentarzystką ruchu Polska2050 Szymona Hołowni.

MUZA DLA PREZYDENTA

A co z ruchem Rafała Trzaskowskiego? Na razie wiadomo, że ma być bardziej taneczny. „Moje miasto, weź to pod uwagę. Puść odrobinę funku na chwilę, bo tu wszyscy chcą zrobić wam krzywdę” – powiedział prezydent Warszawy do DJ-a w jednym ze stołecznych klubów, namawiając go do zmiany muzyki.

RURA DLA ŚCIEKÓW

Blisko 3 mln m³ ścieków trafiło już do Wisły w związku z awarią warszawskiej oczyszczalni Czapka.

Na rzece wojsko zbudowało most pontonowy, na którym powstaje awaryjny rurociąg.

KOLEJKA DLA ZDROWIA

Zaledwie 10 proc. zapowiadanych przez resort zdrowia szczepionek przeciw grypie trafiło dotąd na rynek – w części aptek powstały w związku z tym listy zapisów.

LICZBA TYGODNIA

51,8

mld zł.

O tyle w II kwartale br. wzrósł dług publiczny, czyli łączna wartość zadłużenia aparatu państwowego, samorządów i spółek Skarbu Państwa. Deficyt sektora finansów publicznych sięgnie w tym roku 12 proc. PKB.



OMAR AL-HALABI

PRAWIE DWA LATA trwała walka o sprowadzenie do Polski i udzielenie azylu rodzinie dziennikarza Omara Al-Halabiego, który w dotkniętej wojną Syrii był za swoją pracę więziony i torturowany. Organizatorzy akcji, dziennikarze Karolina Baca-Pogorzelska i Piotr Czaban, zostali uhonorowani Nagrodą Specjalną polskiego Press Clubu „za człowieczeństwo i solidarność zawodową”. ©P

Pogotowie nadopiekuńcze

REKORD TO SZEŚĆ LAT – jedna trzecia dzieciństwa. Tyle przebywał najdłużej podopieczny w pogotowiu opiekuńczym. „Obecny system pieczy zastępczej nad dziećmi w sytuacjach kryzysowych jest nieskuteczny i dopuszcza praktyki niezgodne z ustawą” – ustaliła Najwyższa Izba Kontroli.

Co to są pogotowia? Stanowią część tzw. pieczy zastępczej – przeznaczonej dla dzieci, którymi z jakiegoś powodu nie mogą zajmować się rodzice biologiczni. W tym systemie pogotowia (instytucjonalne albo rodzinne) mają najbardziej interwencyjny charakter – trafiają tu dzieci odebrane z rodzin w trybie nagłym. Czasem głodzone, często bite, zawsze przerażone. O dowolnej porze – nawet czwartej nad ranem – bo trzeba było je ratować. Do miejsca, które wedle polskiego prawa ma być tymczasowe (wyłączając wyjątkowe sytuacje, do trzech-czterech miesięcy).

W Polsce – ustaliła NIK – tymczasowe nie jest. Dzieci przebywają tu średnio 8,5 miesiąca. Co więcej, zdarza się, że te najmniejsze trafiają – wbrew prawu – do placówek. Przyczyna ta sama od lat: brakuje rodzin zastępczych, także tych interwencyjnych. Powiaty nie radzą sobie z pozyskiwaniem kandydatów, państwo samorządu nie wspiera. Cierpią dzieci: z przytaczanych przez NIK badań wynika, że „wydłużony pobyt (...) w placówkach opiekuńczych i rodzinach zastępczych wpływa na spowolnienie ich rozwoju fizycznego i emocjonalnego, powoduje też deficyty umiejętności społecznych, w tym dotyczące funkcjonowania w rodzinie”.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PiS upaństwowi szpitale. Na początek?

22 LATA TEMU rząd Buzka zmienił ustrój Polski z centralistycznego na samorządowy. Częścią reformy było stworzenie powiatów i zmniejszenie liczby województw. Samorządy m.in. otrzymały zadania związane z zarządzaniem szpitalami – odpowiednio: powiatowymi i wojewódzkimi. Operacja udała się tylko częściowo, choć trudno za to obwiniać samorządowców: ochrona zdrowia jest źle finansowana, finanse wielu samorządów, zwłaszcza powiatów, również pozostawiają wiele do życzenia, a w sprawach zdrowia decyzje zapadają w rządzie i parlamencie.

Zjednoczona Prawica ma ponoć receptę – zabierze szpitale samorządom i porządkuje ministrowi zdrowia lub wojewodom.

PiS nigdy nie ukrywał, że o najważniejszych kwestiach publicznych powinien decydować rząd. Rząd, oczywiście, PiS – a nie samorządy, których znacząca część jest w rękach opozycji. A gdy szpitale już będą w rękach rządu, co prawda zadłużać się nie przestaną, ale przynajmniej ich dyrektorzy nie będą głośno domagać się zwiększenia kontraktów. Bo się ich, zwłaszcza, wymieni. © MAŁGORZATA SOLECKA



ARCHIDIECEZJA ŁÓDZKA

PIERWSZA PUSTELNICZKA w blisko stuletniej historii archidiecezji łódzkiej złożyła śluby pustelnicze na ręce abp. Grzegorza Rysia. Uroczystość odbyła się w domku pustelni we wsi Żar na terenie parafii Trójcy Świętej w Kraszewicach k. Bełchatowa. S. Anuncjata Piętko (w szarym habicie) przez 34 lata była felicjanką. „Chcę, żyjąc w tej pustelni, czynić obecnym żar Bożej miłości” – wyjaśniała istotę nowego powołania. ©©

Rycerze z czerwonymi krzyżami



TEMPLARIUSZ

KATOLICCY TEMPLARIUSZE WŁOCH w uroczystej procesji weszli 12 września na teren Watykanu. Członkowie stowarzyszenia kontynuującego tradycję średniowiecznego zakonu zajmują się przede wszystkim działalnością charytatywną, ale także odno-

wą starych kościołów i szeroko pojętą „obroną wiary”. W kurii starają się o oficjalne uznanie jako zakon; zgodę sekretarza stanu kard. Pietra Parolina na sobotnią procesję i modlitwę w kościele św. Anny przyjmują za dobrą monetę.

Współcześni rycerze powołują się na odkryty w 2001 r. dokument z Chinon. To wyrok procesu templariuszy przeprowadzonego przez papieża: w odróżnieniu od wyników śledztwa króla Francji Filipa IV Pięknego oczyszczał zakonników z zarzutu herezji. Papież Klemens V, człowiek słaby i chorowity, zależny politycznie od króla Francji, nie zdecydował się jednak na ogłoszenie tego wyroku i w 1312 r. wydał dekret kasujący zakon. Wielki mistrz Jakub de Molay zginął na stosie, część rycerzy, którzy przeżyli tortury i uwięzienie, przeszła do joannitów bądź zakonów hiszpańskich, a większość zakonnych skarbów zagarnął Filip.

Spadkobiercy tradycji jednego z trzech najważniejszych zakonów krzyżowych uważają odtworzenie go przez Kościół za konieczność wynikającą z dziejowej sprawiedliwości.

©© MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POMIESZANIE

„W naszej ocenie w stanowisku KEP dochodzi do pomieszania języków: teologicznego z psychologicznym i medycznym. Dochodzi pośrednio do zanegowania współczesnej wiedzy medycznej na temat ludzkiej seksualności oraz dorobku specjalistów zajmujących się ludzką płciowością i seksualnością” – czytamy w liście otwartym psychoterapeutów, psychologów i psychiatrów nt. stanowiska episkopatu w sprawie osób LGBT+. List dostępny jest na stronie petycjeonline.com.

DYSTANS

Polska Federacja Ruchów Obrony Życia i Rodziny (PFROŻiR) wyraziła „zdecydowany sprzeciw wobec wszelkich form agresji i przemocy w przestrzeni publicznej i ekonomicznej, niezależnie od tego, kto jest za nią odpowiedzialny”. W oświadczeniu zaznaczono m.in., że niepotrzebne i sztuczne jest łączenie tematyki LGBT z ochroną ludzkiego życia.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Na 133 lata więzienia skazał hiszpański sąd płk. Inocente Orlando Montano za wydanie rozkazu zamordowania jezuitów w 1989 r. w Salwadorze. Podczas ataku na jezuicki Uniwersytet Ameryki Środkowej bojówka wojskowego reżimu zamordowała osiem osób (6 jezuitów – w tym 5 Hiszpanów, kucharkę i jej 15-letnią córkę). USA zgodziły się na ekstradycję pułkownika.



ANNA GOLUS,

współautorka tekstu o rzeczniku praw dziecka Mikołaju Pawlaku (s. 27), będzie rozmawiać z Agnieszką Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w czwartek 17 września o godz. 16.00. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Biblia jako kamień do rzucania

PIOTR SIKORA



NA ULICACH WARSZAWY ZAWISŁY billboardy z cytatami biblijnymi, które – w zamyśle zleceniodawców, Roty Niepodległości – mają przeciwstawić się „nachalnej ideologii LGBT”. Wybrane fragmenty głoszą m.in., że kobieta nie powinna nosić ubioru mężczyzny (i na odwrót), że współzycie homoseksualne to zboczenie, albo że Sodome i Gomorę spotkała zagłada jako kara za bezbożność. Akcja pokazuje, czym kończy się próba prowadzenia walki kulturowej za pomocą wyjętych z kontekstu kawałków Pisma Świętego.

Można bowiem pokazać, że w czasie, gdy powstawał fragment o zamianie odzieży, mężczyźni chodzili w tunikach, a jeśli ktoś nosił spodnie – to kobiety; ubiór jest silnie uwarunkowany kulturowo. Jak wskazała Papieska Komisja Biblijna, grzech Sodomy i Gomory polegał na zamknięciu serca i bram przed przybyszami; współcześnie podobną winę zaciągają ci, którzy nie chcą przyjąć uchodźców i migrantów, wzniecając strach przed obcymi.

Wielu biblistów przekonuje, że tak-że stosunki homoseksualne potępiane przez św. Pawła nie były trwałymi, partnerskimi relacjami wzajemnej miłości – a więc że tego potępienia nie można w prosty sposób odnieść do współczesnej sytuacji.

Tak czy inaczej – widać, że Biblii nie można traktować jako zbiornika cytatów, lecz trzeba czytać uważnie, uwzględniając kontekst każdej księgi, intencję autora i całą historię objawienia. Nie uwzględniając tych kryteriów, można narazić się na śmieszność (wyobraźmy sobie męską część Marszu Niepodległości w tunikach) albo wręcz uderzyć cytatem w samego siebie (stosunek do imigrantów). Co gorsza – ośmieszyć można samą Biblię, gdyż wyrwane z kontekstu fragmenty brzmią mało sensownie.

Jeśli za jedną z cech ideologii uznać stawianie idei nad rzeczywistością i płynącą stąd niezdolność do uwzględnienia faktów i zmiany poglądów, to akcja Roty Niepodległości wygląda na nachalne propagowanie ideologii anty-LGBT.

©

KULTURA W SKRÓCIE

PLATYNOWE LWY

za całokształt twórczości na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni otrzymają reżyserzy Andrzej Barański i Feliks Falk. Impreza odbędzie się w połowie grudnia.

ZŁOTEGO LWA

– najważniejszą nagrodę 77. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji – zdobyła chińska reżyserka Chloé Zhao (na zdjęciu). Nagrodzono ją „Nomadland”.



BEW

GRAND PRIX

oraz statuetka za najlepsze zdjęcia 17. Festiwalu Filmowego Millennium Docs Against Gravity trafiły do twórców obrazu „Ziemia jest niebieska jak pomarańcza”. Reżyserka Iryna Tsilyk śledzi w niej historię Anny, matki samotnie wychowującej dzieci w ukraińskim Donbasie. Za najlepszy polski dokument uznano „Między nami” Doroty Proby. Do 4 października potrwa wirtualna część festiwalu – widzowie będą mogli zobaczyć ponad sto tytułów tegorocznej edycji na stronie mdag.pl.

KINO SAMOCHODOWE

13. Międzynarodowego Festiwalu Kina Niezależnego Off Camera zadebiutowało w Krakowie. Projekcje będą odbywać się codziennie do 25 września na parking przy Stadionie Miejskim im. H. Reymana (wjazd bezpłatny). Na platformie player.pl będzie można natomiast obejrzeć wszystkie filmy konkursowe oraz wydarzenia towarzyszące.

Regulamin Oscarów: ustawianie wahadła

ANITA PIOTROWSKA



TO IDEALNY FILM OSCAROWY: PERYPETIE czarnoskórej kobiety, najlepiej lesbijki i na wózku inwalidzkim – tak właśnie, prześmiewczo i historycznie, zareagował internet, nie tylko zresztą prawicowy, kiedy Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej ogłosiła swój plan antydyskryminacyjny. Ma on na celu zwiększenie różnorodności zarówno prezentowanych na ekranie postaci czy historii, jak i otwarcie się branży filmowej na profesjonalistów reprezentujących grupy dotąd marginalizowane. Pachnie ręcznym sterowaniem? Nawet bardzo, ale tylko przy wybiórczym i tendencyjnym odczytaniu.

Lektura u samych źródeł pokazuje bowiem, że choć zmiany są nieuniknione, to biali pełnosprawni heteroseksualni mężczyźni mogą spać spokojnie. Nie mamy zresztą do czynienia z pierwszym tego typu przypadkiem, bo szlaki przetarła niedawno kinematografia brytyjska przyznająca nagrody BAFTA. W przypadku Oscarów regulacje dotyczą jednej tylko kategorii – „najlepszy film roku” – i będą wchodzić

w życie stopniowo. Nacisk położony zostanie na bardziej zróżnicowaną reprezentację po drugiej stronie kamery, co da szansę na główną statuetkę nie tylko wysokobudżetowym produkcjom, ale też mniejszym filmom niezależnym, zwykle bardziej inkluzywnym pod względem składu swoich ekip.

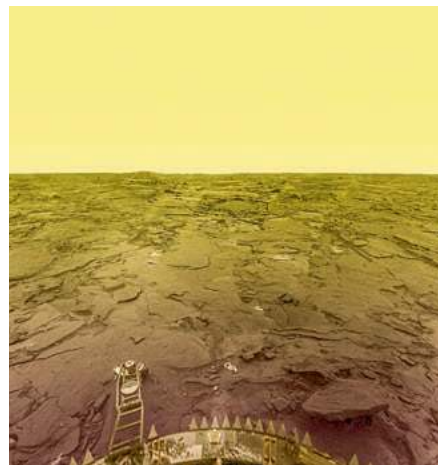
Największe kontrowersje wywołują oczywiście wspomniane wyżej „punkty za pochodzenie” przyznawane poprawnym politycznie fabułom i „mniejszościowym” bohaterom. Tu najłatwiej byłoby wylać dziecko z kąpielą lub sięgnąć absurdu. Szefostwo Akademii zapewnia, że choć nowe standardy zakładają jakąś rzeczywistość idealną, to służą przede wszystkim zmianie myślenia i będą wdrażane w sposób elastyczny. Jak będzie w praktyce, zobaczymy. Jeśli spowoduje to poszerzenie horyzontów mentalnych czy artystycznych, kino na tym zyska. Natomiast odbicie dyskryminacyjnego wahadła radykalnie w drugą stronę może przynieść – kinu, jego widzom, a nawet słusznej skądinąd sprawie – efekt odwrotny od zamierzonego. ©

Krowy na Wenus

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE aż huczą od plotek: astronomowie zaobserwowali w chmurach Wenus fosforowodór (PH₃). W enigmatycznych obwieszczeniach prasowych i tajemniczo „wyciekających” wywiadach (publikacje naukowe mają się ukazać już po zamknięciu tego numeru „TP”) pada teza, że wykryto „prawdopodobne ślady życia na Wenus”.

Astrochemia to nauka typu detektywistycznego: wykrywa się jakiś związek w obłoku galaktycznym albo w chmurach Jowisza, a następnie trzeba wymyślić, jaką drogą powstał z innych zaobserwowanych tam związków: reakcja po reakcji, atom po atomie. Tym razem część detektywistyczna się autorom „nie udała”: przeszli przez wszystkie znane im zjawiska fizyczne, które mogą zachodzić na Wenus – wyładowania elektryczne, reakcje inicjowane przez promieniowanie słoneczne... – i żadne z nich nie chciało prowadzić do powstawania PH₃ w takiej ilości, jaką zaobserwowano. Tyle.

Są teraz dwie możliwości: albo na Wenus występują nowe, nieznane zjawiska geologiczne czy atmosferyczne, albo „coś zupełnie innego”. Rzecz w tym, że na Ziemi fosforowodór produkują niektóre mikroorganizmy – więc czemu nie na Wenus? Stąd plotka. Komu rozumowanie to



DONALD MITCHELL / MENTAL LANDSCAPE, LLC

Powierzchnia Wenus sfotografowana z lądownika Wenera

wydać się naciągane, ten ma oczywiście rację. Ba, standardowe bazy astrochemiczne podają, że PH₃ występuje m.in. na Jowiszu i Saturnie – nie jest to więc „niezatapialny” ślad życia, jakim byłaby, powiedzmy, cząsteczka DNA.

Innymi słowy: z punktu widzenia logiki i metodologii naukowej wykrycie PH₃ na Wenus do-
wodzi istnienia tam bakterii mniej więcej równie silnie, co wykrycie metanu na Plutonie do-
wodzi występowania tam krów.

© ŁUKASZ ŁAMŻA

ŻYCIE Z PAMIĘCI

HANNA KRALL, REPORTERKA:

Pomysł, że istnieje tylko dobro, jest szkodliwy,
nie przygotowuje na spotkanie ze złem.
A ludzie powinni być przygotowani.

ANNA GOC: Czy można opisać
czyjeś życie, jeśli samemu nie
ma się podobnych wspomnień?

HANNA KRALL: Gdy się coś przeżyło
samemu, lepiej się rozumie, o czym
mówią inni. Nie muszą długo tłumaczyć.

Na przykład „Sublokatorka” jest
tylko pozornie powieścią. Wszystko
w niej, bez wyjątku, wszystko jest
prawdziwe. Jest utkane z rzeczywistości.
Całą historię „jasnej” dziewczynki,
Polki – czyli Marii, zbudowałam z
prawdziwych postaci. Najwięcej jest
w niej Wiesi Grocholi, która była moją
najbliższą przyjaciółką przez wiele lat.
Wiesia już nie żyje. Będziemy koło siebie
leżały, mamy to załatwione.

O dziewczynce „ciemnej”,
Żydówce – Marcie, ukrywanej w czasie
wojny w polskich domach, pisze Pani tak:
„Wkładaliśmy ci chustkę głęboko na
czoło, podnosiłyśmy wysoko
kotnierz, ale to nie wystarczało,
bo jeszcze zostawały oczy,
a oczy były najgorsze. Na szczęście
moja matka wpadła na

wspaniały pomysł: kamień. Idąc
ulicą, popychałaś nogą kamień,
jak w grze w klasy, dzięki czemu
mogłaś mieć spuszczone oczy,
nie budząc podejrzeń”.

Dziewczynka bawi się kamieniem,
bo to jest normalna zabawa
dziecka. Ma spuszczone oczy, bo są
trochę za czarne.

**Rzadko mówi Pani o sobie
w pierwszej osobie.**

Jest trochę o mnie w moich książkach.
W trzeciej osobie.

**Prowadziła Pani kiedyś
dziennik?**

Taki normalny?

Tak.

No skąd. To byłoby straszne pisanie.
Po pierwsze – nieudolne. Poza
tym żałosne. Nie znoszę martyrologii.
Nudzi mnie. Zwłaszcza gdyby
miała mnie dotyczyć.

**Pomaga Pani swoim bohaterom
w opowiedzeniu ich historii?**

Pytam, czy ktoś chce kawę czy
herbatę. Potem już nie zadaję wielu

GRZEGORZ KRZYŻEWSKI / REPORTER



Coroczny Marsz Pamięci – w rocznicę początku akcji likwidacyjnej warszawskiego getta.
Wstążki Pamięci z imionami zamordowanych, przed siedzibą Żydowskiego Instytutu Historycznego, 22 lipca 2018 r.



→ pytań. Staram się jak najmniej przerywać, nie przeszkadzam. Dopytuję, gdy przestaje rozumieć, albo chcę coś uporządkować.

Trzeba rozmawiać wiele razy. Za pierwszym nie pamięta się wszystkiego. Człowiek, opowiadając, sam uruchamia w sobie coraz głębsze pokłady pamięci. Tak było z Marysią – bohaterką mojej nowej książki „Synapsy Marii H.”. To moja najdziwniejsza reporterska książka.

Można ją czytać jak wiersze amerykańskich poetów faktu – takie było moje wrażenie.

Bohaterka tej książki towarzyszy mi od lat 70., czyli prawie pół wieku. Przez cały czas pisze do mnie listy. Są ich tysiące. Kiedyś przychodziły pocztą, potem faksem, teraz mailem. Budzę się rano, otwieram telefon i jest... nowy mail od Marysi.

Najpierw była bohaterką flagowego reportażu „Kataru siennego”, książki, która została wydrukowana i przemielona przez cenzurę. Potem pisałam o niej w „To ty jesteś Daniel”. Była zaangażowana w Solidarność, siedziała w więzieniu, miała proces. Wyjechała z Polski. Zamieszkała w Ameryce. Urodziła syna z autyzmem. I nadal do mnie pisała, głównie o swoim dziecku, o sobie, o matce swojego męża (nie lubię słowa teściowa).

Życie wymusiło na mnie tę książkę, prawda?

O „Białej Marii” – której wznowiona, poszerzona o piątą część wersja, właśnie się ukazała – powiedziała Pani, że to ostatnia książka, ale będzie ją Pani pisała dalej. Pomyślałam, że to dość bliska życiu definicja reportażu.

Gdy się dowiedziałam, że matka męża Marysi z książki „Synapsy Marii H.” była w getcie, na Umschlagplatzu, że po latach była w pierwszej wieży World Trade Center i, jak obliczyłam, zeszła z 1800 schodów w czasie ataku, to pomyślałam, że znowu muszę napisać. Ale teraz już wiem na pewno – nic nie muszę i nie napiszę nic więcej.

Najczęściej Marysia opowiadała mi o roślinach. Mówiła, które kochają się jej z tatą, które z mamą, które z bratem. Na tydzień przed drukiem książki napisała, że ojciec zerwał listek dziurawca i podniósł rękę z tym listkiem pod słońce, żeby mogła zobaczyć kropki na liściu. Natychmiast zadzwoniłam do pani Anity, mo-

jej cierpliwej i wyrozumiałej redaktorki, żeby to dopisać.

W „Sublokatorce” pojawia się dziewczanna jako symbol bezpieczeństwa. Była nim?

Gdy człowieka przeprowadzają z mieszkania do mieszkania, z domu do domu, z ulicy na ulicę, z miasta do miasta, ze wsi do wsi, bo chcą go ukryć, bo chcą, żeby przeżył, to dzieciak szuka czegoś stałego, pewnego. Czymś takim jest ziemia, na której coś rośnie. Pamiętam tamte rośliny. W przeciwieństwie do Marysi nie umiem ich nazywać. Była na pewno dziewczanna, wiem, gdzie rośla. W Otwocku, koło przejazdu kolejowego.

Dziewanna co roku zmienia swoje miejsce.

Przenosi się?

Tak.

Nie wiedziałam.

No i sama pani widzi, co to za poczucie bezpieczeństwa, skoro dziewczanna sobie wędruje. Tak jak i ja zresztą... Tak jak nie ja, tylko bohaterka „Sublokatorki”.

Powiedziała Pani kiedyś, że dzieci, które Pani poznała w domu dziecka w Otwocku, tuż po wojnie, udawały dorosłych i nawet niektórzy dorośli się na to nabierali. Podobnie było z ich pamięcią?

Tak, ale proszę nie sądzić, że dzieci sobie cokolwiek opowiadały. Nic. To, co im się przytrafiło, było takie banalne. Każdy coś przeżył. Od tego jest wojna, żeby coś przeżyć.

Przeżyliśmy. Ten tu, a ten tam, ten w skrzyni, a tamten w grobowcu, ktoś udawał chłopca, a ktoś dziewczynkę. Z każdym coś się tam działo i nikt nikogo nie zanudzał opowieściami o tym. Poza tym... Nikt nie lubi opowiadać o strachu i poniżeniu.

Zaraz po wojnie, i to jest ciekawe, nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że to, cośmy przeżyli, jest ważne. Wojna to wojna, innego świata nie znaliśmy. Ważność, doniosłość tego, co nazwano Holocaustem, choć ja tej nazwy nie znoszę, docierała późno do świata.

To znaczy kiedy?

Bo ja wiem... Od procesu Eichmanna w 1961? Od procesu oświęcimskiego w 1963?

Zagłada stawiała się coraz ważniejsza. Coraz lepiej świat zdawał i zdaje sobie sprawę z jej doniosłości. Zwłaszcza że świat pozwala na to i owo. W Srebrnicy pozwolił, w Kambodży pozwolił, w Rwandzie. Świat pozwala.

Ci, którym udało się przeżyć, myślą potem, że przeżyli, bo byli gorsi. Przecież ci najłepszy zginęli.

Mówi Pani o syndromie ocalonych?

Nie tylko. Mam całą galerię znajomych, bliskich, dobrych znajomych, których starsi bracia zginęli w czasie wojny. Przeważnie w powstaniu warszawskim. I każdy z nich mi mówił, że ten brat, który zginął, był lepszy.

Henryk Samsonowicz, historyk, mówił, że zginął jego brat, pseudonim „Książę”. Tadeusz Różewicz, poeta, że zginął jego brat Janusz.

Profesor Tadeusz Koszarowski, onkolog, twórca Centrum Onkologii, że jego brat zginął. To byli starsi bracia i każdy z nich, każdy – opowiadali mi moi znajomi – był o wiele bardziej udany od nich, którzy przeżyli. Każdy był zdolniejszy, mądrzejszy, lepszy, ładniejszy. Zawsze ładniejszy był.

Ja w to wierzę. Powstańcy to byli ludzie najodważniejsi, najszlachetniejsi. To, co mamy teraz dookoła, jest skutkiem ubytku tamtych ludzi. Tamtych genów.

Pamięta Pani powstanie?

Wczoraj mówiłam mężowi, że ja mam uporządkowaną pamięć dopiero od powstania, czyli dosyć późno. Przedtem mam sceny pojedyncze, wyrwane z kontekstu.

W czasie powstania zrozumiałam już dokładnie, gdzie są Rosjanie, gdzie jest front.

Co było przedtem?

Obrazy.

Mieszkałyśmy w Warszawie. Pamiętam, jak nagle zatrząsł się nasz budynek. I pamiętam, jak mama powiedziała: „To nic. To chłopcy rzucają kamieniami w dom. Tak się głupio bawią”.

Wybuch wojny?

Miałam wtedy cztery lata. Pomyślałam sobie: „Co to za głupoty mama opowiada”. Ale udałam, że jej wierzę. Wiedziałam dobrze, że to jest niemądre, co mama mówi, ale mówi to po to, żeby mnie uspokoić.

Wtedy nie wiedziałam, że to wojna. Wiedziałam tylko, że dzieje się coś złego. I że mama mi nie chce powiedzieć prawdy. Słowo „wojna” nie padło.

Potem są oderwane sceny, pamiętam te... dramatyczne. Ale nie wiem, co było chwilę przedtem, ani co było chwilę potem.

Pamiętam, jak byliśmy z mamą na komisariacie. Ale jak żeśmy się tam dostały, nie wiem. Pamiętam, że miał być chrzest, ale co było przedtem i co było potem, nie wiem. Natomiast scenę, kiedy mama się dowiaduje, że chrztu nie będzie, pamiętam doskonale. Gdybym miała urządzić scenografię teatralną, to wiedziałabym, gdzie ma stać stół, gdzie krzesła, i gdzie filiżanka. Filiżanka jest ważna, bo była jakoś wyrazista. Może dlatego, że była tylko jedna.

Opowiadałam tę scenę Krzysztofowi Kieślowskiemu wiele razy.

Kieślowski był od Pani zaledwie o kilka lat młodszy, urodził się podczas wojny. Czyła Pani tę różnicę?

To nie była duża różnica, ale dla mnie był człowiekiem innego pokolenia, on uznał tę moją wyższość, ponieważ ja pamiętałam wojnę, a on nie. Z przeżyciem wojny wiąże się wiedza tajemna. Poczucie wyższości. Coś w tym jest.

Gdy się umawialiśmy na to spotkanie, wspomniała Pani, że jest wiek dobry do pamiętania.

Tak, mam to sprawdzone: czas dobry do pamiętania to jest szesnaście lat. Czasami trochę więcej.

Moi bohaterowie to są ci, którzy pamiętają. Im więcej ktoś pamięta, tym więcej mu zawdzięczam. A najlepiej mi opowiadali ludzie, którzy wtedy mieli te szesnaście lat.

Kiedy to pani mówię, od razu przypominam mi się pan Marian Raczyński. To on mi opowiadał o Poli Machczyńskiej. Miał wtedy dokładnie szesnaście.

Dlaczego szesnaście?

Bo jest się strasznie ciekawym wszystkiego. To bardzo silne uczucie, zwłaszcza jak dookoła się dzieje dużo ciekawych rzeczy, jak wojna się dzieje. Chce się być wszędzie, chce się wszystko widzieć. Jest się na tyle młodym, że się wszędzie zdąży być, a jak trzeba, to się zdąży uciec, w dobrą stronę skrócić, w dobrym miejscu ze-



ANDRZEJ WIKTOR DLA DEKALOGU WARTOŚCI / DEKALOGWARTOSCI.COM

Interesuje mnie pamięć
w synapsach,
pamięć w człowieku.
Szczepnie mówiąc,
**tylko ta pamięć
jest dla mnie cenna.**

skoczyć z furmanki albo wyskoczyć z wagonu.

To pan Marian Raczyński, pracownik poczty w Kocku, opowiadał mi – myślałam, że się popłacze ze wzruszenia wtedy – jak Pola Machczyńska szła po śniegu od domu do domu, żeby schować swoje dzieci. Z rozwiązany sznurowadłem szła. Sznurowadło wlokło się za nią po śniegu. Pomyślałam wtedy: „Boże, kto inny mógłby na to zwrócić uwagę, zapamiętać i mi opowiedzieć?”

Wnuczka Poli mówi, że niewiele wie o swojej babci, tylko tyle, że wlokło się za nią sznurowadło. Otóż ona nie wie tego od swojego ojca, syna Poli, bo ja rozmawiałam z nim przez wiele godzin i nie wspominał o sznurowadło. Ani nie wie tego od stryja, bo z nim rozmawiałam jeszcze dłużej. Ona to wie ode mnie, a ja od Mariana Raczyńskiego.

Przypomniał mi się jeden z Pani bohaterów, który zostawia rodzinę idąc do wagonu.

Jak już było wiadomo, że rano mają się zgłosić na rynek wszyscy Żydzi ze swoimi tobołkami, z tym, co mogą unieść, zbie-

rała się rodzina i zwykle postanawiała, że pójda razem. Ojciec, głowa rodziny, mówił: „Przynajmniej będę wiedział, jak zginęły moje dzieci”.

Nad ranem wszyscy siedzą przy stole, już piec zgasł, jest zimno. Z domu wyryka się chłopak i idzie przed siebie. Tylko jeden chłopak, ten który ma szesnaście albo piętnaście i pół, albo siedemnaście lat, który nie chce wiedzieć, jak giną. Który chce żyć. Po kilku kilometrach dogania go młodszy brat. Daje mu węzełek, w tym węzełku jest jego odświętne ubranie, i radę: „Mama mówi, żebyś na siebie uważał”. Młodszy brat wraca, bo on chce być ze wszystkimi. A starszy brat idzie przed siebie i skręca w dobrą stronę, pewnie też po to, żeby potem mi to wszystko opowiedzieć.

W książce „Synapsy Marii H.” jest zdanie: „Wszystko, co wydarzyło się po Umschlagplatzu, jest tak jakby pod wodą, rozmyte i nieostre”.

Maria nie pamięta najstraszniejszych rzeczy. Tego, jak się dostała na Umschlagplatz, ani jak się z niego wydostała. Tak jest z ludźmi, którzy tam byli i przeżyli. Szok, czekanie na śmierć, są widocznie takim przeżyciem, które zaciera. Może to jest samoobrona organizmu?

Nie ma żadnej pamięci o Umschlagplatzu.

Chociaż inna moja bohaterka – Izolda, z „Król kier znów na wylocie” – pamiętała. Była na Umschlagplatzu, schowała się w beczce i wie dokładnie, jak się z niej wydostała. Ale Izolda jest fenomenem. Wszystko ma w pamięci, w swoich synapsach. Gdy pisałam o niej książkę, nie miałam żadnych dokumentów. Znajomy z Wiednia znalazł mi potem w archiwum wiedeńskim listę przewozową Żydów wiedeńskich do Oświęcimia, z września 1944 r. Izolda była na liście. To był pierwszy dokument, jaki miałam w ręku.

Jak by Pani nazwała tę pamięć, która Panią interesuje?

Pamięć w synapsach, pamięć w człowieku. Szczepnie mówiąc, tylko ta pamięć jest dla mnie cenna. Ważne jest nie tylko to, co ludzie pamiętają, ale też jak pamiętają.

Patrzę z szacunkiem, z podziwem, z zazdrością, na książki pełne dokumentów, dat, nazwisk. Dla wielu autorów to wspa-
niałe źródło. Tamta pamięć jest w archi-
wach. Ale wyznam pani, że dla mnie

→ dokumenty zawsze były tylko uzupełnieniem.

Dlatego Izolda była bohaterką idealną. Nie wiem, czy pani zauważyła, że ona pamiętała każdy szczegół, jak była ubrana, jakie palto, jaka torebka. O tę torebkę była przecież cała awantura, bo ja opisałam nie jej torebkę, tylko Izy Cywińskiej.

Taką pamięć wynosi się z domu?

Bohater ma dobrą pamięć, kiedy uważnie żyje. Człowiek się chyba taki rodzi. Normalny przegapia wszystko, i dopiero przy końcu życia rozumie, ile przegapił. Ona żyła uważnie, wszystko zapamiętała, dzięki czemu mogłam napisać o niej całą książkę.

Mówiła mi, jak po kolejnej ucieczcejechała pociągiem, w nocy, przez Niemcy, bez grosza, i nagle poczuła się wolna. Opowiadała to tak plastycznie, że poczułam chłód tamtej nocy.

Potrafię sobie dokładnie wyobrazić scenę na Pawiaku: Izolda widzi przemarsz więźniarek idących na rozstrzelanie. Wśród nich jest matka jej męża, więc jedyne, o czym myśli, to żeby ona jak najszybciej przeszła i na nią nie spojrziała.

Modliła się, żeby matka szybciej szła na tę śmierć!

Opowiadając zrzuciła to z siebie?

Nie, dlaczego? Izolda nie miała poczucia winy. Nie chciała niczego zrzucić... Tak wtedy było. Opowiadała, jak było.

Moja koleżanka z domu dziecka opowiedziała mi, że w powstaniu warszawskim leżał ktoś zastrzelony. Podeszła do niego i to był jej ojciec. Wszyscy wiedzieli, że to jest Żyd. Koleżanka była blondynką z niebieskimi oczami. Ktoś ją spytał: „Znasz go?”. Odpowiedziała, że nie, nie zna, przeskoczyła przez leżącego i poszła dalej. Opowiadała mi to, ponieważ ta scena była w niej przez całe życie. Robiła sobie wyrzuty. „Nie wygłupiaj się, mówiłam jej, przecież twój ojciec byłby dumny z ciebie, że miał taką mądrą córeczkę”.

Czy pani widzi tę scenę?

To są takie „zdania drzazgi”, jak pisał Józef Mackiewicz, świadek wymordowania wileńskich Żydów i autor reportażu „Ponary – Baza”. Zapisuje Pani takie zdania?

One są, chcą zostać i zostają we mnie. Czasami sobie coś notuję. Jak pisałam

reportaże o współczesnej Polsce, notowałam namiętnie. Pamięć wtedy nie istniała, nie była potrzebna. Wszystko było w czasie teraźniejszym. Działo się na moich oczach. Ci ludzie żyli tu, teraz, mogłam wszystko sprawdzić, wszystkiego dotknąć.

Pamięć w moich książkach pojawiła się dopiero w 1988 r., od reportażu z Kocka. To wtedy napisałam „Narożny dom z wieżyczką”. Wdrapałam się do tej izby, w której cadyk z XIX wieku, Menachem Mendel, zamknął się na dwadzieścia lat, by odpokutować grzechy.

I wtedy też, trzymając się drabiny i wdrapując się na górę, poznałam pana Tadzia Nowickiego, który mi opowiedział, że 500 metrów dalej wystrzelali Żydów. Tak trafiłam na historię Poli Machczyńskiej.

Pamięć weszła w moje życie razem z panem Tadzim Nowickim, który opowiadając lekko się chwiał, był smutny, bo kilka dni wcześniej zmarła jego żona.

Kiedy Pani wie, że to jest to?

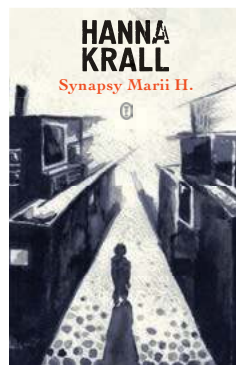
Wiem od początku. To sprawa organizmu. To się czuje tutaj, o tu... Nie wiem, jak nazywa się ta część ciała. Przedramię? To się czuje fizycznie. Ale pani przecież

Świat przenikających się losów

TA KSIĄŻKA NIE ISTNIEJE,

ale stoi na mojej półce. Zgrzebny tomik na pożółkłym papierze, w stopce informacja: „Druk ukończono w grudniu 1981”. Powinno być jeszcze: „Nakład oddano na przemiał”. Ktoś jednak wyniósł z drukarni parę egzemplarzy i oto jest: „Katar sienny” Hanny Krall. Otwiera go „Nieuwiera”, reportaż o zbrodni w Połańcu, który ponownie znalazł się w książce dopiero w poszerzonym wydaniu „Sześciu odcieni bieli” (2015). Jest też w „Katarze...” portret Anny Walentynowicz („Ludzie może i nie są źli”), debiut

Hanny Krall w „Tygodniku Powszechnym” (nr 2/1981). Pierwszą redakcją, w której pracowała znakomita reporterką, było „Życie Warszawy”. Potem „Polityka”, jej pismo pokoleniowe; odeszła stamtąd po wprowadzeniu stanu wojennego. Praca w Zespole Filmowym „Tor”, przyjaźń z Krzysztofem Kieślowskim. W 1989 r. „Gazeta Wyborcza”, gdzie Krall stała się mistrzynią młodego pokolenia reporterek i reportażyści. A książki? „Na wschód od Arbatu” (1972) to reportaże z ZSRR mistrzowsko omijające pułapki cenzury; Mariusz Szczygieł nazwał autorkę „przemytniczką ze Związku Radzieckiego”. Gotowy skład kolejnego zbioru („Szczęście Marianny Głaz”) rozsypano na polecenie władz partyjnych. Ale w tym samym roku we wrocławskiej „Odrze”



ukazały się w odcinkach rozmowy z Markiem Edelmanem, „Zdażyć przed Panem Bogiem”. Numery „Odry” rozchwytywano, książkę (1977) przełożono na wiele języków. Złożoną w Znak „Sublokatorkę” (1982) znów zatrzymała cenzura – wydała ją paryska Libella. Ukazała się też w drugim obiegu, podobnie jak „Okna” i „Trudności ze wstawianiem”. A po 1989 r. przyszedł kolejny książki

rozwijające wielki temat ludzkich losów w czasach Zagłady. Splatające się i rozdzielające nici opowieści, powracający bohaterowie, zbiory uzupełniane w kolejnych wydaniach... „Hipnoza” (1989), „Taniec na cudzym weselu” (1993), „Dowody na istnienie” (1995), „Tam już nie ma żadnej rzeki” (1998), „To ty jesteś Daniel” (2001), „Wyjątkowo długa linia” (2004), „Spokojne niedzielne popołudnie” (2004, wybór tekstów z lat 70.), „Król kier znów na wylocie” (2006), „Różowe strusie pióra” (2009), „Biała Maria” (2011), „Fantom bólu” (2017), tom zbierający wszystkie reportaże o losie, Zagładzie i pamięci, liczy 1224 strony! Teraz dołącza do nich nowa książka: „Synapsy Marii H.”. ©© TOMASZ FIAŁKOWSKI

też wie, czy się pani chce z kimś rozmawiać, czy nie.

I wiem też, kiedy coś z tego będzie – jeśli z rozmowy dużo zapamiętałam.

Najważniejsze zawsze się zapamiętuje. Na początku rozmawiałam z ludźmi, którzy przeżyli i pamiętali, co przeżyli. Z czasem tracili pamięć albo się starzeli, albo przestawali mówić.

Potem zaczęłam rozmawiać z ich dziećmi. Amerykańska uczona, Marianne Hirsch, nazywała to postpamięcią, czyli pamięcią drugiego pokolenia, pamięcią odziedziczoną. Teraz jest już tylko postpamięć.

Postpamięć i tematy, o których się w domu milczało.

Powinna być właściwie postpamięć i postniepamięć. Ciekawe, że ludzie z postpamięcią dziedziczą strach. Mikołaj Grynberg pisze o tym, jak dziadek dostawał histerii, gdy ktoś się spóźniał na obiad, bo na pewno coś mu się stało, na pewno ktoś go zabił, w najlepszym razie wpadł pod samochód.

Ten sam strach dziedziczą synowie i robią awanturę swoim dzieciom. To akurat rozumiem. Nie znoszę, jak moja córka z synem przyjeżdżają do Polski i ja nie wiem, gdzie oni są. Czy to ma związek z wojną? Nie mam pojęcia, ale staram się nad tym zapanować, nie okazuję tego. Nie chcę, żeby moje lęki przechodziły na moją córkę, a już na pewno nie na wnuka, już z całą pewnością nie na prawnuka.

Z jakimi pytaniami została Pani po rozmowie z Markiem Edelmanem?

Nauczyłam się zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi, na które się nie oczekuje odpowiedzi. To była specjalność Edelmana. „No powiedz mi, bo mi jest cały czas przykro...”, „No ale powiedz mi, czy ja powinienem...”. To zdanie, które ciągle powtarzał. Wiedziałam, że nie oczekuje ode mnie niczego, że sam siebie pyta.

Czy pani wie, że ja co roku spotykam prezydenta Andrzeja Dudę u Marka Edelmana? Już trzy albo cztery razy. Chodzę tam zawsze 19 kwietnia, na 12.00. Zawsze o 12.00 chodziliśmy pod pomnik z Markiem Edelmanem, więc teraz chodzę do Marka. I prezydent Duda przychodzi. Bez świty, ze skromną wiązaną.

Reporterów piszących o historii wciąga się w politykę historyczną?

Oczywiście. Ja się do tego zresztą świetnie nadaję, ponieważ w moich książkach można znaleźć wszystko.

Tylko że oficjalna polityka historyczna jest czymś okropnie głupim. I szkodliwym. Nasza, w polskim wydaniu, polega na tym, że świat jest dobry i ludzie są dobrzy. W naszej polityce historycznej nie ma zła. Ono się zdarza, ale jest mało ważne. Otóż to nie jest prawda. Zło jest pełnoprawną częścią świata.

Mówienie, że istnieje tylko dobro, jest szkodliwe, bo nie przygotowuje na spotkanie ze złem. A ludzie powinni być przygotowani.

To znaczy?

Ludzie powinni sobie zadawać pytania: „Czy ja bym pomógł?”, „Czy mógłbym zabić?”, „Czy ja bym zadenuncjował?”, „Czy ja bym siekierą, czy ja bym...”. Czym jeszcze można zabijać? Człowiek powinien sobie zadawać pytania, co by zrobił w chwili próby, czy by wystrzelił, czy by zarabiał.

Polityka historyczna nie zadaje w ogóle takich pytań. W polityce historycznej wszyscy bronią, wszyscy ratują. No tak, no czasem ktoś tam, ale to jest margines. Nie, to nie jest margines. Zło nie jest marginesem. Zło jest pełnoprawną częścią ludzkiego losu.

Dlatego polityka historyczna jest nie tylko zakłamana, ale jest też szkodliwa i niebezpieczna.

Ludzie nie zadają sobie takich pytań?

Miałam spotkanie autorskie w Katowicach.

Gdy przyszedł czas na pytania, wstała starsza kobieta i zaczęła opowiadać. Mówiła, że stała na mostku i stamtąd widziała, jak Żydów wypędzali z miasteczka. Zostały dwie dziewczynki, jej rówieśnice, które biegały od domu do domu i stukały małymi piastkami w drzwi, krzyczały „Gewalt, Gewalt”. Nikt nie otworzył. A jak już nie było Żydów w miasteczku, otworzyły się wszystkie drzwi, wyszli Polacy, pobiegli do żydowskich domów i zaczęli wynosić, wynosić, wynosić. To ostatnie słowo powtarzała jakoś tak maniakoalnie. Pani, która prowadziła spotkanie, lokalna działaczka, przewracała jej i poprosiła o pytanie. Ale tamta nie była na to przygotowana, więc zapytała: „Czy to ludzie są straszni, czy tylko

my, Polacy?”. I dodała, że nie muszę odpowiadać.

Czy przyszedłoby nam do głowy, że każą Niemcowi zastrzelić kobietę, którą kocha, za to, że ukrywała Żydów? Ale to przyszło do głowy komuś, kto wydał taki rozkaz. Czy przyszedłoby nam do głowy, że jeden naród postanawia wymordować drugi naród?

Jan Tomasz Gross we wstępie do „Sąsiadów” pisał, że relacje o wydarzeniach w Jedwabnem przeczytał już wcześniej, ale dopiero po czasie zrozumiał, co tam się wydarzyło.

Poza pamięcią społeczną istnieje też zgoda na niepamięć. Nie mówię o Jedwabnem, w którym nie byłam, mówię tylko o tym, czego sama dotknęłam ręką.

Żydzi, którzy przeżyli, spisywali książki pamięci. Każde polskie miasto i miasteczko ma swoją księgę pamięci. To cenne źródło. Przeczytałam np. historię człowieka, któremu Polacy zabili dzieci. Powiedziano mu, że to byli strażacy – jeden wysoki, drugi niski. Byłam w tym mieście. Myślałam, że pewnie trzeba będzie się jakoś ostrożnie przebiegać do tej historii. Spytałam o nią lokalnego historyka amatora.

„A tak, a tak... – potwierdził. – Ten wysoki to Tolek. Właśnie mineliśmy jego dom, on już nie żyje. Jest jego córka, ale pewnie powie, że nic nie wie. Kto to będzie opowiadał o ojcu, że zabijał dzieci”.

Więc to nie jest tak, że trzeba się przebiegać do tej pamięci. Wszyscy wiedzą, kto zabijał. Tylko nikt „tematu nie chciał drążyć. Daleko to idący temat. Za daleko”.

Opowiadał mi pewien ksiądz profesor, że w jego wsi jedni ratowali Żydów, a drudzy zabijali. Wie, bo mu opowiadają, jest stamtąd. Bardzo go to intryguje – jest to samo niebo, ta sama ziemia, ten sam Bóg, te same geny, bo to czasami z tej samej rodziny jedni pomagali, a drudzy zabijali. Czyli mówiąc innymi słowami, skąd się bierze zło, skąd się bierze dobro? To nie daje spokoju księdzu profesorowi. Mnie też zresztą.

Poszliśmy kiedyś z Manfredem Deselaersem, niemieckim księdzem, który od ponad trzydziestu lat mieszka w Oświęcimiu, działa na rzecz pojednania i pamiętania, na spacer po Brzezince. Opowiedział mi, że pisząc swój doktorat o Rudolffie Hössie, komendancie obozu, zadawał ➔

→ **sobie te pytania: czy on mógłby.**

Czy każdy człowiek mógłby.

Z historii batalionu 101 wynika, że z każdego można zrobić mordercę. Pamięta pani tę historię?

Byli to zwyczajni mieszkańcy Hamburga, którzy nauczyli się zabijać.

Edelman powiedział, że w każdym człowieku drzemie komendant Treblinka. Nie, ja nie wierzę, że z każdego można zrobić mordercę. Znam ludzi, z których nie można zrobić... Z mojego męża nie można zrobić zabójcy, z Mariusza Szczygły nie można zrobić, z Adama Bonieckiego nie można, z Marka Edelmana też nie. Widzi pani, ilu ludzi. Pani też takich na pewno zna.

Jak wiemy, Biblia zaczyna się od nakazu pamiętania. „Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli”. Podobą mi się to, że pamiętać jest nie tylko obowiązkiem, ale też nakazem.

O tym, że Biblia jest książką, która rodzi wątpliwości, rozmawialiśmy kiedyś z księdzem Adamem Bonieckim.

My się z Adamem kochamy, mówił pani?

Tak. I mówił, że to miłość trwająca od wielu lat.

Zaczęła się od tego, że napisał o „Zdażyć przed Panem Bogiem”. Potem ją napisałam o jego „Kalendarium życia Karola Wojtyły”.

Ludzie powinni sobie zadawać pytania:

„Czy ja bym pomógł?”

„Czy mógłbym zabić?”

„Czy ja bym zadenuncjował?”

„Czy ja bym siekierą,

czy ja bym...”

Czym jeszcze można zabijać?

Odkąd Adam skończył 70 lat, obiecał sobie, że nie będzie prostował niczego, co o nim opowiadał.

Bo my całkiem inaczej zapamiętaliśmy pewne wydarzenia. Adam zaprosił mnie do Rzymu, woził po mieście samochodem i pokazywał Rzym. Pamiętam, jak patrzyliśmy na Koloseum i Adam powiedział: „Spójrz, ja tu jestem od tak dawna i nigdy nie widziałem tak pięknie oświetlonego Koloseum”. Pamiętam ludzi, którzy szli wzdłuż murów i śpiewali „Te Deum”. Gdy teraz mu o tym opowiadają, nie wie, o co chodzi, a ja mam tamten mur przed oczami. Wiem nawet, co wtedy powiedziałam: „Zbyszek Bujak kazał ci powiedzieć, że trwają i będą trwać”.

Tu, w Pani kuchni, spotykaliście się z ukrywającymi się w czasie komunizmu.

Adam spotkał się tu z Bujakiem dwa razy. W kuchni była wtedy ścianka, a za nią drzwi. Adam siedział przy stole. To był Nowy Rok. Zbyszek Bujak przyszedł z kolegą – ci ukrywający się zawsze chodzili parami. Obaj byli w cylindrach i smokingach. Ojciec chłopaka, który przyszedł z Bujakiem, pracował u znanego warszawskiego krawca, widocznie od niego wypożyczyli smokingi. Pomyślałam: „Boże, Adam przyjechał, będzie opowiadał papieżowi, co się w Polsce dzieje, a tu te dwa wygłupy”. Zbyszek na mnie spojrzał: „Tylko mi nie mów, że to wszystko nie ma sensu”. „Zbyszeku, chciałam ci tylko powiedzieć, że jest u nas ksiądz Boniecki. Jakbyś chciał coś przekazać Ojcu Świętemu, to teraz masz okazję” – powiedziałam uroczystym głosem. Zbyszek wytrzeźwiał natychmiast, zdjął smoking, poszedł do kuchni: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a Adam, który to wszystko musiał słyszeć: „Na wieki wieków”.

Owszem, Adam pamięta spotkanie z Bujakiem, ale mówi, że Zbyszek miał na sobie szary sweter. Było takie spotkanie, ale później, gdy się umówili na dłuższą rozmowę.

No i tak więc funkcjonuje pamięć. Teraz to pani sprawa, komu pani wierzy. Ja mam świadka, mojego męża.

Jak w „Litości Boga” Jeana Cau.

Świetna książka, kiedyś moja ulubiona. Współwięźniowie kradną sobie wspomnienia i kłócą się, kto kogo zabił.

Na ile można zaufać pamięci? Nie pamięta się przecież wszystkiego porządnie

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Spornik (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejewska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmieńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewilt-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmieńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA NA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

i po kolei. Pamięta się wszystko naraz. Poza tym człowiek cały czas coś sobie przypomina.

Siedzieliśmy tu kiedyś w kuchni z moimi kolegami z domu dziecka, Liną i Władkiem. Po wojnie widywaliśmy się wiele razy, w Polsce i w Izraelu. Więc to nie była pierwsza nasza rozmowa po latach. Wychodzili, już byli przy drzwiach, gdy Linka nagle wspomniała kobietę w szarym kostiumie. Jaką kobietę, o kim mówisz? „No o tej w szarym kostiumie”. Wróciła od drzwi, usiadła i opowiedziała o kobiecie, która podeszła do Linki i jej mamy i spytała: „Prawda, że pani nie chcejechać na Umschlagplatz? Ja pojadę za panią”. Czy to nie jest dziwne?

Co było najważniejszym wydarzeniem życia Liny, ona sobie przypomniała nagle, właściwie bez związku z czymkolwiek.

**Pojawił się w tej historii ktoś
od Wielkiego Scenarzysty
– jak Go Pani nazywa.**

O Wielkim Scenarzyście nic nie da się powiedzieć, poza tym, że jest i że czuję jego obecność.

**Czy od tamtego czasu, gdy
Krzysztof Kieślowski spytał:
„Czy ty, Haniu, wierzysz w Boga?”,
ktoś jeszcze o to Panią pytał?**

Moja odpowiedź wtedy była spontaniczna.

Siedzieliśmy na leżakach, na naszej działce, nad dialogiem do jednego z odcinków „Dekalogu”. I nie pamiętam, chyba Janda pytała Bardiniego, czy wierzy w Boga, i Bardini mówi: „Wierzę”. „Wiesz co, to za prosta odpowiedź jak na Bardiniego, jak na kogoś, kto ma twarz Bardiniego” – powiedziałam Kieślowskiemu. Spytał, co ja bym odpowiedziała. Nikt mnie o to dotąd nie pytał, więc Kieślowski zupełnie na serio: „Czy ty, Haniu, wierzysz w Boga?”.

**Powiedziała Pani wtedy, że to Bóg
wierzy w Panią.**

Skoro mi powierza te wszystkie historie, to chyba tak jest.

Tę naszą rozmowę opowiedział na kazaniu ksiądz Tadeusz Wojdat w ursynowskim kościele. Myślałam, że zemdleję z wrażenia, kościół pełen ludzi, a ks. Wojdat mówi: „Krzysztof Kieślowski – tak na cały, wielki kościół – spytał kiedyś Hannę Krall, czy wierzy w Boga, na co Hanna powiedziała, że Bóg wierzy w nią”. Potem całe kazanie było temu poświęcone, że Bóg w nas wierzy. Ale pretekstem była ta nasza rozmowa.

Więc Bóg wierzy we mnie, ale nie wiem, czy się nie zawiodł. Czy ja go nie zawiodłam. Pewnie tak.

**Zastanawiam się, co by Pani teraz
odpowiedziała na to pytanie?**

Powiedziałabym, że może po to przeżyłam wojnę. Ale tego proszę nie pisać, bo już za dużo byłoby zwierzeń.

©® Rozmawiała ANNA GOC

REKLAMA

ZAWSZE JEST MIEJSCE do ROZMOWY

1990
+ 30
2020

od trzydziestu lat
w Warszawie
seit dreißig Jahren
in Warschau



goethe.de/polska/30

PAWEŁ

Śpiewak: Sodoma



W MISZNIE W TRAKTACIE „PIRKEI AVOT” – „Sentencje Ojców” – czytamy: „Ten, kto mówi: to, co moje, jest moje, a to, co twoje, jest twoje, żyje jak zwykły człowiek. Niektórzy dodają: tak żyją mieszkańcy Sodomy” (5, 10). Mowa tu o tym, że zazwyczaj

ludziom brak wrażliwości na potrzeby innych. Zasada ta, choć paskudna, sama w sobie nie jest zła, ale jak nauczają rabini, bywa źródłem podłości. Sodomici nie byli agresywni. Nie plądrowali ziem sąsiadów. Jedyną wojnę, jaką toczyli, przegrali. Natomiast zamknęli się murami przed ludźmi z zewnątrz, przed gośćmi. Nie mieli zamiaru dzielić się swoją własnością z innymi. Sodoma z egoizmu i żądzy zaspokojenia instynktów uczyniła prawo. Dlatego miasto musiało zostać zniszczone. Ale takich państw zbudowanych na egoizmie jest wiele, czy więc wszystkie powinny zostać zniszczone?

Z pewnością nie. Zło sodomitów jest nie do przyjęcia, bo zostało popełnione na ziemi Izraela. Jak pisał Mojżesz Majmonides, nauczyciel wszystkich Żydów: „Wiedz, że osąd Sodomy wynikał z duchowej rangi tej ziemi, bo jest ona dziedzictwem Boga i nie toleruje obrzydlistwa. Tak jak później ziemia obiecana zwymiotowała cały naród Kanaanu z racji ich ohydy, to najpierw wyrzuciła naród Sodomitów, najgorszy dla wszystkich, dla niebios i ludzi, i spuścił Bóg zniszczenie, tak, iż nic nie pozostało. Bóg wiedział, że będzie to ostrzeżenie dla zbuntowanych ludów i dla Izraela, który miał tę ziemię odziedziczyć”.

Nim Sodomę i Gomerę pokonała siarka i sól, Abraham modlił się za mieszkańców miast. Pierwszy raz w Biblii ktoś modlił się w intencji Innego, człowieka, którego imienia nie zna. Abraham był i czuł się ojcem wielu narodów. Oznaczało to odpowiedzialność za los ludów. Zwracał się do Boga sprawiedliwości, budząc w Nim Jego atrybut litości. Nie chciał Abraham powtórki z potopu, gdy hurtowo ginęli ludzie bez względu na swoje przynależności. Abraham mówił: „Czy Ty nie przysiągł, że więcej nie powtórzy się potop, ale czy to znaczy, że ma się wydarzyć potop ognia? Jeśli chcesz zachować świat, to nie ma w nim miejsca na absolutną sprawiedliwość; jeśli chcesz absolutnej sprawiedliwości, świat się nie ostanie”. Pragnął Abraham ocalić grzeszników. Wierzył, że dziesięciu sprawiedliwych zachowa resztę ludzi.

Żydzi w swoich legendach powtarzają, że 36 sprawiedliwych podtrzymuje kolumny niebios. Nie wiemy, kim są. Nie musimy tego wiedzieć. Musimy wierzyć, że sprawiedliwość ma ludzkie oblicze i może na tej ziemi stać się rzeczywistością. Bóg sprawdzał Abrahama. Chciał z nim podjąć decyzję o losach Sodomy. Rozmawiał z nim jak równy z równym. Stali przed sobą, każdy uzbrojony w swoje racje. Bóg wiedział, co ma uczynić, ale chciał zobaczyć w Abrahamie człowieka wielkiego serca.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Sprawiedliwa niesprawiedliwość



NAWIĄZUJĄC DO OBCHODÓW MIĘDZYNARODOWEGO DNIA PAMIĘCI OFIAR PRZEMOCY z Powodu Religii lub Wiary, papież Franciszek umieścił na Twitterze wpis nawiązujący do katolicko-muzułmańskiego dokumentu o wzajemnym braterstwie: „Bóg

nie potrzebuje być przez nikogo broniony i nie chce, aby Jego imię było używane do terroryzowania ludzi. Proszę wszystkich o zaprzestanie używania religii w celu budzenia nienawiści, przemocy, ekstremizmu i ślepego fanatyzmu”. Te słowa papieża odnoszą się oczywiście do przywódców politycznych i religijnych, ale dotyczą też kaznodziejów, spowiedników, rodziców, wychowawców itp. Wpis rozsierdził tych spośród nas, którzy nie pamiętają, że Bóg najpełniej okazuje „swoją wszechmoc w łasce przebaczenia” również tym, którzy Go krzywdzą. Nie pamiętają też, że takie słowa jak sąd, prawo, sprawiedliwość, wyrok, kara użyte w Biblii – znaczą co innego niżli na sali sądu rejonowego.

Jak wygląda biblijna sprawiedliwość, łatwo się przekonać, czytając przypowieść o gospodarzu najmującym robotników do pracy w winnicy. Kiedy przyszło do wypłaty i pracujący przez cały dzień otrzymali tyle samo, co ci, którzy podjęli pracę pod wieczór, ci pierwsi zaczęli się buntować. Gospodarz powiedział: „»Dlaczego patrzysz zazdrosnym okiem na to, że jestem dobry?«. Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi”. To poczucie krzywdy nieobce jest nam dzisiaj.

Wygląda na to, że w Kościele mamy dwa obozy, które kłóca się o sposób przyjmowania komunii czy odprawiania mszy. Chodzi jednak o coś znacznie ważniejszego, o samą koncepcję Kościoła. O to, czy Kościół ma traktować jako dzieci Boga wszystkich, czy tylko tych, których za takowych uzna. Czeski jezuita Jan Rybář w książkowym wywiadzie pt. „Deník venkovského faráře” mówi: „Chciałbym mocno wierzyć, że za papieża Franciszka skończy się rozbięcie Kościoła na przed-soborowy i posoborowy. Martwi mnie przeciwstawianie litery Duchowi. Prawników przeciw apostołom. Przeszarzałe nowym sposobom wyjaśniania wiary. Przecież – przynajmniej się do tego, a jest to nieprzyjemne – Chrystus musiał umrzeć po to, żeby wszystko mogło zostać po staremu. (...) Sądzę, że najgłębszym fundamentem nowej ewangelizacji jest radykalna zmiana zachodniego »starotestamentowego« nauczania o odkupieniu, o grzechu pierworodnym z jego niezrozumiałymi skutkami. (...) Przecież uśmierzenie »obrazonego« Boga krwią Chrystusa nie może być głównym powodem, dla którego Bóg stał się człowiekiem. Taki powód jest przerażający... i nieprawdziwy. Ale, pożałujcie Boga, głęboko zakorzeniony”.

„Jeruzalem (...) Ileż razy chciałem zgromadzić twoje dzieci – mówi Jezus – jak ptak pisklęta pod skrzydłami, ale wy nie chcieliście”.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Wiedza, ale jaka?

*Wolność od namiętności
osiągnęła nie ta dusza,
która nie doznaje namiętności
wobec rzeczy, ale ta,
która pozostaje niewzruszona
nawet na wspomnienie o nich.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Człowiek skupiony na umyśle,
gdy umysł jest opanowany
przez namiętność, spostrzega,
że umysł jest opanowany
przez namiętność.
Gdy umysł jest wolny
od namiętności, spostrzega,
że umysł jest wolny
od namiętności.*

BUDDA SAKJAMUNI



Wybrał PIOTR SIKORA



„WIEDZA UNOSI PYCHĄ, miłość zaś buduje”. Liturgia przyniosła nam ostatnio to zdanie św. Pawła z Pierwszego Listu

do Koryntian (1 Kor 8, 1).

To oczywiście, że Apostołowi Narodów nie chodzi zgola o potępienie „wiedzy”. Chodzi o zdystansowanie się od wiedzy tych, którzy nie wiedzą tak, „jak wiedzieć należy” (w. 2). O kim możemy powiedzieć, że wie tak, jak „wiedzieć należy”?

Otóż najpierw właśnie o tym, którego zdobyta wiedza „nie unosi pychę” (dosł. „nie nadyma”). Jeśli jest przekonany, „że wie” – daje najlepszy dowód, że nie wie, jak wiedzieć powinien. Prawdziwa wiedza nigdy nie jest syta siebie, zawsze rodzi kolejne pytania, zawsze jest świadoma swoich granic, zawsze jest ciekawa wiedzy innych.

„Wiedza nadyma”, a miłość (dosłownie) „buduje dom”.

To dosłowne tłumaczenie odsłania przed nami kolejny pokład treści: arogancja wiedzącego nie „buduje domu”, to znaczy: nie zaprasza do wspólnoty, i to do takiej, którą charakteryzują więzy rodzinne („dom” przecież to nie cztery ściany, piwnica i dach). Zapraszasz kogoś do domu i czynisz go członkiem rodziny wtedy, gdy traktu-

jesz go jak partnera, a nie co najwyżej pożądanego klakiera.

Ważne jest też rozumienie, o jaką „wiedzę” chodzi. Paweł nie ma na myśli przecież fizyki teoretycznej czy arytmetyki. Chodzi mu o wiedzę, która jest próbą interpretacji Objawienia – wiedzę o Bogu i o człowieku, o ich wzajemnej relacji; wiedzę o tym, jak należy postępować: co jest dobre, a co złe – co jest, a co nie jest grzechem.

Właśnie w przypadku tej „wiedzy” (może nawet najbardziej w tym przypadku?) potrzebne jest wyrzeczenie się pewności siebie. Wielka pokora i wrażliwość na rozumienie i przekonania drugich. O tym przecież jest cały ósmy rozdział Pierwszego Listu do Koryntian – o potrzebie wrażliwości na sumienie innego, a zwłaszcza tego, który wydaje się wiedzy „nie mieć”. Trzeba uważnie słuchać jego sumienia – nie po to, by je obśmiać, lecz po to, by je uszanować i nie złamać. Wtedy rzeczywiście „buduje się dom”.

Ewangelizacja z całą pewnością nie jest jedynie przekazem wiedzy. Wiedza jest ważna (to Kościół w średniowieczu jako pierwszy tworzył uniwersytety), ale Ewangelia nie jest redukowalna do książki (nawet Książki). Ewangelia jest wydarzeniem. I to wspólnotowym. Boże Słowo/Mądrość staje się Ciałem, które ma liczne członki. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 IX)

25. niedziela zwykła: Iz 55, 6-9; Ps 145;

Flp 1, 20c-24, 27a; Mt 20, 1-16a;

Poniedziałek: Ef 4, 1-7, 11-13;

Ps 19; Mt 9, 9-13;

Wtorek: Prz 21, 1-6, 10-13;

Ps 119; Łk 8, 19-21;

Środa: Prz 30, 5-9; Ps 119; Łk 9, 1-6;

Czwartek: Koh 1, 2-11;

Ps 90; Łk 9, 7-9;

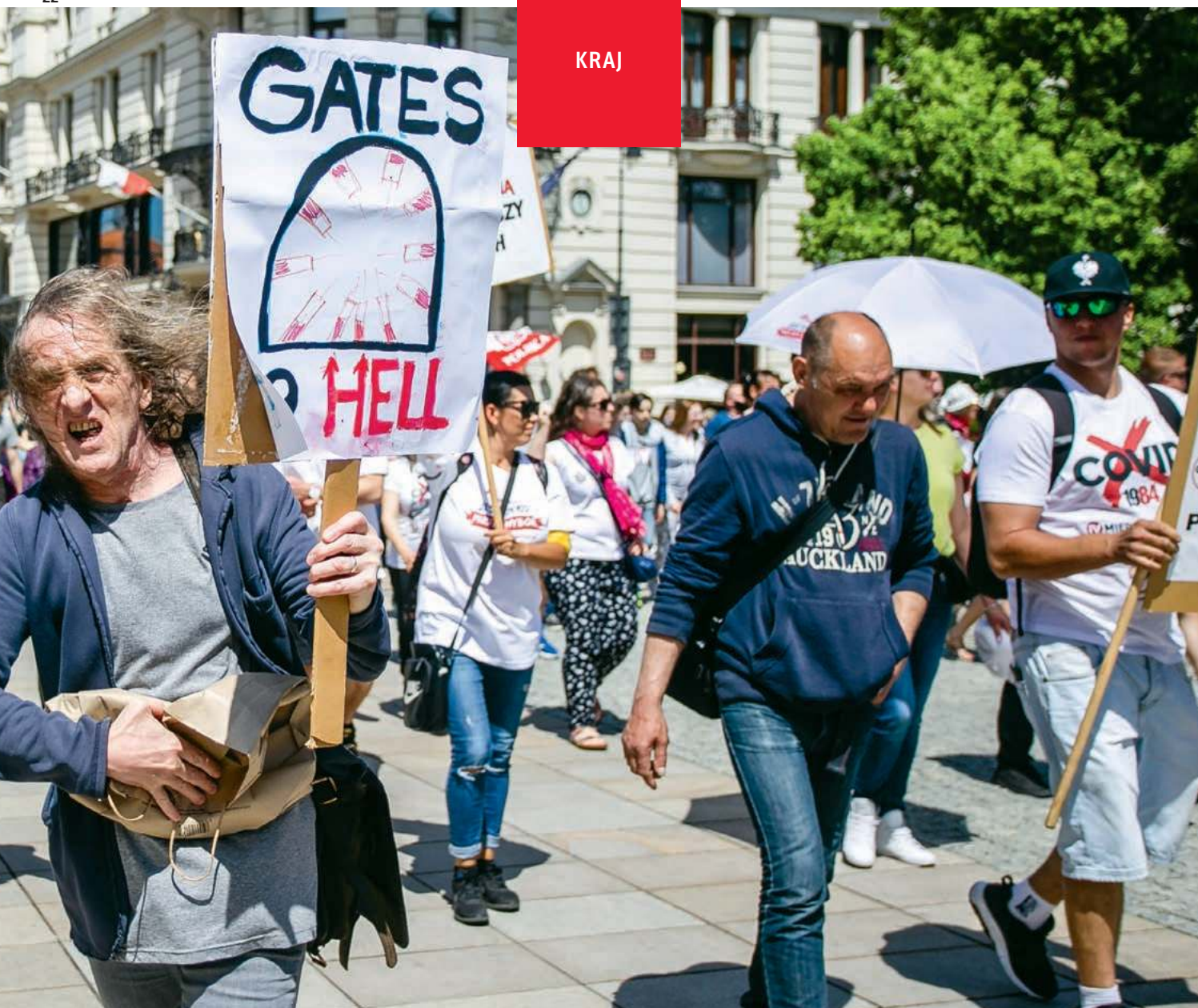
Piątek: Koh 3, 1-11; Ps 144; Łk 9, 18-22;

Sobota: Koh 11, 9 – 12, 8; Ps 90;

Łk 9, 43b-45;

26. niedziela zwykła: Ez 18, 25-28;

Ps 25; Flp 2, 1-11; Mt 21, 28-32.



Protest antyszczepionkowców przeciwko obostrzeniom związanym z pandemią COVID-19, Warszawa, 6 czerwca 2020 r.

COVID, CZYLI RACJA STANU

MAŁGORZATA KOSSOWSKA, JAROSŁAW GÓRNIAK:

Nie wiemy, jak rozwinie się pandemia. Wiemy, że kryzys szybko się nie skończy. Oto raport pokazujący społeczne i polityczne wnioski z ostatnich miesięcy.

KRZYSZTOF STORY: Kilka miesięcy temu w mediach społecznościowych pojawiła się grupa „Nie wierzę w koronawirusa”. Dziś należy do niej 112 tysięcy osób. Wydaje mi się, że wyśmiewanie takich postaw do niczego nie prowadzi. Jak mogę je zrozumieć?

PROF. MAŁGORZATA KOSSOWSKA: Teorie spiskowe świetnie tłumaczą rzeczywistość, która jest niezrozumiała i groźna. Dlatego nabierają znaczenia właśnie w czasach niepokoju.

PROF. JAROSŁAW GÓRNIAK: Za ekspertów najchętniej uznajemy tych, którzy potwierdzają, że mamy rację. Gdybyśmy teraz siadł naprzeciwko osób, które uważają COVID-19 za spisek, *fake news*, eksperyment społeczny, i po prostu zaprezentował inne zdanie, zostałbym odrzucony jako ekspert.

MK: Ludzie poszukują innych osób o podobnych poglądach. To nie jest irracjonalne zachowanie. Spotykając się w takiej grupie, stają się pewni, że dobrze rozumieją, co się dzieje, że nie są osamotnieni w swoim sposobie widzenia świata. W grupie nawet najdziwniejsze poglądy zyskują na ważności. Z badań wynika, że skłonność do snucia teorii spiskowych mają osoby, które nie do końca identyfikują się ze społeczeństwem; czują się z niego wyobcowani, co innego uważają za ważne. Lęk i niepewność nasilają te tendencje.

Dlatego nawet osoby, które funkcjonują na obrzeżu ogólnie ustalonych zasad, poszukują innych, z którymi mogą czuć się pewnie.

Grupa, o której rozmawiamy ma w nazwie hasło „nie jesteś sam”. Dobrze wpisuje się to w naszą rozmowę. Analizują Państwo nasze postawy, emocje, decyzje władz od początku pandemii. To niepowtarzalny materiał badawczy.

MK: Na początku pandemii zostaliśmy poproszeni o przygotowanie odpowiedzi na dwa pytania: jak przygotować ludzi na kryzys społeczno-ekonomiczny związany z pandemią, i jakie są najpoważniejsze zagrożenia, które mogą sprawić, że kryzys ten dotknie nas na lata. Poproszono nas o namysł z perspektywy nauk społecznych.

Ten przegląd badań zamknęli Państwo w raporcie „COVID-19.

Nauki społeczne w walce z pandemią”.

JG: To nie tylko przegląd wiedzy, ale też rekomendacje dla władz. Od lat zajmuję się politykami publicznymi, ich analizą i powstawaniem. Wykorzystanie ustaleń nauki dla potrzeb polityki publicznej to kluczowe pole współpracy – administracja powinna opierać swoje decyzje na nauce, a nauka dostarczać rozwiązania przydatne społecznie.

MK: W pracy towarzyszyła nam jedna ważna myśl: zwykle o kryzysach myślimy wyłącznie w kategoriach negatywnych. Na tym koncentrują się także naukowcy. A przecież jest sporo badań, które pokazują, że każdy kryzys może być początkiem zmiany, rodzi ferment, który może być wykorzystany dla dobra wspólnego.

Kryzysom towarzyszą trudne emocje. Nie można ich pominąć.

MK: I nie pomijamy. W trakcie pandemii lęk jest czymś zupełnie naturalnym. Pokazujemy jednak, że lęk, wzmacniany przez zalew informacji, często sprzecznych, nieprawdziwych, może mieć różne skutki. Negatywne i pozytywne. O negatywnych wiemy sporo. Znamy skutki lęku dla zdrowia psychicznego, dobrostanu, zadowolenia z życia. Wiemy, że lęk wpływa na sposób postrzegania rzeczywistości, ocenę, przewidywanie przyszłych zdarzeń. Wiemy, że im silniejszy lęk, tym silniejsza skłonność do uproszczeń, skłaniania się na tym, co nas dzieli, wspieraniu jednego kosztem innego.

Wspieraniu naszej grupy?

MK: To nasz największy zasób w momentach kryzysu. Stąd czerpiemy siły i to musimy chronić. Bardzo dobrze widać to było podczas lockdownu. Wiele osób wróciło wtedy do najbliższego kręgu: rodziny, znajomych. Bezpiecznego kręgu. Dużo ważniejsze stały się sprawy lokalne, bliskie, konkretne. W raporcie pokazujemy jednak, że wszystko zależy od tego, jak definiujemy naszą grupę – im szerzej, tym dla radzenia sobie z kryzysem lepiej. Im mniej osób traktujemy jako swoich, tym szerszy krąg tych, od których się odwrócimy.

W pandemii, prócz lęku, pojawiają się też inne emocje – złość, smutek i specyficznie związane z chorobą wstręt. Wstręt dotyczy najczęściej aspektu „czystości”: zdrowotnej, czyli związanej z niebyciem zakażonym, ale i moralnej. Pojawia się

w obliczu choroby, ale zwiększa skłonność do oceny cudzych zachowań jako niezgodnych z normami moralnymi oraz skłonność do potępienia takich zachowań. Wstręt możemy odczuwać wobec obcych, ale także i „swoich” (tych zakażonych).

Nie brzmi to zbyt pozytywnie.

MK: Nie, ale w tej samej sytuacji pandemii pojawiają się z równą siłą emocje związane ze współodczuwaniem. Pojawiają się empatia, solidarność, tendencje do współpracy, które w normalnych warunkach muszą być specjalnie inicjowane.

Nie tylko współodczuwamy, ale po prostu pragniemy być razem. Na UJ zapytano studentów o opinię na temat edukacji *online*. Okazało się, że zdecydowana większość chce wrócić na uczelnię. Ale oni przecież nie tęsknią za wykładami – wiem, bo sama prowadzę zajęcia. Odpowiedzi w tym badaniu nie brały się z palącego głodu wiedzy, tylko z potrzeby spotkania się. Bycia w grupie.

Czy wydarzenia tego roku są z perspektywy naukowca czymś wyjątkowym?

MK: Nie. Mieliliśmy na świecie w ostatnich dekadach kilka epidemii, choćby SARS czy eboli. Także zachowania towarzyszące są typowe dla większości sytuacji kryzysowych. Wyjątkowa jest skala. Poczucie, że pandemia COVID-19 ma charakter globalny, że dotyka wszystkie kraje, na wszystkich kontynentach – tak samo biednych i bogatych. To intensyfikuje doświadczenia. Daje nam poczucie, że jest czymś trudnym do pokonania. Wyjątkowa też była reakcja rządów – zamknięcie nas w domach, zamknięcie szkół, zakładów pracy, granic, nawet parków i lasów. Zostały zatrzymane rzeczy, które wydawały nam się niezatrzymywane.

Nie było i nie jest łatwo. Zwłaszcza na początku zetknęliśmy się z obostrzeniami na niespotykaną wcześniej skalę.

JG: Przypomnijmy sobie sytuację sprzed kilku miesięcy. Przychodziły zmienne informacje o śmiertelności, łatwości zakażeń, drogach transmisji wirusa. „The Lancet” publikował artykuły, z których się potem wycofywał. Zbudowanie solidnej wiedzy medycznej na temat nowej choroby zwykle zajmuje lata. Myśmy tej wiedzy po prostu nie mieli. ➔

→ *Lockdown* dał czas na jej zdobycie, na powrót do normalnego życia i wypracowanie reguł tej normalności. Zapewne lepiej można było wykorzystać ten czas do przygotowania się na wzrost liczby zakażeń, gdyż po to stosuje się tak radykalne środki: by zyskać na czasie i zebrać siły i środki do skuteczniejszych działań.

MK: Na pandemię patrzymy dziś inaczej niż w marcu. Mamy więcej narzędzi oceny ryzyka.

Dlatego zachowujemy dużo mniejszą samodyscyplinę niż na początku, mimo rosnącej liczby zakażeń?

MK: Powodów jest wiele. Najważniejszym jest jednak niekonsekwencja w komunikowaniu ryzyka społeczeństwu, niekonsekwencja w przestrzeganiu restrykcji ze strony rządzących, upolitycznienie wirusa w trakcie kampanii prezydenckiej. Ale także to, że przyzwyczailiśmy się do myśli, że choroba będzie nam jeszcze długo towarzyszyć. Więcej wiemy na temat tego, jak chronić swoje zdrowie. Zmieniliśmy nawyki. Nie zastanawiamy się, jak przeżyć, tylko jak żyć.

Przypominam sobie marzec i kwiecień. Samodyscyplina w Polsce była niesamowita, naruszenia obostrzeń w 38-milionowym kraju liczono zaledwie w setkach.

MK: Mieliśmy nieoswojone, nowe zagrożenie, byliśmy gotowi poświęcić dużo, by je zażegnać.

JG: Teraz wiele osób mówi, że zaczęliśmy zachowywać się irracjonalnie, jakby pandemii już nie było. W mediach to rozluźnienie było chętnie pokazywane np. w popularnych kurortach, na plażach czy deptakach. Zawsze, gdy widzę te sceny, staram się jednak pamiętać, że na takie wakacje wyjeżdżają głównie ci, którzy mają obniżony poziom lęku. Ci, którzy zostają w domu, mają inne podejście i silniej stosują się do zasad zmniejszających ryzyko zakażenia siebie i innych. W większości miejsc standardy są przestrzegane. W sklepach spotykamy ludzi w maseczkach, jazdę testową samochodem odbywa się obligatoryjnie w maseczce i rękawiczkach i nikt nie narzeka.

To, od czego zależy skłonność ludzi do stosowania się do takich zasad, jest głównym pytaniem naszego raportu. Ale żadne państwo nie jest w stanie utrzymać swojej gospodarki. Dlatego otwarte,



ANDRZEJ BANAS / POLSKA PRESS

PROF. DR. HAB. JAROSŁAW GÓRNIAK

jest ekonomistą i socjologiem. Prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, twórca i przewodniczący rady Centrum Ewaluacji i Analiz Polityk Publicznych tej uczelni.

choć rozsądne funkcjonowanie, powrót do sytuacji jak najbliższej normalności, nie powinno być postrzegane jako zagrożenie. Jest naszym celem.

Często mówi się o braku zaufania do autorytetów, ekspertów, naukowców. Pandemia chyba jednak zaprzecza tej tezie.

MK: „Ludzie nie ufają naukowcom” – to popularne przekonanie, ale nie odpowiada temu, co wynika z badań. Przeanalizowaliśmy sondaże od 2008 r., światowe i europejskie. To zaufanie jest najwyższe od lat, a w Polsce dodatkowo wyższe niż przed pandemią. A więc raczej ufamy naukowcom. Oczywiście nie wszyscy, a powody nieufności są różne. Z naszych badań wynika, że najmniej ufają naukowcom osoby, które uważają ich za reprezentantów elit. Wątpliwości pozostałych najczęściej dotyczą rzetelności samego procesu naukowego, ale także tego, jak zostanie wykorzystany wynik badań. Ludzie boją się, że naukowcy pracują na zlecenie korporacji albo sił politycznych.

W sytuacji pandemii to naukowcy są ekspertami – nie politycy, nie zwykli ludzie. Co więcej, żaden pojedynczy ekspert nie rozwiąże problemów – eksperci reprezentujący różne dziedziny nauki muszą pracować razem. Zwracaliśmy na to uwagę w naszym opracowaniu: wirus

jest domeną medycyny, ale pandemia i zachowania z nią związane – domeną nauk społecznych.

JG: W sytuacji kryzysowej potrzebujemy też liderów. Kogoś, komu zaufamy, uwierzmy, że działa dla dobra całości, a nie tylko wąskiej grupy. Kogoś, kto będzie objaśniał nam sytuację. W kontekście pandemii najlepiej oceniani są ci politycy, którzy postawili na mocną współpracę z nauką, wspierali się autorytetami.

W Polsce takim liderem był minister Łukasz Szumowski?

MK: Sprawiał wrażenie kompetentnego. Bardzo dobrze komunikował się ze społeczeństwem. To były chłodne, profesjonalne wypowiedzi. Wydawał się zaangażowany. Ten wizerunek szybko jednak legł w gruzach.

W kwietniu był liderem społecznego zaufania z rekordowym wynikiem, 51,1 proc. Kilka miesięcy później był liderem spadków w tym samym rankingu.

JG: Parafrazując znaną koncepcję marketingową: tak wygląda cykl życia lidera, choć nie musi trwać tak krótko. Pierwszą poważną rysą na autorytecie poprzedniego ministra był brak jasnej odpowiedzi w sprawie wyborów prezydenckich. Miałem ogromną nadzieję, że prof. Szumowski nie zostanie wykorzystany jako narzędzie polityczne ze względu na zapotrzebowanie w kryzysie na obdarzonych zaufaniem liderów, ale nie wszystkim było na rękę, żeby ten poziom zaufania utrzymać. Sam minister też się do tego przyczynił.

Nieodbyte wybory prezydenckie były momentem przełomowym?

MK: I wszystko, co się dookoła nich wydarzyło. Komunikaty Ministerstwa Zdrowia, że maseczki są niepotrzebne. Zachęcanie osób starszych, by poszły do urn. Obrazki polityków łamiących zalecenia. Nagle zobaczyliśmy, że są równi i równiejsi. Że ten kryzys także staje się kwestią polityczną, a to natychmiast obniża zaufanie. Wspólnota wymaga uczciwości.

Na pewno zaszkodziły doniesienia o podejrzanym zakupach, konkursach grantowych, zarzuty o korupcję. Zaufanie w tym, jak w każdym kryzysie, jest kluczowe, bo czasem musi zastąpić wiedzę, której jeszcze brakuje.

Skutki braku zaufania dobrze pokazał rozwój epidemii w Iranie. Konflikt społeczeństwa z władzą spowodował tam, że ludzie nie stosowali się nawet do zaleceń, które nie były motywowane politycznie.

MK: Polaryzacja polityczna jest największą blokadą dla działań prospołecznych. Bo każda decyzja jest przepuszczana przez „polityczny” filtr. Nawet dobrym pomysłem, jeżeli pochodzi od przeciwników politycznych, nie będziemy ufać. Będziemy je raczej bojkotować. Zewnętrzny wróg nie spaja głębokich podziałów. Co się rozpadło, samo się nie poskleja.

JG: Istniejący podział polityczny nie pozwala nawet swobodnie odwołać się do norm moralnych i poczucia wspólnoty. Bo jeśli mamy nosić maseczkę i chronić swojego bliźniego, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: kto jest moim bliźnim? A tutaj natychmiast uruchamiają się podziały, którymi zarzucają nas politycy.

W naszym raporcie odpowiadałem za rekomendacje dla polityki publicznej. Zostały sformułowane dość ogólnie, kierunkowo. Pojawiała się pokusa, żeby odnosić się do konkretnych sytuacji z polskiego podwórka. Ale nawet to jest trudne w warunkach tak ostrych podziałów. Jak proponować sposoby na podanie sobie ręki w imię dobra wspólnego tak, żeby nie zostać wyśmianym z obu stron?

Polska klasa polityczna zdała pandemiczny test?

JG: Moim zdaniem nie najlepiej. I nie mówię tu o żadnej konkretnej partii. Roz-



ADAM WALANUS

PROF. DR HAB. MAŁGORZATA KOSSOWSKA jest psycholożką, profesorką nauk humanistycznych, kierowniczką Zakładu Psychologii Społecznej i Centre for Social Cognitive Studies w Instytucie Psychologii UJ.

grzewano emocjonalne spory, burzono zaufanie w kwestiach, które stanowią o życiu i zdrowiu ludzi. Nawet przepisy tarczy antykrzysowej wykorzystano politycznie. Wszystkie badania pokazują, że głębokie podziały polityczne bardzo komplikują działanie w kryzysie, Polska nie jest tu wyjątkiem.

To była, może nadal jest szansa, by zbudować elementarne wzajemne zaufanie w kwestiach racji stanu. A dobre przejście pandemii COVID-19 jest racją stanu. Może jest czas, żeby powiedzieć: najpierw planeta, potem ojczyzna, a dopiero później wybory za trzy lata?

Raport kończy 18 rekomendacji dla władz. Dużo miejsca poświęcają Państwo nie tyle konkretnym rozwiązaniom, bo ich nie sposób przewidzieć, ale komunikacji.

MK: Pierwszą i najważniejszą zasadą jest konsekwencja. Widzieliśmy to w okolicach wyborów prezydenckich – komunikaty zaczęły się rozmywać, otrzymywaliśmy sprzeczne, niejasne informacje. Jedne spotkania były dozwolone, inne, o podobnym stopniu ryzyka – już nie. Jeśli zalecenia są niekonsekwentne, słuchamy tego, co nam się podoba, co jest dla nas najwygodniejsze.

JG: Drugim ważnym aspektem jest prostota. Badania pokazują, że w pewnym momencie pojawia się bariera przetwarzania i ludzie przestają rozumieć informacje. W zależności od sytuacji prowadzi to albo do paniki, albo do ignorowania zagrożenia.

Jak to wygląda w praktyce?

JG: W grafikach, które mają skłonić do przestrzegania pewnych zaleceń, najlepiej sprawdza się kolor czerwony. Każdy komunikat powinien zawierać nie więcej niż trzy informacje. Prostota zaleceń zwiększa ich skuteczność. Dużo lepiej zapamiętamy proste hasło: „myj ręce, noś maseczkę, zachowaj dystans” niż skomplikowaną instrukcję. Na taką komunikację patrzymy tylko przez pryzmat efektów. Jeśli odbiorca nie zrozumiał komunikatu, to znaczy, że komunikat był źle skonstruowany.

MK: W komunikacji kryzysowej bardzo ważne jest pokazanie planu działania – scenariusza. Naturalnie wielu rzeczy →

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Polska w Europie. Bicie serca

Co wpływa na obecne postrzeganie Unii w Polsce?
Czy potrafimy wykorzystać jej potencjał?
Czy myślimy o Europie jako wspólnym domu,
wspólnym interesie?
Co ma na to największy wpływ i jak kształtują się
nasze postawy?

23 września zapraszamy
na pierwszą z cyklu
debat online „UnJa. I co dalej?”
– szczegóły transmisji
na powszech.net/unia



ORGANIZATOR:
KLUB TYGODNIKA POWSZECHNEGO



PRZEDSTAWICIELSTWO
KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE



→ nie da się przewidzieć, często trzeba podejmować spontaniczne decyzje, zmieniać plany. Ale ludzie muszą mieć poczucie, że ktoś panuje nad sytuacją, że ma przygotowane warianty działań. Muszą także rozumieć powody decyzji, dlatego tak ważne jest ich uzasadnienie. Często zachowujemy się w określony sposób, by zyskać akceptację społeczną. Dlatego np. promocja zachowań zdrowotnych (mycie rąk, unikanie kontaktu z innymi) będzie skuteczna, tylko jeżeli będziemy przekonani, że te praktyki są skuteczne.

Jak znaleźć równowagę między chłodną, profesjonalną komunikacją a emocjami?

MK: Badania potwierdzają, że straszenie odbiorców przynosi negatywne efekty. Jeżeli informujemy o zagrożeniach – robimy to w sposób chłodny, opierając się na faktach. Język emocjonalny w sytuacji kryzysu powinien służyć wyłącznie do pokazania naszego zaangażowania, troski, empatii.

JG: Jeśli mówimy o zagrożeniu, zawsze powinna pojawiać się informacja: jak temu zapobiegać? Co zrobić, by najgorsze nie przyszło? Bardzo ważne jest też wsparcie dla aktywności. Dla niesienia pomocy innym. Człowiek, który w obliczu zagrożenia może zacząć działać, czuje się pewniej. Może zrobić coś dla siebie, dla innych – to bezcenna świadomość i państwo powinno takie działania wspierać, nie tylko finansowo i prawnie.

Czy jest szansa na powrót w Polsce do takiej samodyscypliny, jaką mieliśmy w kwietniu?

JG: Najpierw władze musiałyby same wiedzieć, że to właśnie chcą osiągnąć. Dopiero potem możemy zacząć szukać rozwiązań, najlepiej z udziałem ekspertów, a nie tylko opierając się na zdrowym rozsądku. Same obostrzenia prawne, kary i mandaty nie wystarczą – zdążyliśmy ośwoić zagrożenie. Na dłuższą metę dużo bardziej skuteczne okazuje się choćby odwołanie do norm moralnych. Musielibyśmy również sprawić, żeby noszenie maseczki, zachowywanie zasad dystansu w wymagających tego sytuacjach albo mycie i dezynfekcja rąk były modne. Z postaw wewnętrznych wynikają dużo trwalsze działania.

Jak to zrobić?

JG: To akurat wiadomo. Istnieje branża reklamy i PR, która tym właśnie od lat się zajmuje. Projektowaniem pewnych postaw i przekonań. To choćby takie środki, jak lokowanie produktu, współpraca z influencerami. Budowanie świadomości dzieci, które potrafią być stróżami swoich rodziców. To tylko przykłady, ale ten repertuar jest świetnie znany od lat i ciągle poszerzany, choć najczęściej dla celów komercyjnych, a nie społecznych.

Czy teraz nie jest już na to za późno?

JG: Nie wiemy, jak rozwinie się pandemia. Po niej kiedyś przyjdzie kolejna. Trzeba więc wyciągać wnioski z powodzeń i niepowodzeń, testować, co działa, a co nie. Polska, jej instytucje publiczne, okazała się słabo przygotowana. To, że nie tylko u nas mieliśmy problemy, że doświadczyły ich także inne kraje, nie powinno być traktowane jako łatwe usprawiedliwienie.

MK: Z wiedzy i doświadczenia zdobytego w tej pandemii można skorzystać w przyszłości. Trzeba tylko gromadzić tę wiedzę, umieć i chcieć z niej korzystać.

Jednym z większych problemów w Polsce było to, że kolejne decyzje były ogłaszane z dnia na dzień. Podobnie jest teraz, gdy dzieci wróciły do szkół.

JG: Oczywiście nie wszystkie decyzje da się podjąć z wyprzedzeniem. Sytuacja jest dynamiczna. Ale należy powiedzieć ludziom, jakie są możliwe scenariusze i, co najważniejsze, jakie są kryteria podejmowania decyzji przez dyrektorów szkół czy służby sanitarne.

MK: Rządzący zmarnowali czas na przygotowanie takich scenariuszy. Dziś wiemy np., jakich kompetencji brakuje, aby radzić sobie z lękiem, zagrożeniem, trudną i niespodziewaną sytuacją. Tego powinna uczyć nowa szkoła.

To wymaga przygotowania scenariuszy „na zapas”. Da się to zrobić?

MK: Nie, dopóki rządzący nie zrozumieją, że we współczesnym świecie nie da się być skutecznym, korzystając jedynie z intuicji i instynktu politycznego.

JG: W Polsce jest o to ciężko. Pamiętamy, że minister nie jest człowiekiem, który ma wyjść na konferencję prasową i wyciągnąć asa z rękawa. On ma mieć zespół ekspertów, który tego asa przy-

gotuje. Niestety, współpraca między administracją publiczną a zapleczem eksperckim kuleje. Nie od marca 2020, ale od lat. Nasz system władzy musimy uzbroić w zaplecze analityczne.

Uzbroić?

JG: Wszyscy rozumiemy, że musimy się uzbroić. Że kupujemy myśliwce i rakiety Patriot, choć na razie ich nie potrzebujemy. Płacimy za manewry wojskowe. Dlaczego tego samego nie robimy z polityką? Dlaczego nie uważamy, że państwo powinno posiadać arsenał przetestowanych środków na kryzysowe sytuacje?

Jednym z wniosków z pandemii jest to, że warto się uzbroić w wiedzę. Nie spierajmy się o to, kto wierzy w koronawirusa, a kto nie. Nie opierajmy się w tym zakresie na wierze, lecz na rzetelnych badaniach.

Co powiedzieliby Państwo członkom grupy, o której rozmawialiśmy na początku?

MK: Nie powiedziałabym nic. Wszelkie próby przekonywania byłyby nieskuteczne. Zastanowiłabym się raczej, jak wpłynąć na przyczyny ich zachowania. Np. co zrobić, żeby obniżyć lęk i poczucie zagrożenia, jak uczynić wspólnotę atrakcyjną.

JG: Posłów Konfederacji, którzy demonstracyjnie przyszli do Sejmu bez maseczek, zapytałbym odważnie, czy są zwolennikami eutanazji? Narażanie innych nie jest dobrą realizacją idei wolności.

W przypadku osób autentycznie ceniących życie ludzkie jako wartość może znaleźlibyśmy wspólny język. Powiedziałbym, że z koronawirusem jest jak z zakładem Pascala. Może i nie jest aż tak groźny, może nie ma żadnej pandemii. Ale nie wiemy jeszcze wszystkiego. A co jeśli nie mają racji? Maseczka w wybranych sytuacjach nie zrobi nikomu krzywdy. Mycia rąk uczono mnie od dziecka. Nie jest to zbyt uciążliwe.

Nie musimy się przekonywać nawzajem, kto ostatecznie ma rację, nie mając jeszcze w pełni sprawdzonej wiedzy. Chodzi tylko o to, żeby nie mieć nikogo na sumieniu, żeby nikogo nie zabić, nie narażać na ciężką chorobę. I na tym poziomie zgody co do podstawowych wartości możemy się porozumieć.



Mikołaj Pawlak, Warszawa, czerwiec 2019 r.

Pigułka autodestrukcji

ANNA GOLUS, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Koronawirus, wraz z chaosem w szkołach i falą problemów dzieci, mógł być dla ich rzecznika Mikołaja Pawlaka trampoliną do kariery. Okazał się być końcówką równi pochytej.

ANEGDOTA O ŻYRAFIE – HISTORIA ZAPAMIĘTANA PRZEZ ANNĘ KRAWCZAK, BYŁĄ PREZESKĘ STOWARZYSZENIA „NASZ BOCIAN” – MÓWI WEDŁUG NIEJ SPORO O OBECNYM RZECZNIKU PRAW DZIECKA. MOŻE RÓWNIIE WIELE, CO SŁYNNĄ JUŻ WYPowiedź O EDUKATORACH SEKSUALNYCH WYCHWYTUJĄCYCH DZIECI CELEM ZMIANY ICH PŁCI.

Grudzień 2019, kancelaria prezydenta, konferencja o adopcji i pieczy zastępczej. Są przedstawiciele organizacji, jest i mający wygłosić prelekcję rzecznik. – Wszyscy byli tego ciekawi, bo miał mówić o swoich działaniach – opowiada Krawczak, dziś członkini Interdyscyplinarnego

Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW. – I rzeczywiście, w drugiej części referował swój udział w jednym z sądowych sporów o adopcję. Ale pierwszą poświęcił temu, jak widzi swoją misję. Powiedział, a potem długo tę myśl rozwijał, że wyobraża sobie siebie jako żyrafę na sawannie, która wystawia długą szyję i obserwuje okolicę. I tak też jest: Pawlak przemawia do dzieci i o dzieciach z wysokości urzędu, nadając swojej funkcji rys protekcyjności.

Metaforę „perspektywy żyrafy” można rozwijać: według krytyków Pawlak – adwokat, kanonista, potem urzędnik – nigdy nie oglądał dramatów dzieci z bliska,

tak jak czynią to np. działacze organizacji pozarządowych.

Z drobnych śmiesznośtek, sporych kuriozów czy kontrowersyjnych wypowiedzi można by zbudować kalendarium działalności RPD. Choć to nie one są jego największym problemem.

Człowiek od poczęcia

Odsłona pierwsza, 12 grudnia 2018 r. Pawlak staje przed senatorami RP. Trzy tygodnie wcześniej – po wielomiesięcznym serialu z odrzucaniem kandydatur na RPD (jedną z nich, Sabina Zalewska, odpadła, gdy „TP” opisał jej plagiaty w pracy naukowej) – wygrał głosowanie w Sejmie. Teraz mówi w Senacie m.in. o *in vitro*, że jakkolwiek może i skuteczna, „od strony prawno-moralnej jest to metoda niegodziwa, bo w znaczącej liczbie powoduje, że poczęte istoty ludzkie (...) nie są wystarczająco chronione”.

W mediach burza, członkowie Stowarzyszenia na Rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Bocian” upubliczniają petycję. „My, rodziny dzieci, które przyszły na świat dzięki metodzie *in vitro* (...) żądamy

→ natychmiastowego odwołania Pana Mikołaja Pawlaka” – piszą. Rzecznikowi włos z głowy nie spadnie, a na temat życia od poczęcia będzie mówił jeszcze wielokrotnie. Takie zresztą nie tylko jego prawo, ale i obowiązek – dziecko to „każda istota ludzka od poczęcia do osiągnięcia pełnoletności” nie tylko wedle jego poglądów, ale też według ustawy o RPD z 2000 r.

Obroncy Pawlaka powiedzą, że to pierwszy rzecznik skrupulatnie podchodzący do prawa. Krytycy, że działanie zgodne z jego literą nie musi oznaczać stygmatyzowania ludzi. I że ochrona życia od poczęcia to jedyny ustawowy obowiązek, do którego Pawlak podchodzi z taką powagą. Z mniejszą – mówią – podchodzi do dzieci poczętych, a następnie urodzonych z wadami czy chorobami. Mimo iż ta sama ustawa nakłada nań obowiązek otaczania „szczególną troską i pomocą” dzieci z niepełnosprawnościami.

Takiej troski nie widzi np. Andrzej Suchcicki ze Stowarzyszenia Rodzin i Opiekunów Osób z Zespołem Downa „Bardziej Kochani”. – W przypadku tych dzieci ciągle wiele jest do zrobienia. Chodzi głównie o wsparcie rodziców – to od nich zależy jakość życia dziecka. Mikołaj Pawlak nie wykazywał zainteresowania tym problemem, z tego, co wiem, nie nawiązał też współpracy z innymi, podobnymi do naszej organizacjami. Podobnie zresztą było zawsze: na konferencjach, których zrobiliśmy ze 30, gościliśmy przedstawicieli kolejnych rzeczników, ale nic z tego nie wynikało – mówi Suchcicki.

– Aktywność rzecznika w dziedzinie ochrony życia pokazuje, że potrafi on bronić tego, w co naprawdę wierzy – mówi z kolei Joanna Luberadźka-Gruca, szefowa Fundacji Polki Mogą Wszystko. – Nie widzę podobnej energii w innych sprawach: np. ochrony znajdujących się w tragicznej sytuacji dzieci z niepełnosprawnościami trafiających poza rodziny. Mamy świetne, specjalistyczne instytucje na ich rzecz, choćby Małego Księcia. Ale niektóre z nich dzieci muszą opuścić wraz z ukończeniem 12. roku życia, trafiając najczęściej do Domów Pomocy Społecznej. Nie pamiętam mocnego głosu RPD w tej sprawie.

Nie było go w sprawie obrony dzieci z niepełnosprawnościami lub chorobami, które straciły szansę na adopcję zagraniczną. PiS drastycznie je ograniczył zgodnie z zasadą, że polskie dzieci powinny

Z drobnych śmiesznek, sporych kuriozów czy kontrowersyjnych wypowiedzi można by zbudować kalendarium działalności RPD.

Choć to nie one są jego największym problemem.

pozostawać w Polsce. – Z samą zasadą nie mam problemu – mówi Anna Krawczak. – Każdy rozwinięty kraj powinien mieć zasoby, by zaopiekować się dziećmi z niepełnosprawnością. Tyle że Polska się takich zasobów nie dorobiła.

W „Tygodniku” opisaliśmy półtora roku temu takie historie: dzieci, którym polskie państwo odmówiło wyjazdu, zamiast trafić do stabilnych rodzin zastępczych, tułają się po instytucjach, m.in. zakładach opiekuńczo-leczniczych.

– Jeśli to nie jest sprawa dla rzecznika praw dziecka, to co nią jest? – pyta Krawczak.

Klaps od taty

Odsłona druga, czerwiec 2019 r. RPD udziela wywiadu „Dziennikowi Gazecie Prawnej”. „Trzeba rozróżnić, czym jest klaps, a czym jest bicie” – mówi. A potem pada zdanie, niby poprzedzone zastrzeżeniem („absolutnie nie wolno bić dzieci. I to jest bezwzględne. Koniec pieśni”), ale mające jednoznaczny wydźwięk: „Z estymą wspominam to, że dostałem od ojca w tyłek. Jeżeli polaliśmy bratu denaturatem nogę, a potem ją podpaliśmy... Ojciec w porę zareagował. Tak że przez dobrą chwilę nie mogłem siadać”.

Kolejna burza, kolejna petycja. Jej autor, blogger Kamil Nowak, pisze: „Tak jak nie ma minimalnej dawki alkoholu w ciąży, tak nie ma minimalnej dawki przemocy, i dlatego też domagamy się dymisji Mikołaja Pawlaka”. RPD zapewnia, że został źle zrozumiany („Nigdy nie powiedziałem, że można dawać dzieciom klapsy”), ale nie podejmuje realnych działań na rzecz przeciwdziałania przemocy.

– Poprzedni RPD nie był może rzecznikiem awangardowym, ale na jego plus należy zapisać wprowadzenie zakazu bicia – mówi Krawczak. – To poprzedni

rząd wprowadził tę zmianę, ale Marek Michalak był jej rzecznikiem i patronem. W polskich realiach kulturowych to była duża rzecz. Nie zdążył, choć chciał, zmienić kodeksu rodzinnego i opiekuńczego: planowany zapis o odpowiedzialności rodzicielskiej zamiast „władzy” też byłby symbolicznym przełomem.

Pawlak nie kontynuuje tego projektu. Nie podejmuje też prowadzonego przez Michałaka od 2011 r. monitoringu postaw Polaków wobec bicia dzieci. Choć ustawa o RPD nakłada nań obowiązek walki z przemocą, sam w tej kwestii robi niewiele. Nie wspiera zajmujących się tym organizacji.

– RPD powinien być naturalnym partnerem fundacji. Dzisiaj, po niemal dwóch latach kadencji, jesteśmy bardzo rozczarowani – mówi Monika Sajkowska, prezeska istniejącej od 1991 r. Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Pawlak nie zrobił nic, gdy MEN nie przyznał finansowania Telefonowi Zaufania dla Dzieci i Młodzieży prowadzonemu przez FDDS.

Toffi od wujaszka

Odsłona trzecia, maj 2020 r. I znowu wywiad (dla Radia Zet), tym razem w apogeum epidemicznego lockdownu. Pawlak apeluje o złagodzenie konsekwencji zdalnego nauczania. Jak?

„Na radach pedagogicznych do tych arytmetycznych wyników, które wychodzą z ocen jednostkowych, (...) po prostu zróbmy plus jeden” – mówi z powagą.

– Ta wypowiedź pokazała, że RPD nie ma pojęcia, na czym polega praca nauczycieli – ocenia Iga Kazimierczyk, szefowa Fundacji Przestrzeń dla Edukacji. – Pobrzmiewa tu przekonanie o ocenach jako nagrodzie lub karze: jak będziesz się uczył, to „cukierek”, a jak źle, to „po łapach”. Ocena to nie jest coś, co nauczyciel „daje”, to element umowy z dzieckiem. Pomyśl Pawlaka byłby naruszeniem zasad: odpowiedzialności za słowo, dotrzymywania umów, lojalności.

– RPD to nie zupa pomidorowa: nie muszą go wszyscy lubić – dodaje Joanna Luberadźka-Gruca. – A niektóre wypowiedzi Pawlaka wskazują, iż właśnie to bywa jego głównym celem.

Ale znowu: to nie jedna wypowiedź stanowi największy problem. Gdy wybrzmiewa w eterze, Mikołaj Pawlak prze-gapia właśnie swoją szansę. W momencie, gdy premier Norwegii Erna Solberg, ale

też kilkoro innych europejskich przywódców, zwraca się do dzieci, mówiąc o ich emocjach i lękach, ale też tłumacząc, czym jest koronawirus, głos polskiego rzecznika praw dziecka jest słabo słyszalny.

– W innych krajach były konferencje, panele poświęcone dzieciom – mówi Anna Krawczak. – Co robi w tym czasie Pawlak? Koncert z Vicky Gabor i Roksaną Węgiel. Przychodzi mi tu na myśl figura dobrotliwego, ale protekcyjnego wujaszka, który daje dziecku toffi.

W tym samym czasie dzieje się też żeł w samej edukacji. I RPD, owszem, o edukacji mówi. Albo jednak trafia kulę w płot, jak w przypadku ocen, albo płynie po powierzchni zjawisk – jak wtedy, gdy zwraca uwagę na przeciążenie uczniów. – Ten głos z okresu epidemii zapisałabym mu na plus, gdyby towarzyszyła temu głębsza refleksja – mówi Iga Kazimierczyk. – Choćby próba diagnozy, w jakim stopniu przeciążenie wynika z przeładowanych podstaw programowych, wprowadzonych w związku z reformą Anny Zalewskiej.

Mikołaj Pawlak występował w sprawach, o których mówiła cała Polska: cyfrowego wykluczenia i dzieci „zaginionych” w systemie, często na skutek trudnej sytuacji rodzinnej. Ale jego głos przebiegał się słabo. – Wszyscy przeżywali stres, byli zagubieni – wspomina Iga Kazimierczyk. – A urzędnicy i politycy mówili „o dzieciach”, zamiast „do dzieci”. To był moment, by wejść w rolę tłumacza

świata dorosłych. Mikołaj Pawlak tę szansę zmarnował.

Podobnie jak kilka innych, na które zwracają uwagę eksperci. Kazimierczyk: – Przed epidemią Pawlak mówił o psychiatrii dziecięcej, głównie w kontekście rozdzielania funduszy. A problem jest systemowy, i obejmuje też wsparcie w szkołach oraz placówkach opiekuńczo-wychowawczych. Zatrudniają one psychologa i pedagoga tam, gdzie są pieniądze. Tylko że zwykle ich nie ma, a teraz nie ma ich tym bardziej.

Luberadzka-Gruca: – Sytuacja dzieci w placówkach, ich ograniczony dostęp do edukacji, była trudna. Fakt, że RPD nie bił na alarm, jest zadziwiający.

Krawczak: – Nauczanie zdalne, szczególnie w zawodowych rodzinach zastępczych czy rodzinnych domach dziecka, poległo na całej linii. Mając pod dachem jedenaścioro dzieci, nie da się tego nauczania skutecznie przeprowadzić. Rzecznik milczał.

Czego nie da się powiedzieć o sprawie edukacji seksualnej.

Pigułka od edukatora

1 września, odłona czwarta. Pawlak w „Rozmowie Piaseckiego” w TVN24 pyta retorycznie prowadzącego, czy zagwarantuje mu, że edukatorzy seksualni „nie będą wprowadzali takich treści, jak chociażby w Poznaniu, że wychwytyują dziecko rozchwiane, zaniedbane, któremu dają jakieś środki farmakolo-

giczne, żeby zmieniać jego płeć bez wiedzy i zgody rodziców i lekarzy?”.

Znowu burza, znów petycja. „W związku z faktem, iż pan Mikołaj Pawlak nieustannie kompromituje jeden z najważniejszych urzędów w RP (...) proszę o poparcie” – pisze Dorota Zawadzka, psycholożka. Popularna telewizyjna Superniania zauważa przy okazji, że w ujęciu Pawlaka dzieci są własnością swoich opiekunów, i że „protestował w sprawie praw rodziców (a jest podobno RPD) do wychowywania dzieci »zgodnie z własnymi przekonaniem«, przewrotnie odzyskując prawo dzieci do zajęć z edukacji seksualnej”.

Oto klucz do zrozumienia optyki Pawlaka: dziecko jest w niej ważne, ale jako część nienaruszalnej konstelacji: „tradycyjnej rodziny”. Stąd aktywność RPD tam, gdzie dobro dziecka rymuje się z dobrem jego biologicznego otoczenia – jak w przypadku słusznego skądinąd apelu Pawlaka o nierozdzielanie w szpitalach dziecięcych młodych pacjentów i ich rodziców w epidemii.

Tyle że jego filozofia ma dalej idące konsekwencje. Według Moniki Sajnowskiej główną jest głęboki regres. – Po wprowadzeniu w 1989 r. Konwencji o prawach dziecka i dekadach promowania jej zapisów zaczęliśmy postrzegać dziecko jako podmiot – uważa szefowa FDDS. – Teraz ta perspektywa przestała się pojawiać w przekazach instytucji publicznych. Ci, którzy walczą o prawa

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

#wrzesienkobiet

We wrześniu do 3-miesięcznego dostępu do strony
TygodnikPowszechny.pl – wydanie specjalne
„Moc kobiet” w prezencie!

Jak skorzystać z promocji:

- wejdź na powszech.net/wrzesienkobiet
- wybierz w sklepie ofertę #wrzesienkobiet – 3-miesięczny e-dostęp do bieżących wydań i bogatego archiwum ORAZ drukowane na kredowym papierze wydanie specjalne „Moc kobiet”
- przy zamówieniu lub w UWAGACH wpisz adres wysyłki, a pismo dostaniesz do skrzynki pocztowej na **nasz koszt** – niezależnie od kraju dostawy!



→ dzieci, przez rzecznika są nazywani „wprowadzającymi nowomowę przedstawicielami środowisk lewicowych”. Ich działania są dezawuowane i blokowane przez budowanie poczucia zagrożenia, bywa że przy użyciu fake newsów takich jak środki „na zmianę płci”.

Sajkowska zwraca też uwagę na odwrócenie logiki myślenia o edukacji seksualnej: – Gdy Pawlak mówi o „wypalaniu pedofilii gorącym żelazem”, to się z nim zgadzam. Ale dla RPD ta metafora oznacza tylko surowsze kary dla sprawców – dla mnie również konsekwentną profilaktykę. A ona polega także na pomocy dzieciom w rozumieniu świata, powiększaniu wiedzy o seksualności, rozwijaniu asertywności, podmiotowości. Wzmacnianie tabu seksualności i blokowanie dzieciom dostępu do wiedzy to nie „wypalanie pedofilii”, tylko stwarzanie przeszkazy dla krzywdzenia.

Przyznać trzeba: sprzymierzeńcem Pawlaka w zabezpieczaniu głównie praw rodziców – choćby praw wyimaginowanych, wszak np. przepisy oświatowe chronią rodziców przed niechcianymi szkolnymi treściami – jest ustawa o RPD, mówiąca o rodzinie jako „naturalnym środowisku rozwoju dziecka”. – Tylko że Pawlak jakby nie przyjmował do wiadomości, iż prawo do życia w rodzinie nie anuluje innych praw – mówi Luberadźka-Gruca. – Stawia rodzinę na piedestale, z czym się generalnie zgadzam. Ale to świat idealny, w tym realnym oddzielanie dzieci od biologicznych rodziców bywa dla nich jedynym ratunkiem.

Lipiec tego roku, RPD zwraca się z apelem, by „przerwać cierpienie dzieci odseparowanych od rodziców”. Chodzi o te odebrane interwencyjnie – np. na skutek przemocy – biologicznym rodzicom i umieszczone w rodzinach zastępczych. Pawlak chce, by koronawirus nie pozbawiał dzieci możliwości widzeń z matką i ojcem. Ale nie wspomina o drugiej stronie problemu. – Znam co najmniej kilka historii, gdzie w związku z koronawirusem sądy podejmowały decyzje o powrocie dzieci pod rodzinny dach – opowiada Luberadźka-Gruca. – Kończyło się to tragicznie: ponowną przemocą i ponownym rozdzielaniem. O tym RPD milczał.

Według działaczy sektora NGO Pawlak nie grzeszy też aktywnością w sprawach ideologicznie neutralnych. Luberadźka-Gruca: – Rząd tworzy nową strategię deinstytucjonalizacji w różnych obszarach:

Rzecznik Pawlak jakby nie przyjmował do wiadomości, że **prawo dziecka do życia w rodzinie nie anuluje innych praw.**

od domów dziecka, przez oddziały psychiatryczne, aż po domy opieki. Jestem w grupie na rzecz dzieci i młodzieży – RPD nie włączył się w te prace.

Krawczak: – W połowie kwietnia spadały z wokand sprawy adopcyjne. To były już dzieci w okresie styczności, a więc po dwóch, trzech spotkaniach. Mieliśmy sytuację, że dziecko po poznaniu mamy i taty nie miało z nimi długiego kontaktu. To tak, jakby ktoś je powtórnie porzucił. Wystosowaliśmy apel do premiera, by wpisać te adopcyjne sprawy w projekt tarczy antykrzysowej. Mieliśmy nadzieję na wsparcie RPD. I kto podjął temat? Ustępujący rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

Rzecznicy rzecznika odkrywają świat

Mikołaj Pawlak nie znalazł w zeszłym tygodniu czasu na rozmowę z „TP”. Niełatwo też znaleźć jego obrońców. Już po jego wypowiedzi o edukatorach najaktywniej bronił go poseł PiS i wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta. Nic dziwnego: obecnego rzecznika można uznać za „człowieka Ziobry”, bo to on ściągnął późniejszego RPD – w latach 2005-16 pracującego m.in. przy stwierdzaniu nieważności małżeństw w sądach kanonicznych – do pracy w resorcie (2016-18). Kaleta mówił w mediach o „świątym rzeczniku” i podkreślał, że jest on obrońcą polskich dzieci przed „ofensywą lewicy”.

To właśnie posła PiS prosimy więc o bardziej szczegółowy bilans sukcesów RPD. Ale w odpowiedzi słyszymy z grubsza to samo: że zasłużył się sprzeciwem wobec edukacji seksualnej oraz obroną prawa rodziców do wychowania. Gdy prosimy o bardziej konkretne przykłady, minister odmawia dalszej rozmowy.

Takie przykłady powinna zawierać informacja o działalności RPD za 2019 rok,

z którą podczas wakacji zapoznał się Sejm, a w zeszłym tygodniu Senat (tu miał zresztą miejsce ciąg dalszy odsłony czwartej: rzecznik podtrzymał swoje słowa o edukatorach, ale jedyny „dowód”, jaki dostarczył, to widziane ponoć przez niego uczniowskie plecaki, do których mieli rzekomo wrzucać środki na zmianę płci). Przedstawiając dokument, Pawlak chwalił się, że osobiście bierze udział we wszystkich wpływających do biura sprawach. Chwalił się także uczestnictwem w większej niż za poprzedniej kadencji liczbie spraw sądowych i osobiście udziałem w wielu z nich.

Nie znajdziemy jednak w dokumencie informacji o żadnych sprawach indywidualnych (co czynił Michalak, wymazując dane osobowe). Powód? Ochrona dóbr dzieci, jak tłumaczył Pawlak na posiedzeniu dwóch sejmowych komisji. Ale to on nie tylko osobiście zaangażował się w głośną, skomplikowaną sprawę Ines (spór o prawa do wychowania czteroletki między mieszkającą w Polsce babcią a przebywającym w Belgii ojcem), ale też przyczynił się do jej nagłośnienia, odwiedzając dziewczynkę w towarzystwie tłumy m.in. dziennikarzy.

W sprawozdaniu znalazło się natomiast miejsce na „List otwarty o prawach dziecka do życia i wychowania w rodzinie” czy spis 181 patronatów RPD, które według Pawlaka stanowią formę promocji praw dziecka. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób miałyby je promować takie wydarzenia jak Targi Wydawców Katolickich, Projekt Edukacyjny „Ziuk – opowieści o Józefie Piłsudskim” czy „VII Mazowiecka Olimpiada Politologów” (chodzi pewnie o poliglotów, bo organizatorem jest Lingwistyczna Szkoła Wyższa).

Jedną z obrończyni Pawlaka jest posłanka Joanna Borowiak (PiS), która chwaliła zarówno jego działania, jak i sprawozdanie. „Jako motto swojej informacji zamieścił pan bardzo ciekawy cytat” – mówiła w Sejmie, przytaczając... Agathe Christie piszącą o punkcie widzenia dziecka, od którego my, dorośli, się oddaliliśmy. A następnie tak go komentując: „Jako pedagog muszę przyznać, że ten cytat jest dla mnie odkrywczy. Tak, rzeczywiście, tak się pewnie zadziało, ale widać, że pan (...) jako strażnik dobra dziecka w Polsce nie traci z oczu tego punktu widzenia”.

© ANNA GOLUS,

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Granice współczucia

ANDRZEJ STANKIEWCZ

Jeśli Jarosław Kaczyński mówi, że rusza na ratunek zwierzętom, to znaczy, że mówi. W przeszłości zawsze przegrywał z ojcem Rydzykiem, patriarchą branży mięsno-futrzarskiej.

TEGO NIE KWESTIONUJE NIKT – Kaczyński kocha zwierzęta. To przejawia się nie tylko w słabości do kotów. Już w połowie lat 90. miał jasne zdanie o łowiectwie: „Nienawidzę polowań i kompletnie nie jestem w stanie zrozumieć ludzi, którzy znajdują przyjemność w zabijaniu zwierząt i przypatrywaniu się, jak one zdychają”. Deklarował także: „Moja bratanica regularnie uczestniczy we wszelkich manifestacjach antyfutrarskich”.

W 2017 r. wystąpił w filmie nagrany przez Fundację Viva!, która walczyła o wprowadzenie zakazu hodowli zwierząt na futra. „Zakaz hodowli zwierząt futerkowych w Polsce to kwestia stosunku do zwierząt, serca dla zwierząt, litości dla zwierząt, które każdy porządny człowiek powinien w sobie mieć” – mówił.

Kiedy w minionym tygodniu rozeszła się wieść, że Kaczyński zgłosi radykalną ustawę, która ma ograniczyć pastwienie się nad zwierzętami, pojawiły się z miejsca wątpliwości. Czy prezes doprowadzi ten projekt do końca, skoro już raz przegrał rozgrywkę o zwierzęta z ojcem Rydzykiem?

Pół dekalogu dla zwierząt

Kaczyński doznał wzmocnienia humanitarnego po tym, gdy Onet wyemitował reportaż Janusza Schwertnera „Krwawy biznes futerkowców”, przygotowany we współpracy z organizacją Otwarte Klatki. Wprowadziła ona swego współpracownika, Ukrainka Żenię, do farmy norek Wojciecha Wójcika, brata lidera branży



ANDRZEJ SIDOR / FORUM

Jeden z punktów „piątki dla zwierząt” przewiduje zakaz trzymania psów na uwięzi w sposób stały

Szczepana Wójcika. Nagrania są wstrząsające. Norki stłoczone i przetrzymywane w potwornych warunkach. Zagryzane przez psy i zjadające się nawzajem.

To było widowiskowe zaprzeczenie wszelkich tez, że ten biznes dba o dobrostan zwierząt. Wcześniej Szczepan Wójcik zasłynął stwierdzeniem, że jego norki mają lepsze warunki niż ludzie.

W odpowiedzi Kaczyński zwołał ekspresową konferencję prasową. Nie wspominając ani słowem o norkach i Żeni zapowiedział – oczywiście w numerycznym stylu PiS – „piątkę dla zwierząt”. Chodzi o wprowadzenie zakazu hodowli zwierząt na futra, z wyjątkiem królika, zakaz wykorzystywania zwierząt w celach rozrywkowych (w tym w działalności cyrków), ograniczenie uboju rytualnego, zakaz trzymania zwierząt na uwięzi w sposób stały, a także wzmocnienie roli państwa i organizacji społecznych w nadzorze nad traktowaniem zwierząt, w tym zmiany w przepisach o schroniskach.

Osobista klęska prezesa PiS

Nie przypadkiem ogłaszając swą prozwierzęcą krucjatę, nie wspomniał o repor-

tażu poświęconym Wójcikom i ich norcom. Tak się składa, że Szczepan Wójcik to jeden z faworytów o. Tadeusza Rydzyka. Publiczne nawiązanie przez prezesa do patologii na rodzinnej farmie Wójcików byłoby zatem otwartym uderzeniem w sojusz PiS z redemptorystą. Ale nie tylko. Ponad wszystko byłoby to przyznaniem się przez Kaczyńskiego do osobistej klęski. Bo już w poprzedniej kadencji zapowiadał zaostrzenie przepisów o ochronie zwierząt – dlatego wystąpił wówczas w spocie Vivy!

Projekt PiS z 2017 r. był rewolucyjny – zakazywał m.in. trzymania psów na uwięzi, hodowli zwierząt futerkowych oraz uboju rytualnego. Zaostrzone miały być kary za znęcanie się nad zwierzętami. Obroncy zwierząt byli przeszczeniwi – w końcu poparł ich sam prezes PiS, który w tym czasie kiwnięciem palca przejmował instytucje i uchylał ustawy w jeden dzień.

Tyle że Kaczyński przegrał z Rydzykiem. Ojciec dyrektor bardzo mocno wsparł Wójcików i lobbując wśród posłów i ministrów PiS, po cichu zablokował zaostrzenie przepisów.

Okazało się, że prawa zwierząt to jeden z niewielu obszarów, w których prezes

→ nie panuje nad własną partią – bo panuje nad nią ojciec dyrektor. Jesienią 2018 r. PiS wycofał się z wprowadzenia tych przepisów. – Utrzymujemy w Polsce hodowlę zwierząt futerkowych – oznajmił ówczesny i obecny minister rolnictwa Krzysztof Ardanowski, bliski o. Rydzykowi i życzliwy hodowcom. – Prezes upominał mnie bardzo mocno, ale mam inne zdanie. Człowiek ma prawo hodować i wykorzystywać zwierzęta. Co za różnica, czy to zabicie norek, świni czy krowy?

Ardanowski wrzucił też parę obietnic, by Kaczyński wyszedł z twarzą z tej porażki. – Bardzo zaostrzę kryteria kontroli ferm. Łajdak, lump, który źle traktuje zwierzęta, nie będzie mógł ich dalej hodować.

Polowanie na Czabańskiego

W tamtym czasie Kaczyński nie mógł sobie pozwolić na wojnę z Rydzykiem i hodowcami. Miał wiele otwartych frontów z opozycją i różnymi środowiskami społecznymi i zawodowymi. Poza tym jesienią 2018 r. ruszał dwuletni serial porzecznych wyborów i liczyły się w nich głosy, których dysponentem jest ojciec Rydzyk.

Ta sytuacja pokazuje, że prezes potrafi się wyzbyć najgłębiej w nim tkwiących przekonań, jeśli tego wymaga sytuacja polityczna. Tolerował wszak w PiS potężne lobby myśliwskie, na czele z ministrem środowiska Janem Szyszka. Blokował jedynie co bardziej brawurowe pomysły Szyszki – zatrzymał odstrzał łosi, zakazał udziału dzieci w łowach i szkolenia psów na żywej zwierzynie.

Teraz jest inaczej. Serial wyborczy się skończył, więc Kaczyński może sobie pozwolić na starcie z toruńską rozgłośnią. Ale w partii brak entuzjazmu. Na konferencji u boku Kaczyńskiego stanął tylko szef młodzieżówki PiS Michał Moskał. A po konferencji schowali się Ardanowski, wiceminister rolnictwa i poseł PiS Szymon Giżyński oraz szef resortu środowiska Michał Woś. Delikatnie wsparł Kaczyńskiego tylko premier Mateusz Morawiecki.

To nie przypadek. Każdy w PiS ma w głowie historię Krzysztofa Czabańskiego, sprawdzonego druha Kaczyńskiego jeszcze z czasów Porozumienia Centrum. W poprzedniej kadencji Sejmu stał się on twarzą wspomnianego projektu zaostrzenia przepisów. Walczył o niego coraz bardziej osamotniony i osaczony

Prawa zwierząt to jeden z niewielu obszarów, w których Jarosław Kaczyński nie panuje nad własną partią.

przez o. Rydzyka oraz ludzi związanych z branżą futrzarską.

– W pewnym momencie zrobili ze mnie potwora. Nie tylko potwora dla polskiej wsi, ale potwora w ogóle – wspominał Czabański w filmie Onetu. – Nie robiło to na mnie specjalnego wrażenia, bo jak się działa publicznie, to trzeba mieć twardą skórę. Wrażenie robiło jednak to, że – jak donosiły media – posługiwano się firmami od czarnego PR-u.

Zapłacił za to wysoką cenę – w 2019 r. nie dostał się do Sejmu. Kandydował z Torunia, Rydzikowej stolicy.

Sojusz cementowany milionami

Kaczyński może sobie pozwolić na krucjatę, bo akurat jemu o. Rydzyk realnie nie zagrazi. Ich relacje są burzliwe i mocno pragmatyczne. Wszak w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” 29 kwietnia 1998 r. Kaczyński tak mówił o Radiu Maryja: „Nie mam wątpliwości co do tego, że po naszej stronie działają aktywnie rosyjskie służby specjalne. Radio Maryja jest dziś głęboko antyzachodnie, niechętnie nastawione do hierarchii kościelnej, prorosyjskie, wcale nie niezyciwe PRL”.

To nie był jednorazowy eksces. Kaczyński uważał o. Rydzyka za postać co najmniej szemraną, o wyraźnych prorosyjskich afiliacjach. Ich trwający od półtorej dekady sojusz jest czysto pragmatyczny, w tej chwili cementowany milionami, które płyną z rządowych instytucji do dzieł ojca dyrektora. Kaczyński może w takiej sytuacji i w tym momencie pozwolić sobie na zwarcie.

Ale tylko on. Nikt w PiS nie chce podzielić losu Czabańskiego. Co więcej, od lat wielu polityków zabiega o względy ojca dyrektora i nie zamierza dziś zwracać się przeciw niemu. Chodzi zwłaszcza

o Zbigniewa Ziobrę i jego ludzi, którzy od dekady współzawodniczą z PiS w pielgrzymkach do Torunia. Nie jest zatem pewne, że Kaczyński zdoła przekonać własny klub do zaostrzenia przepisów. Oczywiście zwiększenie ochrony zwierząt poprze spora część opozycji. Ale Kaczyński nie może dać gwarancji, że ustawa wejdzie w życie.

Hodowcy gotowi na wojnę

Chodzi nie tylko o to, że za futrzarzami stoi o. Rydzyk, który jest w stanie zakończyć niemal każdą prawicową karierę w Polsce. Chodzi też o to, że hodowcy to ludzie bardzo majątni, którzy wiedzą, jak zarządzać groszem, by bronić swych interesów przed porywem serca Kaczyńskiego.

Szczepan Wójcik – z zachowaniem wszelkich proporcji – działa na takiej samej zasadzie, jak wszyscy główni rozgrywający na prawicy: tworzy własne media, wierząc, że potrzebuje własnej tuby propagandowej. Tak kiedyś robił Kaczyński, zanim spacyfikował i podporządkował sobie TVP i Polskie Radio. Oczywiście własne media są istotą działalności o. Ryzyka. W media sporo milionów wlał też założyciel SKOK-ów Grzegorz Bierecki.

Wójcik kontroluje wpływowy prawicowy portal wSensie.pl, a także serwis światrolnika.info, który wbrew pozorom wcale nie opowiada wyłącznie o orce, siano i gazowaniu norek. To internetowe media, dzięki którym Wójcik i związani z nim hodowcy mogą wpływać na część konserwatywnej i wiejskiej opinii publicznej – i na polityków.

Z mediami Wójcika współpracują zresztą wzięci konserwatywni publicyści, którzy podzielają jego poglądy. Teraz, gdy Kaczyński pokazał „piątkę”, z miejsca przystąpili do ataku, zarzucając prezesowi odchylenie lewicowo-liberalne. Na wSensie.pl i swiecierolnika.info bryluje teraz Konfederacja, która broni futrzarzy, wietrząc w tym polityczną szansę. Pojawiały się także teksty o nepotyzmie w PiS. A Wójcik grzmi: „PiS wbił nóż w plecy polskiemu rolnictwu”.

Wycwiczeni podczas starcia w 2017-18 hodowcy są dobrze przygotowani na kolejną wojnę.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

AUTOR jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

ANNA

Dziewit-Meller: Wielki Niewypał



MOŻE TO TEN MĘCZĄCY POZĄTEK ROKU szkolnego tak działa, może wizja nadciągającego półrocznego polskiego marcopada (listorca), wypełnionego deszczem, błotem pośniegowym i szarą szmatą nieba wiszącego nad Warszawą, może zbli-

żający się coraz bardziej koniec czwartej dekady mego życia, kto wie – dość rzec, że melancholia w dniach ostatnich aż wylewa mi się uszami, zostawiając pełne łez kałuże na krzywych chodnikach. Nie śmiesz mi już prawie nic, nawet słodkie jak sztuczny miód publiczne przekomarzanki pisarzy Twardocha i Vargi, nawet wywiad Grzegorza Wysockiego z Jerzym Urbanem w „Wyborczej” ani spontaniczne przejście posłanki Hanny Gill-Piątek z Wiosny do ruchu Hołowni (jestem ze Śląska, radny Kałuża – pamiętamy!). Choć kiedyś bym się śmiała, to teraz mi tylko smutno. Dziwnie.

A może to wszystko w związku z lekturą, którą czytam z dziećmi, czyli cyklem książek napisanych przez Stephena Hawkinga i jego córkę Lucy, znaną popularyzatorkę nauki. W tomie trzecim, pt. „George i Wielki Wybuch”, tytułowy bohater razem z przyjaciółką Annie i jej tatą – matematykiem pracującym m.in. dla CERN w Szwajcarii – muszą się zmierzyć z zagrażającym rozwojowi nauki spiskiem, a ich przygody stają się punktem wyjścia do wyjaśnienia dzieciom (ale przynajmniej – w moim przypadku również rodzicowi), o co właściwie biega z teorią Wielkiego Wybuchu, z POCZĄTKIEM i tym, dlaczego jest COŚ, a nie NIC. I tak dalej.

Nie wiem, jak wy, ale ja normalnie pomiędzy wkładaniem brudnych gaci do pralki, pisanem tekstów do gazet, robieniem pożywnej kolacji, komitetem rodzicielskim i wizytami w Lidlu, niestety rzadko stawiam sobie pytania takie, jak te z poprzedniego akapitu. Mój horyzont myślowy trzyma się na co dzień znacznie niżej, nie latam niestety wysoko.

Siaty z zakupami, doroczny przegląd samochodu i przedłużający się potwornie remont łazienki nie pozwalają mi się na

co dzień wygodnie wzbijać. Czasem jednak nawet mnie – królowej przyziemności, cesarzowej konkrety – zdarzy się moment graniczny, gdy np. siedzimy sobie wieczorem z dziećmi, czytając u tegoż Hawkinga o fałszywej próżni, i wtedy któreś z dzieci, czyli ludzi znacznie bardziej wyzwolonych umysłowo ode mnie, zacznie analizować sprawy bytu i niebytu oraz np. tego, dokąd zmierzamy jako gatunek. I wtedy żadna siata z włoszczyzną mi już nie pomoże – lęk przed czymś znacznie większym od kłopotów z ZUS-em wyrwa mnie z miejsca i daje potężnego kopa w tyłek – krzycząc za mną, lecącą w przestworza: a leć, a piej! Piej o tym, że się boisz – ni-cości, ciemnej materii i końca tego, co się jednak ewidentnie kiedyś zaczęło.

Gdy byłem w wieku mojego młodszego dziecka, dziadkowie na wakacjach bezrefleksyjnie zezwolili mi pewnego razu zobaczyć w telewizji jakiś niezbyt wybitny film o tym, jak na Ziemię z Syriusza przylatują kosmici. Po przerażającym dla mnie wówczas seansie – pamiętam to jak dziś – otwarli wychodzące na górę Żar okno naszego domu i pozwolili mi razem z nimi wyglądać w ciemną, beskidzką, sierpniową noc, podczas której z nieba spadały meteoryty. Tłumaczyli spokojnie – żałując pochopnie udzielonej zgody na oglądanko – jak daleko od nas jest cały ten cholerny Syriusz, i że spokojnie, jeśli w ogóle jacyś kosmici tam są, to i tak nie zdążą przylecieć tej nocy tu do nas, nad brzeg rzeki Soły, nie zdążą zresztą także podczas wielu nocy kolejnych.

Przypominałam sobie ten wieczór sprzed lat, gdy w sierpniu, zakutani w swetry, leżeliśmy z dziećmi na kocu pod rozgwieżdżonym mazurskim niebem, a gwiazdy spadały z niego jak nienormalne, zostawiając za sobą srebrne ogony, niczym grube, iskrzące się krechy namazane niedbale na firmamencie.

I tylko kierunek refleksji okazał się odwrotny – 35 lat temu ja upewniałam się, wtulając się w popłochu w babcine ramiona, że nikt nie zdąży dolecieć na Ziemię i nas złośliwie pozabijać. Teraz zaś – ledwie niecałe cztery dekady później, moje dzieci dopytywały, czy to my zdążymy wylecieć stąd, nim nastąpi spodziewany koniec imprezy zwanej ludzką cywilizacją.

Kosmiczne perspektywy omawiane w książkach rodziny Hawkingów rozumie nawet sześciolatka: na razie nie ma nadziei na dom spokojnej starości dla ludzkości, gdzieś w pozaziemskiej przestrzeni, z planetą matką porzuconą jak śmieci w lesie. I to jest chyba przyczyną mojej najgłębszej powakacyjnej nostalgii – że nie mogę dzieciom powiedzieć na pewno, że spokojnie, mamy na wszystko czas. ©

W Sądzie Rejonowym w Pińczowie toczy się postępowanie w sprawie I Ns 121/20 o stwierdzenie nabycia spadku po Alinie Czesławie Jaros, c. Piotra i Balbiny, zm. 21 maja 2002 r. w Morawicy, ostatnio stale zamieszkałej w Pińczowie. Spadkodawczyni sporządziła testament z dnia 29 lipca 1996 r.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Aliny Czesławy Jaros, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 58/20 toczy się postępowanie z wniosku Stanisława Cubery o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Cuberze, zm. 16 lutego 1978 r. w Kotowej Woli, i Stefanii Cuberze, zm. 1 czerwca 1988 r. w Kotowej Woli, ostatnio zamieszkałych w Kotowej Woli.

Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SIŁACZKA

Dopiero ostatnio zrobiło się o niej głośno.
A trudno sobie wyobrazić, gdzie bez niej
byłby dziś polski Kościół, gdy chodzi o walkę
z nadużyciami seksualnymi wobec małoletnich.

ARTUR SPORNIAK

PO TYGODNIU BYŁO 13,2 TYS. WEJŚĆ. Żaden tekst na stronie Centrum Ochrony Dziecka nie cieszył się dotychczas taką popularnością. Nosi tytuł „Profilaktyka wykorzystywania seksualnego w Kościele katolickim”, a jego autorką jest Ewa Kusz, psycholożka, seksuolożka, zastępczyni dyrektora Centrum.

Pierwotnie ukazał się w specjalistycznym kwartalniku „Dziecko Krzywdzone. Teoria, badania, praktyka” wydawanym przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę. Ale sponsor wydania – Ministerstwo Sprawiedliwości – kazał go wycofać. „Fundusz Sprawiedliwości nie może zaakceptować go w takim kształcie z uwagi na znamiona też, które równocześnie można zinterpretować jako wynikające z uprzedzenia, a zatem podpadające pod chrystianofobię” – napisał urzędnik.

Po szumie, jaki ta decyzja wywołała, ministerstwo ją cofnęło. Zaznaczono jednak, że „wiceminister Romanowski podziela krytyczną ocenę artykułu, który (...) powinien mieć charakter naukowej analizy, a nie tekstu publicystycznego”.

Na sprawę zareagowały instytucje naukowe. Komitet Psychologii PAN nazwał reakcję ministerstwa „przejawem cenzury represyjnej” oraz „rażącym naruszeniem artykułu 73 Konstytucji” chroniącego wolność badań naukowych. Natomiast Zarząd Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Społecznej przypomniał zasady merytorycznej polemiki w nauce.

Cenzorskie zakusy

– Skąd sukces czytelniczy obszernego naukowego tekstu?

Ewa Kusz: – Domyślam się, że zarzut chrystianofobii wzbudził zainteresowanie.

– A domyśla się Pani, która z przedstawionych tez „podpada pod chrystianofobię”?

– Wydawca wysłał do Ministerstwa Sprawiedliwości pismo z prośbą o wyjaśnienie, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wysunięto trzy zarzuty: pierwszy dotyczył tego, że nie wzięłam pod uwagę różnic w systemach prawnych np. w krajach anglosaskich, w USA i w Polsce – odpowiadam, że artykuł nie dotyczył prawa. Drugi zarzut wypominał, że w zamieszczonej literaturze są odniesienia do artykułów medialnych. Rzeczywiście odnosiłam się m.in. do artykułów np. kard. Cupicha czy ks. Rossettiego, którzy są specjalistami w tej dziedzinie. A trzeci dotyczył owej „chrystianofobii”.

– Jedno zdanie w Pani artykule krytykuje władze, że nie podjęły odpowiednich działań w sprawie ochrony dzieci – może ono rozsiedziło urzędników?

– W jaki sposób krytyczna uwaga względem władzy ma stanowić wyraz uprzedzenia do Kościoła?

– Nie stanowi, ale polskich biskupów w swojej analizie Pani też nie oszczędza.

– Naprawdę nie wiem, na czym ma polegać rzekoma chrystianofobia.



ANNA WILK DLA „TP”

– Czy takie działanie władz jest niebezpieczne?

– Tak. Po pierwsze jest to cenzura, a po drugie – reakcja niemerytoryczna.

– Koniec końców wiele osób zapoznało się z analizą przedstawiającą stan prewencji w Kościele.

– To plus.

Ewa Kusz pochodzi z Tarnowskich Gór, gdzie do dzisiaj mieszka. Z wykształcenia jest psycholożką, seksuolożką i terapeutką. Psychologię kończyła na KUL. Ukończyła też Studium Psychoterapii w Stowarzyszeniu Psychologów Chrześcijańskich oraz dwa studia podyplo-



Ewa Kusz, Tarnobrzeg, 11 września 2020 r.

mowe: z seksuologii klinicznej na SWPS w Warszawie oraz z zarządzania zasobami ludzkimi na SGH. Ma za sobą dwa studia doktoranckie: z psychologii na KUL i na Wydziale Filozoficznym Akademii Ignatianum w Krakowie. Ale na obronę doktoratu nie starczyło już czasu. Jak mówi: – Było do wyboru albo przygotowanie realnych programów, albo praca naukowa.

To pierwsze okazało się dla niej bardziej pociągające. Wśród zainteresowań naukowych wymienia: wykorzystanie seksualne małoletnich przez osoby duchowne, profilaktykę wykorzystania sek-

sualnego, terapię sprawców wykorzystania seksualnego, seksualność osób duchownych i osób konsekrowanych. Dwa dni w tygodniu prowadzi gabinet psychologiczny w Katowicach. Jest biegłym sądowym sądu okręgowego w Gliwicach.

Nie chce opowiadać o sobie: – Bycie w centrum uwagi nie służy pracy psychoterapeuty, a to jest moje główne zajęcie, z którego się utrzymuję.

Adam i Ewa

Poznali się w Rzymie: on był asystentem generała jezuitów ds. Europy Środkowej i Wschodniej (od 2003 do 2012 r.), ona

przewodniczącą Światowej Konferencji Instytutów Świeckich (w latach 2004-08 i 2011-12), uczestniczyła też dwukrotnie jako audytorka w synodach biskupów (2008 i 2012). Oboje zainteresowali się kwestią wykorzystywania seksualnego małoletnich w Kościele: on w związku z pracą w jezuickiej kurii, ona z racji prowadzenia gabinetu psychoterapeutycznego, do którego trafiają ofiary oraz sprawcy wykorzystania seksualnego, także księża. Gdy w lutym 2012 r. Papieski Uniwersytet Gregoriański zorganizował dla biskupów i przełożonych zakonnych z całego świata pierwszą →

→ konferencję poświęconą temu problemowi, oboje wzięli w niej udział.

Gdy o. Adam Żak wrócił do Polski, Ewa Kusz należała już do zespołu przygotowującego normy postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych wobec nieletnich, które Benedykt XVI nakazał episkopatowi opracować w liście ogłoszonym w maju 2011 r.

O. Żak: – Brała udział w posiedzeniu Rady Prawnej Konferencji Episkopatu Polski, na którym dyskutowano wytyczne. Jej pomysłem było dodanie ważnych aneksów. To opóźniło prace, ale do brze się stało, gdyż aneksy zawierają bardzo konkretne zalecenia, jeśli chodzi o pomoc ofiarom, przyjmowanie zgłoszeń i formację kleryków. Ówczesny sekretarz bp Polak zaprosił ją do grupy przygotowującej aneksy, a ona zarekomendowała z kolei mnie.

Tak o. Żak został wciągnięty w pracę na rzecz reform. W 2013 r. decyzją Konferencji Episkopatu Polski został koordynatorem ds. ochrony dzieci i młodzieży.

Ks. Piotr Studnicki: – Pani Ewa zawsze stanowiła koncepcyjne zaplecze dla Adama. Adam bardzo polegał na jej doświadczeniu i wiedzy. Trudno mi sobie wyobrazić, by bez niej mogło powstać Centrum Ochrony Dziecka.

Studnicki przez dwa lata był sekretarzem o. Żaka, a od 2019 r. kieruje biurem abp. Wojciecha Polaka jako delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.

– Gdy w 2012 r. przy Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim powstało Centrum Ochrony Dziecka jako wyspecjalizowany ośrodek szkoleniowy, Ewa Kusz od razu mówiła, że takie centrum powinno też powstać w Polsce – mówi o. Żak.

Była zatem *spiritus movens* tej instytucji. Centrum zostało powołane przez władze Akademii Ignatianum w marcu 2014 r. Dyrektorem COD został o. Adam Żak, jego zastępczynią Ewa Kusz. Stało się ono źródłem pomysłów na reformę struktur kościelnych w dziedzinie ochrony dzieci, konkretnych programów oraz kadr. Specjaliści COD przeszkolili do tej pory ok. 6 tys. osób w całej Polsce – księży, zakonników i zakonnic, formatorów seminariów, katechetów i osób pracujących z dziećmi.

– Ewa Kusz była odpowiedzialna za większość programów szkoleń – przyznaje dyrektor COD. – Jej autorskimi pomysłami były np. szkolenia dla delegatów

Jak Ewa Kusz zareagowała na zdjęcie jej tekstu?

O. Żak odpowiada:

– Zdziwieniem.

Zaniepokoiło nas przede wszystkim to, że wraca cenzura.

diecezjalnych i duszpasterzy oddelegowanych specjalnie do kontaktu z ofiarami i przyjmowania zgłoszeń o nadużyciach. Jej pomysłem było też opracowanie polityk prewencyjnych w diecezjach czy zakonach. I to się udało zrobić. Ewa przekonała biskupów, żeby przeprowadzić we wszystkich metropoliach intensywne szkolenie związane z wprowadzaniem programów prewencyjnych.

Święta cierpliwość

Jezuita tak charakteryzuje współpracowniczkę: – Jest dynamiczna i bardzo skuteczna. Jeżeli do jakiejś idei jest przekonana, nie spocznie, dopóki jej nie wcieli w życie. Przydają jej się podyplomowe studia z zarządzania zasobami ludzkimi i doświadczenie menadżerskie. Kompetencje to jej siła.

Czy o coś się spiera?

– Czasem mamy różne zdania. Ostatnio co do tego, jak szybko trzeba było reagować po filmie Sekielskich. Ja uważałem, że trzeba działać szybko.

W pracy nad reformowaniem Kościoła Ewa Kusz zachowuje zimną krew i okazuje świętą cierpliwość. – Duża wiedza prowadzi do wytrwałości i do świadomości, że zmiany mentalnościowe nie zachodzą z dnia na dzień – mówi o. Żak. – Nie wystarczy do pewnych zmian przekonać biskupich delegatów. Oni muszą jeszcze przekonać swoich przełożonych.

O. Żak, pytany, jak Ewa Kusz zareagowała na informację, że jej tekst został zdjęty, odpowiada: – Zdziwieniem. Trzeba wielkiej wyobraźni, żeby przypisać jej fobię. To zarzut zupełnie wydumany. Jednak zaniepokoiło nas przede wszystkim to, że wraca cenzura. Myśleliśmy, że „urząd kontroli prasy” to bezpowrotna przeszłość. Nie miałem wątpliwości, żeby ten tekst natychmiast opubli-

kować na stronie COD w porozumieniu z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę.

A zarzut „publicystyki”?

– Artykuł jest przeglądowy, odnosi się do rzeczywistości, która powstaje. Siłą rzeczy ma aktualny charakter. Ale jest to analiza oparta na solidnych kryteriach – z natury krytyczna. Paradoksalnie w jednej z recenzji redakcyjnych pojawił się zarzut, że artykuł jest pisany za bardzo „z pozycji katolickich” – odpowiada dyrektor COD.

Niewygodna diagnoza

Reagując na artykuł Kusz władza polityczna uznała, że ma prawo oceniania, co jest dla chrześcijaństwa dobre, a co nie. „Jeśli ktoś miał jeszcze jakiejkolwiek wątpliwości, do czego prowadzi sytuacja, którą nazywam trwałym konkubinatem kierownictwa Konferencji Episkopatu Polski z rządem Prawa i Sprawiedliwości, to dzięki najnowszym działaniom Ministerstwa Sprawiedliwości może się o tym naocznie przekonać. Rząd staje się bardziej katolicki od papieża, a Kościół traci wiarygodność” – komentował naczelny „Więzi” Zbigniew Nosowski.

Tekst rzeczywiście stawia krytyczną diagnozę. „Rozczarowujące jest dotychczasowe podejście episkopatu, które wskazuje na brak wizji i na brak wspólnej zdecydowanej woli zaangażowania się w długofalowe budowanie spójnego systemu prewencji. Potwierdzają to niesety działania podjęte w pośpiechu w reakcji na dokument braci Sekielskich. Te działania nie zastąpią organicznego planowania gwarantującego tworzenie bezpiecznego środowiska dla osób małoletnich i bezradnych w polskim Kościele i w społeczeństwie”.

Ewa Kusz zastrzega, że tekst był pisany pół roku temu. Dzisiaj sytuacja jest o tyle lepsza, że na ostatnim zebraniu plenarnym KEP biskupi docenili pracę Centrum i rekomendowali, żeby powołana w zeszłym roku Fundacja św. Józefa finansowała jego działania. – To daje większe szanse na stworzenie całościowego programu działań prewencyjnych – komentuje Kusz.

– Do tej pory musieliśmy dużą część energii poświęcać na szukanie sponsorów. Taka instytucja jak COD nie może żyć tylko z grantów, bo brak stałego finansowania zagraża ciągłości funkcjonowania – dopowiada o. Żak.

Całościowy program, zdaniem Ewy Kusz, powinien zaczynać się od prewencji interwencyjnej, czyli działań, gdy wykorzystanie już nastąpiło, a więc odpowiednich procedur zgłaszania, które już w Kościele istnieją, ale nie zawsze jeszcze działają empatycznie, oraz pomocy ofiarom wykorzystania. Bazą wszelkich działań powinna z kolei być prewencja uniwersalna stwarzająca bezpieczne środowisko dla dzieci i zapobiegająca wykorzystaniu. Tu ważna jest współpraca całego społeczeństwa – chodzi np. o uwrażliwianie rodziców, nauczycieli, wychowawców. Tego nie da się robić bez koordynowania działań z władzą. W Polsce taka współpraca jest w powijakach – w przeciwieństwie np. do naszych zachodnich sąsiadów.

– Niemcy to, o ile wiem, jedyny kraj, w którym od początku uświadomienia sobie problemu wykorzystywania seksualnego w Kościele zorganizowano okrągły stół, przy którym zasiedli przedstawiciele Kościołów katolickiego i ewangelickiego, rządu i organizacji społecznych oraz specjaliści. Właśnie po to, by opracować całościowy system odpowiedzi na problem społeczny, czyli system prewencji. Kościół katolicki od początku też zobowiązał się finansować prewencję w swoich szeregach – mówi Ewa Kusz.

Mozolna droga

Miała udział w redakcji aneksów do wytycznych. Potem razem z o. Żakiem przekonywała przełożonych kościelnych do konieczności mianowania w diecezjach i zakonach delegatów przygotowanych do przyjmowania zgłoszeń oraz duszpasterzy zajmujących się opieką nad ofiarami. Byli oni sukcesywnie szkoleni przez COD. Obecnie odbywa się szkolenie kadr, które są przygotowywane do tworzenia szczegółowych programów prewencji w diecezjach i zakonach, i które będą czuwały nad ich wdrażaniem.

Kusz w artykule podaje, że pierwsze dwa trysemestralne kursy ukończyło już ponad 40 osób, a na trzecim kursie studiuje 32 osoby. Prawie wszystkie diecezje i liczne zakony mają już opracowane systemy prewencji, niektóre z kodeksami zachowań. Inną sprawą jest, czy i jak te normy są wdrażane.

– Najłatwiej jest napisać dokument, którym się potem można chwalić – zauważa Kusz. – Żeby jednak rzeczywista prewencja zaczęła funkcjonować na sa-

mym dole, czyli w parafiach i w poszczególnych wspólnotach, potrzeba wiele czasu i licznych działań.

Ale przede wszystkim woli. W Kościele nie jest badane zjawisko wykorzystania seksualnego, nie są ewaluowane programy prewencyjne, trudno zebrać podstawowe dane statystyczne, które mówiłyby o skali problemu. Bez tego działania muszą być chaotyczne. Widać dużą inercję instytucji w podejmowaniu systemowych decyzji. Artykuł wskazuje na niedomogi: „Brak jest badań teoretycznych, analizy instytucjonalnych czynników ryzyka, przygotowania schematów szkoleń dla różnych grup, superwizowania i monitorowania całej pracy profilaktycznej”.

Ewa Kusz: – Jestem typową Ślaczką, której działanie spontaniczne niespecjalnie się podoba. W różnych miejscach podejmuje się różne inicjatywy. Podejście systemowe ciągle jest rzadkie. Uważam, że przełom wciąż przed nami. Nastąpi, gdy podejmiemy działania systemowe, nie tylko w Kościele, ale w ogóle w społeczeństwie. Całościowe podejście to działania interwencyjne, czyli gdy krzywda się wydarzyła, i zapobiegawcze, czyli chroniące przed krzywdą. Jest to praca z ofiarą i z potencjalną ofiarą; ze sprawcą i z potencjalnym sprawcą oraz z systemem. Takiego podejścia o weryfikowanej skuteczności jeszcze u nas nie ma.

I znów pomarzyć można, patrząc na Kościół katolicki w Niemczech. Wyasygnowano tam pół miliona euro jako fundusz początkowy na stworzenie systemu prewencji. Na zlecenie biskupów powstał też raport o skali i przyczynach zjawiska wykorzystywania seksualnego małoletnich przez księży sporządzony przez niezależne akademickie instytucje.

– Przemyśleć problem pedofilii powinni także teologowie – przekonuje Kusz. – Co takiego jest w rozumieniu i przeżywaniu wiary u sprawców, że potrafią usprawiedliwić krzywdzenie dziecka? Dlaczego ich przełożeni oraz wspólnota Kościoła bardziej są zafascynowani o swój zewnętrzny obraz niż o dobro człowieka skrzywdzonego? Potrafię wyjaśnić takie zachowanie od strony psychologicznej, ale przecież pozostają pytania np. o formację, o rozumienie święceń, władzy w Kościele i wiele innych kwestii należących do teologii.

Kuleje również formacja do dojrzałego przeżywania własnej seksualności.

Ewa Kusz zauważa, że w niektórych seminariach pojawiają się takie tematy i zajęcia. Ale zaraz dodaje, że ważniejsza od wykładów i wiedzy jest atmosfera, która pozwala podzielić się własnymi problemami z wychowawcami, przygotowanymi profesjonalnie, by mogli pomóc zgłaszającym problemy klerykom. – Gdy bada się sprawców przestępstw seksualnych, wielu z nich w momencie wstąpienia do seminarium, a jeszcze bardziej w momencie przyjęcia święceń, przestało mieć kontakt ze swoją seksualnością. Skutek był taki, że tracili nad nią kontrolę i to ona zaczynała nimi kierować.

Inercja i upór

Ostatnio coraz szybciej wydłuża się lista biskupów odpowiedzialnych za tuszowanie przypadków pedofilii w Polsce. Inercja instytucji, z którą od co najmniej ośmiu lat zmagają się o. Adam Żak i Ewa Kusz, ma być może konkretny powód: lęk przed odpowiedzialnością. Czy jest możliwe superwizowanie biskupów? Kusz odpowiada, że to pytanie do teologów.

Trudno przecenić rolę Ewy Kusz w przemianach dokonujących się w Kościele w Polsce. Trudno wyobrazić sobie, gdzie byłibyśmy w tej chwili, gdyby nie rozpoczęła w 2012 r. współpracy z o. Adamem Żakiem. I to wszystko dokonała „przy okazji” pracy zawodowej – jej głównego zajęcia.

Gdy podczas debaty zorganizowanej przez Deon.pl w marcu 2019 r., na którą oboje zostali zaproszeni, o. Żak zbierał podziękowania za wszystko, co robi dla sprawy ofiar w Kościele, odpowiedział wskazując na Ewę Kusz: „Nie robię tego sam – po drugiej stronie stołu siedzi osoba, która ma najwięcej pomysłów, a ja czasem z trudem je realizuję”.

© © ARTUR SPORNIĄK

RDC POLSKIE RADIO **BARTEK DOBROCH** opowie Grzegorzowi Chłascie o polskich górach jesienią (tekst na s. 110) w śróde 16 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia. | Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Przytulisko

MARCIN CHODUŃ

Tarnowska Fundacja Kromka Chleba od prawie dwudziestu lat pomaga ludziom będącym w potrzebie. Jej działalność wsparł niedawno papież.

QUIZ NA STUDIACH BYŁ PROSTY: „Wygrała pani pięć milionów złotych – proszę napisać, na co przeznaczyłaby pani tę kwotę”. Anna Czech nie zastanawiała się długo. „Na dom dla siostry, na samochód dla rodziców i na małe wkłady dla dzieci” – napisała. A co z resztą? „Za resztę założyłabym fundację dla osób w trudnej sytuacji” – uzupełniła bez wahania.

Myśl o pomocy potrzebującym pozostała w jej głowie. Aż przybrała konkretny kształt: w 2003 r. Anna założyła w rodzinnym Tarnowie Fundację Kromka Chleba, która prowadzi łazienkę i noclegownię dla osób potrzebujących oraz buduje hospicjum.

Papieskie natchnienie

Nawigacja melduje, że cel został osiągnięty, choć szukanego budynku nie widać. Na ratunek przychodzi głos pani Anny w telefonie: to jest właściwe miejsce, trzeba podjechać pod nieużywaną już rampę kolejową. A ona już tam czeka z kilkoma podopiecznymi.

Anna Czech zaprasza do środka: na wprost wejścia metalowe szafki, na lewo część dla kobiet, na prawo – dla mężczyzn. W każdym z pomieszczeń dwa prysznice i pralka. W przedsionku, w którym urzęduje kierująca fundacyjną łazienką pani Maria, portret Jana Pawła II.

– W 2002 roku pojechałam z córką, synem i przyszlą synową na spotkanie z papieżem na krakowskich Błoniach – wspomina Anna Czech. – I podczas homilii Jan Paweł mówił o świętych, którzy opiekowali się bezdomnymi.

Znak? Nie, tak by tego nie ujęła. – Zdecydowanie nie jestem nawiedzona, ale odebrałam to jako wezwanie do działania.



JACEK TARAN

Anna Czech, prezeska Fundacji Kromka Chleba. Tarnów, lipiec 2020 r.

Pomyślałam: „Zrobię łazienkę dla tych, którzy nie mają się gdzie umyć”.

Pomysł spotkał się ze zdumieniem znajomych. „Pijakom będziesz pomagać?” – słyszała. Uparła się. Poszła do ówczesnego biskupa tarnowskiego Wiktora Skworca, którego poznała jako dyrektorka Szpitala św. Łukasza w Tarnowie. Idea spodobała się hierarsze. – Ustaliliśmy, że zorganizuje to miejscowy Caritas, a ja mogłabym zbierać pieniądze. Ale przez kilka miesięcy nic się nie wydarzyło, więc biskup ostatecznie uznał: „Widać, że jednak pani ma to zrobić”.

Fundację założyła z odszkodowania – czterech tysięcy złotych – które otrzymała z ZUS-u z powodu niegroźnego wypadku samochodowego, któremu uległa w drodze z pracy. Cegielkę – 5 tysięcy złotych – dołożył biskup. Pod wpływem jego sugestii, że łazienka powinna znajdować się w okolicach dworca kolejowego, Anna skontaktowała się ze znajomym dyrektorem w PKP. Udało się uzyskać 50 m² w budynku przy nieczynnej rampie kolejowej.

Płytki na ścianę załatwił znajomy męza, który prowadzi sklep z materiałami budowlanymi; kładli je uczniowie z pobliskiej szkoły budowlanej. Drzwi dostała z tarnowskich Azotów. Szafki wykonała firma, która zgodziła się na otrzymanie zapłaty dopiero po zebraniu pieniędzy.

Do dziś Kromka Chleba opiera działalność na ofiarności darczyńców – osób fizycznych i prawnych. To zarówno pomoc rzeczowa w postaci materiałów i usług, jak i wsparcie finansowe (darowizny, 1 proc. podatku).

Fundacyjną łazienkę otwarto w 2004 r. Już po kilku dniach pojawili się pierwsi chętni na kąpiel. Pani Anna zapowiedziała im od razu: „Łazienka jest w waszych rękach. To wy musicie o nią zadbać”. Choć przez 16 lat z łazienki skorzystały setki osób, wyposażenie jest naprawdę w dobrym stanie.

Domowe ciepło

Bo łazienka jest też miejscem spotkań: poza kąpielą i praniem można tu sobie

zrobić kawę, zjeść kanapkę, pogadać. Grażyna (60 lat): – Każdy z nas ma tu swoją szafkę. Tu jest jak w domu.

Przychodzi do łazienki od samego początku. Jej historia: od młodości życie z alkoholem. Męża nigdy nie miała, ale dorobiła się dwóch córek i dwóch synów. Wszyscy za granicą. Starsza córka trochę pomaga matce. Młodsza, gdy była w Polsce, nawet jej nie odwiedziła. Grażyna nie jest bezdomna – ma duży dom pod Tarnowem, ale jak go utrzymać z 800 złotych zasiłku? Wodę ma zakreconą, więc przyjeżdża do łazienki dwa-trzy razy w tygodniu.

Tadek, Rysiek i Marian też przychodzą od dawna. Tadek (60 lat): przez 30 lat stała praca, a potem z dnia na dzień redukcja. Był na rencie ZUS-u, ale ją stracił. Teraz żyje z 680 złotych zasiłku. Brat, z którym mieszka, pracuje, więc jakoś dają radę. W mieszkaniu jest ciepła woda, ale to duży koszt, więc Tadek w domu kąpie się tylko, gdy jest przeziębiony.

Rysiek (59 lat) w latach 80. ubiegłego wieku roznosił mleko. Potem była praca w fabryce pralek i wirówek; kilka lat malował uliczne pasy i słupki. Wiele lat mieszkał z ojcem; po jego śmierci stracił mieszkanie. Dług z czynszu, eksmisja. Ojciec mówił, że płaci rachunki, ale było inaczej. Gdy umarł, pieniędzy tylko ubywało. Teraz Rysiek mieszka w mieszkaniu socjalnym. Jest w nim woda, ale tylko zimna ze zlewu, bo łazienki nie ma. Rysiek ma butlę gazową i czasem wodę podgrzewa, ale w fundacyjnej łazience dużo wygodniej.

Marian (42 lata) całe życie mieszkał z matką w mieszkaniu socjalnym. Po jej śmierci zamieszkał u znajomych; rok temu wystąpił znów o mieszkanie socjalne. Praca? Była, głównie sprzątanie. Teraz Marian sprząta na targowisku warzywnym. Do łazienki przychodzi, bo tu poza możliwością kąpieli i zrobienia prania „po prostu jest fajnie”.

Namiastkę domowej atmosfery Anna Czech starała się także stworzyć w prowadzonej przez fundację od 2005 r. noclegowni, która znajduje się niedaleko łazienki, także w jednym z dawnych budynków PKP. – W naszej noclegowni, która jest przeznaczona dla 12 osób, stworzyłam jako pierwsza w Tarnowie miejsce dla kobiet. Urządziłam ją tak, jak pokój moich dzieci. W pokojach ustawiłam piętrowe, zakupione od wojska łóżka, a w ich dole umieściłam szuflady. Tak,

aby mieszkańcy mogli zostawić w nich swoje rzeczy.

Fundacja organizuje co roku wigilię. Opiekunka łazienki, pani Maria, zbiera zapisy. W wieczór wigilijny wszyscy spotykają się w łazience, a następnie całą grupą idą do którejś z tarnowskich restauracji.

W jednej z takich kolacji brał udział Rafał, dwudziestolatek. – Gdy przyszedł – wspomina Anna – powiedział: „Dwa tygodnie nie piłem, żeby tu móc przyjść”. Był czysty, umyty, zeszła z niego opuchlizna. Był naprawdę szczęśliwy. Widząc go na ulicy, ktoś mógłby uznać, że pije z wyboru. Rafał pamiętał z dzieciństwa jedynie, że ojciec trafił do więzienia, a matkę ktoś zabił. Zapewne właśnie ojciec Rafała. Chłopak pił, bo nie był w stanie funkcjonować.

Miejsce dla seniorów

Trzecim projektem zrealizowanym w 2006 r. przez Fundację Kromka Chleba jest Uniwersytet Trzeciego Wieku. – To było wówczas coś nowatorskiego – opowiada Anna Czech. – W tamtym czasie nie było w Tarnowie żadnej oferty skierowanej do osób samotnych, na rencie lub emeryturze. Postanowiłam stworzyć miejsce, w którym mogliby realizować swoje pasje.

Z pomocą znów przyszedł biskup Skworec – przekazał fundacji pomieszczenia w budynku na tarnowskiej starówce. W wyremontowanych, zmodernizowanych i odpowiednio przystosowanych salach wykładowych i informatycznych są do dzisiaj co roku prowadzone zajęcia dla 150 słuchaczy. Od początku działalności z oferty Tarnowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku skorzystało ponad tysiąc osób.

Przedsionek nieba

Myśl o kolejnym przedsięwzięciu – miejscu opieki dla osób nieuleczalnie chorych – długo kołatała się w głowie pani Anny. Już w 2002 r. wnioskuje do samorządu o utworzenie w Tarnowie hospicjum. Wniosek odrzucono, kolejne pozostały bez odpowiedzi. – Stwierdziliśmy, że sami je zbudujemy.

Władze fundacji podjęły decyzję o budowie na działce koło Szpitala św. Łukasza, którą w wieczyste użytkowanie przekazał ówczesny marszałek województwa małopolskiego Marek Nawara. – Taka lokalizacja ma swoje uzasadnienie – tłum-

aczy Anna – bo chorzy na raka będą mogli korzystać z pomocy onkologów ze szpitala.

Parterowy, rozległy budynek jest już gotowy; zaokrąglonymi kształtami przypomina muszlę. Jest zaplanowany na 26 osób. Większość pokoi jest jednoosobowych z aneksem kuchennym i łazienką. – Chodziło mi o to, żeby to nie był jakiś olbrzym, żeby pensjonariusze mogli się tu czuć naprawdę dobrze – mówi Anna.

Do wykonania pozostały jeszcze prace wykończeniowe. – Zamawiamy właśnie drzwi wewnętrzne. Gdyby ktoś nam pomógł zdobyć sufity podwieszane i podłogi, to zostałyby już tylko biały montaż.

Koszt inwestycji? Zgodnie z projektem opiewał na 10 mln złotych, ale realny koszt księgowy wynosi aktualnie ok. 4 mln. – Bo większość rzeczy udało nam się zrobić dużo taniej dzięki ofiarności darczyńców.

Na rzecz budowy hospicjum Fundacja Kromka Chleba organizuje imprezy i koncerty charytatywne (m.in. w Europejskim Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Lusławicach). Prowadzi także aukcje dzieł sztuki – aktualnie szuka domu, który bezinteresownie poprowadzi aukcję ponad 50 dzieł podarowanych fundacji przez znanych polskich artystów. Sama pani prezes nocami maluje akwarele. Jej dziełami zostali obdarowani darczyńcy, którzy wsparli budowę hospicjum darowiznami na ponad 70 tys.

Projekty realizowane przez Kromkę Chleba dostrzegł w tym roku papież Franciszek, wspierając jej działalność kwotą 5 tysięcy euro. Przekazał je za pośrednictwem swego jałmużnika kard. Konrada Krajewskiego.

Serce prowadzonego przez fundację stacjonarnego hospicjum Via Spei w Tarnowie będzie stanowić centralnie położona kaplica oraz przylegająca do niej duża świetlica z kominkiem i aneksem kuchennym. Wszystko jeszcze w stanie surowym. – Gdy upieczesz się tu chleb albo ciasto, pięknie będzie pachnieć – marzy pani Anna.

Do wykończenia jest także kaplica. Stoi w niej już ołtarz oraz wielka, wykonana z brązu figura Chrystusa. – Chciałam – tłumaczy Anna Czech, tuląc się do postumentu – żeby te wyciągnięte ręce Jezusa mówiły do mieszkańców naszego hospicjum: „Jestem z wami”. Żeby poczuli się jak w przedsionku nieba. ©

Rozstania z doktryną

JÓZEF MAJEWSKI

Przy okazji krytyki, z jaką spotkał się niedawny dokument Episkopatu na temat LGBT, warto przyjrzeć się historycznym meandrom nauczania Kościoła w dziedzinie etyki społecznej.

HISTORIA NIEWĄTPLIWIE JEST NAUCZYCIELKĄ życia – także historia doktryny Kościoła. Uczy np., że w dziedzinie społecznej Magisterium Kościoła – biskupi na czele z biskupem Rzymu – nie raz potykało się i błędziło, a nawet było w stanie bardzo długo upierać się przy błędnych rozwiązaniach. Ale uczy również, że Magisterium potrafiło zmienić swoje nauczanie społeczne, poprawiać je, i to diametralnie.

Dogmaty a etyka

Historyczne zawirowania związane z doktryną społeczną Kościoła to wynik m.in. jej specyfiki – w porównaniu z tą w sferze wiary i objawienia. O tej ważnej różnicy kilkanaście lat temu przypominał Avery Dulles, wybitny teolog z USA, którego Jan Paweł II wyniósł do godności kardynała. W konserwatywnym katolickim piśmie „First Things” Amerykanin napisał: „Rozwój doktrynalny przebiega inaczej w dziedzinie etyki społecznej, a inaczej w obszarze objawienia. Z jednej strony – formułowanie prawdy objawionej dokonuje się przez rozeznawanie nowych prawd, które formalnie *implicite* należą do depozytu apostoelskiego. Takie prawdy, raz ogłoszone przez Kościół jako objawione, są dogmatami i muszą być przyjęte przez wszystkich [jego członków] jako należące do wiary boskiej i katolickiej”.

Na przykład dogmat o niepokalanym poczęciu Maryi został ogłoszony dopiero w XIX w., z kolei dogmat o Jej wniebowzięciu w połowie wieku XX, a taka późna ich proklamacja była wynikiem m.in. sporów co do niejasności z ich uzasadnieniem biblijnym. Skoro jednak zostały ogłoszone, to znaczy, że udało się ustalić dla nich wystarczające podstawy w Piśmie Świętym, nawet jeśli są one niewyraźne (*implicite*). Wypada podkreślić, że dogmaty nie są skamielinami, jakby

raz ogłoszone zamykały refleksję wiary czy były jedynie końcem tej refleksji. Przeciwnie, są „bytami” żywymi, otwartymi na pogłębianie i dopełnianie, na nowe interpretacje, lepsze czy bardziej zrozumiałe w innych czasach sformułowania.

„Z drugiej strony – kontynuował Dulles – nauczanie społeczne składa się z zasad postępowania w życiu społecznym zgodnych z Ewangelią. Podczas gdy te [ewangeliczne] zasady pozostają niezienne, to

wywiezione z nich konkretne normy nie są wolne od przygodności, ponieważ samo społeczeństwo podlega ciągłym zmianom. W tej dziedzinie konkretne regulacje rzadko mają charakter uniwersalny i trwałe, który przysługuje dogmatom. Rozwój w nauczaniu społecznym jest nie tylko sprawą artykulacji tego, co zawsze *implicite* było nauczane, ale także sposobu zastosowania tego nauczania do nowych sytuacji społecznych”.

Amerykański purpurat mógł swoje stanowisko poprzeć nauczaniem Jana Pawła II, który w encyklice „*Sollicitudo rei socialis*” (1987) pisał o dwóch znamienych cechach doktryny Kościoła w dziedzinie społecznej: stałości i nowości – które jednak należy dobrze rozumieć. Po pierwsze – jest to nauczanie stałe (łac. *constans*), ale w szczególnym znaczeniu: nie w sensie formalnym, lecz jako tożsame w tym, co papież określił kilkoma kolejnymi nazwami: w „najgłębszej inspiracji”, „zasadach refleksji”, „kryteriach ocen”, „podstawowych



wytucznych działania”, nade wszystko „wiernej i żywotnej więzi z Ewangelią Chrystusa”. Po drugie jednak nauczanie społeczne Kościoła cechuje też zmienność, w tym sensie, że jest ono „zawsze nowe, gdyż podlegające koniecznym i potrzebnym zmianom dyktowanym przez różne uwarunkowania historyczne i nieustanny bieg wydarzeń, spośród których upływa życie ludzi i społeczeństw” (nr 3).

Sztuczne perły

Mówiąc nieco prościej: dogmaty wiary są tym, co Kościół odkrywa jako już dane, niejako wprzód ustanowione, przynajmniej w załączku, pod jakąś postacią wcześniej obecne. Jakby w którymś momencie historii Kościół dostrzegł na dnie morza prawdziwe perły, które od zawsze tam leżały, lecz przesłonięte piachem i wodorostami, a teraz do nich dotarł, zdecydował się je wyłowić, oczyścić i pozwolić ludziom podziwiać ich piękno.

Głoszone w Kościele konkretne etyczne reguły życia społecznego nie muszą być wprzód ustanowione czy już wcześniej dane, ale Kościół z pomocą światła Ewangelii dopiero je na gorąco wynajduje, tworzy czy przejmując od innych. Normy te, owszem, mogą być perłami, ale zasadniczo tylko sztucznymi. Prawdziwe perły na wieki należą do skarbcza Kościoła i na zawsze są jego ozdobą. Tymczasem perły sztuczne, wśród których mogą być i takie, które na pierwszy rzut oka trudno odróżnić od prawdziwych – nie. Bo jeśli pojawia się historyczna konieczność, można je, a czasami nawet trzeba wymienić na inne lub po prostu ich się pozbyć.

Historia Kościoła zna sporo doktryn społecznych, które ulegały korektom lub nawet likwidacji w wyniku historycznych zmian w społeczeństwach. Problem w tym, że zwykle Magisterium Kościoła (biskupi) uświadamiało sobie zasadność takich zmian czy słuszność likwidacji z oporami, niekiedy ogromnymi. Ewentualne zmiany czy korekty w tych doktrynach lub, nie daj Boże, ich „anihilację” biskupi nierzadko traktowali niczym zdradę, zamach na prawdy z obszaru wiary, dogmatu i objawienia. Jakby zmiana lub eliminacja tych doktryn społecznych miała podkopywać wiarę w trwanie Kościoła w prawdzie i w to, że nie błądzi on w sprawach wiary i moralności.

Broniono zatem ich zaciekle, czasami przez całe wieki, walczono o nie dosłownie na śmierć i życie. Na poparcie ich świętej niezmienności i niezmiennej obligatoryjności cytowano Pismo Święte, wskazywano na nieprzerwaną Tradycję, powoływano się na nieomyślność, na asystencję Ducha Świętego. Rzucano potępienia, także za cenę nietolerancji, dyskryminacji, zadawania ludziom cierpienia czy rozpalać pod nimi stosów, by w końcu... By w końcu niekiedy wycofać się ze swego stanowiska, pożegnać z konkretną doktryną, w ten czy inny sposób przyznać rację potępionym, niektórych z nich uznając wręcz za błogosławio-

nych prekursorów uprawnionej nowości. A wszystko to czyniąc nierzadko rakiem, z ukrywanym wstydem, posługując się ekwilibrystyczną reinterpretacją, ale również – niestety długo poniewczasie – bijąc się w piersi, prosząc o przebaczenie, wyznając winy Kościoła.

Przypomnijmy ideę rachunku sumienia Kościoła ogłoszoną przez Jana Pawła II i przejmującą uroczystość wyznania kościelnych grzechów w marcu Roku Jubileuszowego 2000 w Rzymie. Wśród grzechów, które wówczas nazwano po imieniu, nie zabrakło tych związanych z doktryną społeczną, popełnionych – takie padły słowa – w służbie prawdy (*sic!*), przeciw pokojowi, prawom narodów, godności kultur, godzącym w godność kobiety i jedność rodzaju ludzkiego. I modlono się za „wszystkich, których ludzka godność [z winy Kościoła i przez Kościół] została zraniona, a prawa podeptane”. To tylko jeden przykład, ale nadzwyczaj znamienity, w którym jak na dłoni widać złożoność prezentowanego tematu, ale z którego też płynie ważna lekcja dla Kościoła.

Obrona niewolnictwa

Trudno uwierzyć, ale w dziejach Kościoła, który jakże długo oficjalnie uważał się za *societas perfecta*, społeczność doskonałą, praktycznie do XX w. głoszone doktrynę, że niewolnictwo jest zgodne z prawem natury i prawem boskim. Owszem, tacy papieże jak Eugeniusz IV, Pius II, Sykstus IV, Grzegorz XIV czy Urban VIII potępiali niegodne traktowanie niewolników, okrucieństwo czy nadużycia wobec nich, ale nigdy nie potępił niewolnictwa jako takiego.

W 1866 r., a więc w czasach, kiedy już na dobre działał ruch abolicjonistyczny, Święte Oficjum (poprzedniczka Kongregacji Nauki Wiary) za zgodą Piusa IX, który cztery lata później na Soborze Watykańskim I doprowadził do ogłoszenia dogmatu o prymacie i nieomyślności biskupa Rzymu, w instrukcji skierowanej do wikariusza apostołskiego w Etiopii pisało: „Niewolnictwo samo w sobie, rozważane jako takie w jego istotnej naturze, nie jest w ogóle sprzeczne z prawem naturalnym i boskim, a i można mówić o kilku słusznych tytułach do niewolnictwa, na które wskazują uznani teologowie i komentatorzy świętych kanonów. Albowiem ten rodzaj własności, który przysługuje właścicielowi niewolnika



CORRIE BOUDREAUX / EL PASO MATTERS / CC BY-ND

Bp Mark Seitz wraz z księżmi z diecezji El Paso przyłączył się do akcji „8 min. 46 sek. w hołdzie dla George’a Floyda”. Śmierć czarnoskórego mężczyzny w Minneapolis, duszonego przez 8 min. 46 sek. przez policjanta, dała początek antyrasistowskim protestom pod hasłem „Black Lives Matter”, El Paso, 1 czerwca 2020 r.

→ nad niewolnikiem, rozumie się jako nic innego niż wieczne prawo do rozporządzania pracą niewolnika dla własnej korzyści – chodzi o usługi, które jedna istota ludzka słuszenie świadczy innej. Wynika z tego, że sprzedaż, zakup, wymiana czy darowanie niewolnika komuś innemu nie jest sprzeczne z prawem naturalnym i boskim, jeśli ściśle przestrzega się właściwych warunków, o których także mówią i które wyjaśniają uznani autorzy. Wśród tych warunków najważniejsze są dwa: by kupujący niewolnika dokładnie wybadał, czy niewolnik, którego wystawiono na sprzedaż, został pozbawiony wolności sprawiedliwie, czy niesprawiedliwie, a ponadto sprzedawca niewolnika nie powinien czynić niczego, co mogłoby zagrozić życiu, cności lub wierze katolickiej niewolnika, który ma być przekazany w posiadanie innemu właściwemu”.

W obronie doktryny o niewolnictwie wskazywano na długą tradycję, przywoływano wypowiedzi Ojców Kościoła, szczególnie św. Augustyna, Doktorów Kościoła, nade wszystko św. Tomasza z Akwinu, powoływano się na dekrety synodów lokalnych, jak tego w Gangarze w Azji Mniejszej (362 r.) czy w Melfi (1089 r.); cytowano nauczanie Soboru Laterańskiego III (1179 r.); przywoływano postanowienia i przykłady papieży, wśród których byli i tacy, którzy mieli własnych niewolników; do tego odwoływano się do traktatów teologów. Ale co więcej, cytowano świadectwa samego Pisma Świętego, i to nie tylko Starego Testamentu (por. Kpł 25, 39-55), ale i Nowego, nie tylko listów apostoelskich, ale i Ewangelii.

Nade wszystko przywoływano świadectwo samego Jezusa. Czyż – argumentowano – nasz Zbawiciel potępił niewolnictwo? Przeciwnie – zakładał jego normalność, z jego pomocą wręcz głosił Dobrą Nowinę, jak w Ewangelii św. Łukasza: „Rzekł znowu do swoich uczniów: (...) Kto z was, mając niewolnika (gr. *doulon*), który orze lub pasie, powie mu, gdy on wróci z pola: »Pójdź i siądź do stołu«? Czy nie powie mu raczej: »Przygotuj mi wieczerzę, przepasz się i usługuj mi, aż zjem i napiję się, a potem ty będziesz jadł i pił«? Czy dziękuje niewolnikowi za to, że wykonał to, co mu polecono? Tak mówcie i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono: »Niewolnikami nieużytecznymi jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać« (7, 1. 7-10).

Niewolnictwo samo w sobie, w jego istotnej naturze, nie jest w ogóle sprzeczne z prawem naturalnym i boskim
**– przekonywało Święte
 Oficjum za zgodą Piusa IX**
 na cztery lata
 przed ogłoszeniem dogmatu
 o nieomyślności papieża.

Konkretne normy społeczne
 głoszone przez Kościół
 podlegają zmianom.
 Historia uczy,
**że w dziedzinie życia
 społecznego Magisterium
 może pobrać.**

A czy św. Paweł potępił niewolnictwo? Nie – podkreślano – żadną miarą, wszak Apostoł Narodów wiernie kontynuował stanowisko Chrystusa, pisząc w Pierwszym Liście do Tymoteusza: „Wszyscy, którzy są pod jarzmem jako niewolnicy, niech własnych panów uznają za godnych wszelkiej czci, ażeby nie bluźniono imieniu Boga i [naszej] nauce. Ci zaś, którzy mają wierzących panów, niechaj ich nie lekceważą z tego powodu, że są braćmi, ale niech im lepiej służą, dlatego że są oni wierzącymi i umiłowanymi jako uczestnicy dobrodziejstwa. Tych rzeczy nauczaj i do nich zachęcaj! Jeśli ktoś naucza inaczej i nie trzyma się zdrowych słów Pana naszego Jezusa Chrystusa oraz nauki zgodnej z pobożnością, jest nadęty, niczego nie pojmując, lecz choruje na dociekania i słowne utarczki” (6, 1-7). No i przez wieki Magisterium Kościoła pozostawało wiernie napomnieniu i poleceniu św. Pawła.

Nowa doktryna

Jeśli sam Bóg w swoim objawieniu, przekazanym Kościołowi w natchnionym Piśmie Świętym, opowiada się za niewol-

nictwem i reguluje jego zasady, jeśli sam Zbawiciel nie wystąpił przeciwko niemu, a nawet uznał je za rzecz jak najbardziej normalną, to Kościół, *Magisterium Ecclesiae*, nie ma innego wyjścia, jak bronić tej instytucji i stać na jej straży, rzecz jasna – do samego końca. Toteż Magisterium broniło i stało na straży niezmienności i godziwości doktryny o niewolnictwie, ale – jak się okazało – robiło to jednak do czasu. „Już” bowiem w 1888 r. Leon XIII ogólnie skrytykował instytucję niewolnictwa i poparł ruch abolicjonistyczny. Z kolei w wieku XX Benedykt XV potępił „praktykę sprzedaży jakiegokolwiek osoby jako niewolnika”. W końcu Sobór Watykański II w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym niewolnictwo, obok zabójstwa, aborcji, eutanazji, ludobójstwa, tortur czy handlu kobietami, zaliczył do „spraw i praktyk haniebnych” i „jak najbardziej sprzecznych z czcią należną Stwórcy” (nr 27).

W 1992 r. Jan Paweł II, podczas pielgrzymki do Senegalu, w Domu Niewolników potępił system niewolnictwa: „To miejsce jest krzykiem (...). Ów krzyk wieków i pokoleń każe nam nieustannie uwalniać się od tego dramatu, ponieważ jego korzenie tkwią w nas samych, w ludzkiej naturze, w grzechu. Przybyłem tutaj, aby złożyć hołd wszystkim ofiarom, nieznanym ofiarom; nie wiadomo dokładnie, ile ich było, nie wiadomo, kim byli. (...) Czyż można zapomnieć o bezmiarze cierpień, jakie zadawano ludziom uprowadzonym z Afryki, o łamaniu najbardziej podstawowych praw człowieka, o ludzkich istnieniach unicestwionych przez niewolę? Trzeba z całkowitą szczerością i pokorą wyznać ten grzech człowieka przeciwko człowiekowi, ten grzech człowieka przeciw Bogu”. Papież z Polski rok po pielgrzymce do Senegalu w encyklice „*Veritatis splendor*” niewolnictwo zaliczył do aktów, które są „złe wewnętrznie” (*intrinsece malum*): „są złe zawsze i same z siebie, to znaczy ze względu na swój przedmiot, a niezależnie od ewentualnych intencji osoby działającej i od okoliczności” (nr 80).

Jestem przekonany, że nauczanie Soboru Watykańskiego II, a szczególnie Jana Pawła II, oznacza ostateczne pożegnanie Kościoła z długowieczną doktryną społeczną *Magisterium Ecclesiae* o niewolnictwie zgodnym z prawem naturalnym i boskim. Znamienne jednak – wy-

pada dodać – że np. kard. Avery Dulles był odmiennego zdania, uważając, że ani Vaticanum II, ani Jan Paweł II nie nauczali, iż niewolnictwo jako takie czy że każda forma niewolnictwa jest sprzeczna z prawem naturalnym i prawem boskim. Tak daleko – zdaniem Amerykanina – nie poszedł także Katechizm Kościoła Katolickiego oraz oficjalne Kompendium nauki społecznej Kościoła. Dulles sugerował, że można sobie wyobrazić takie postaci niewolnictwa (ang. *slavery*), które można uznać za niewolnictwo słabsze (ang. *servitude*), które nie musi być sprzeczne z prawem naturalnym. Stanowiska tego nie sposób jednak pogodzić z nauczaniem Jana Pawła II o niewolnictwie jako akcie wewnętrznie złym.

Fakt radykalnej zmiany w nauczaniu społecznym Magisterium Kościoła w sprawie niewolnictwa pozwala przyjąć, że długowieczność jakiejś nieprzerwanej tradycji nie musi być pieczęcią jej nieomyślności i obligatoryjności. Joseph Ratzinger jeszcze jako „zwykły” teolog w komentarzu do Konstytucji dogmatycznej o Objawieniu Bożym Soboru Watykańskiego II pisał: „Nie wszystko, co istnieje w Kościele, musi z tej racji być uprawnioną tradycją. Innymi słowy, nie każda tradycja, która powstaje w Kościele, jest prawdziwą celebracją i uobecnieniem tajemnicy Chrystusa. Tradycja może być zniekształcona, tak jak i uprawniona. W konsekwencji nie należy traktować tradycji tylko afirmatywnie, ale również krytycznie”.

Losy doktryny Kościoła o niewolnictwie pokazują ponadto, że powoływanie się na Pismo Święte – szczególnie w dziedzinie doktryny etyki społecznej – także wymaga dozy właściwego krytycyzmu i czytania go w historycznym oraz społecznym kontekście, a nie oczekiwania od jego autorów znajomości problemów innych epok ani bycia wolnymi od uwarunkowań swoich czasów. Same księgi biblijne oraz sprawy, wydarzenia i postaci, które spotykamy na ich kartach, rozgrywały się w konkretnych okolicznościach społeczno-kulturowych, które stale się zmieniały, warunkując konkretne znaczenia biblijne. Nie dość powtarzać, że nie wszystko, co znajduje się w Piśmie Świętym, ma charakter uniwersalny i niezmienny. Nie dość też powtarzać, że dogmat o bezbłędności Biblii nie oznacza, iż w Biblii w ogóle błędów nie ma.

Historia doktryny społecznej Kościoła zatem uczy, że konkretne normy społeczne głoszone przez Kościół nie muszą charakteryzować się stałością, jaka cechuje dogmaty. Że normy te podlegają zmianom. Że w dziedzinie życia społecznego Magisterium Kościoła może pobrać. Ale uczy również, że pod naciskiem zmian w społeczeństwach Magisterium potrafi i może zmienić swoje nauczanie, nawet radykalnie. Tak stało się w przypadku doktryny o niewolnictwie, lecz także np. o wolności sumienia, wolności wyznania czy wolności słowa. Jeszcze w XX w. w Kościele powoły-

wano się – jak sądzono – na nieomyślne nauczanie Piusa IX potępiające naukę o wolności sumienia, „owej – jak pisał w encyklice „Quanta cura” (1864) – błędnej, dla Kościoła katolickiego i zbawienia dusz najbardziej zgubnej nauki, (...) to jest: że wolność sumienia i wyznania jest prywatnym prawem każdego człowieka, które należy ogłosić prawem obowiązującym w każdym dobrze urządzonym społeczeństwie, i że obywatelom przynależy prawo do wszelkiej wolności, której nie godzi się żadnym autorytetem, czy to duchownym, czy świeckim, ograniczać, i że na mocy tej wolności mogą głośno i publicznie wypowiadać i rozpowszechniać swoje poglądy słowem lub drukiem, albo w jakikolwiek inny sposób”.

Wreszcie dramatyczna historia doktryny społecznej Kościoła podpowiada, że w czasach złożonych przemian społeczno-kulturowych pożyteczniejsze jest dla losów Ewangelii, gdy ludzie Kościoła, nauczający także w ramach konferencji biskupów, zachowują teologiczną powściągliwość i skromność w sprawach etyki społecznej oraz pokorę w ocenie dokonujących się zmian. Bardziej racjonalnie i bezpiecznie jest, gdy nie wydają pochopnych wyroków, zwłaszcza skazujących, nie szafują anatemi, które powodują niepotrzebne cierpienie, nie epatują wszechwiedzą, ale są empatyczni, otwarci na różnorodność, tolerancyjni, chociaż krytyczni. Ale też samokrytyczni.

© JÓZEF MAJEWSKI

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

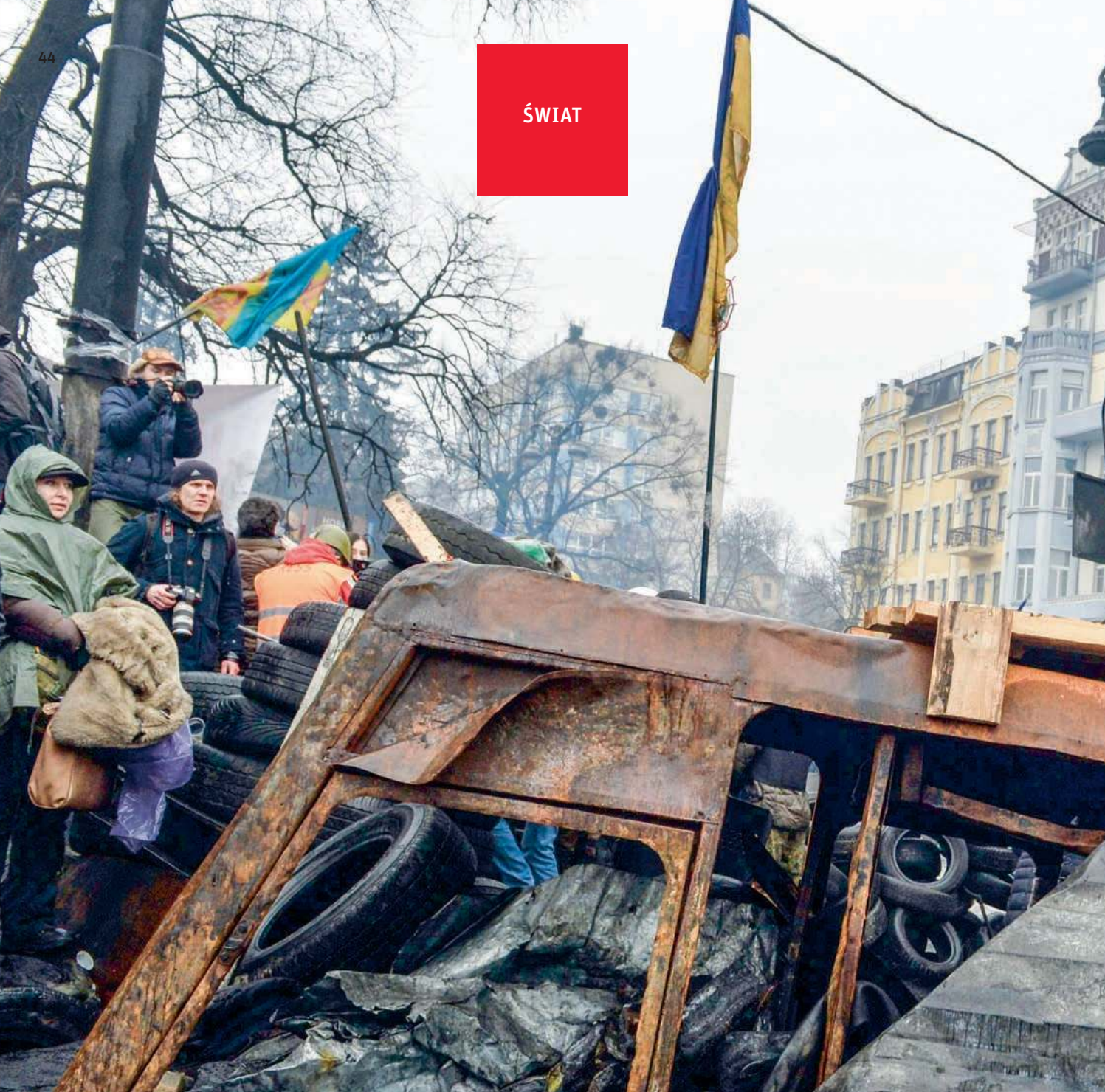
	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



POCHWAŁA KONSEKWENCJI

Protesty na Białorusi zaktywizowały dyskusję o polskiej polityce wschodniej. Zbiegają się one z 20. rocznicą śmierci Jerzego Giedroycia. A przecież na myśli „Kultury” wciąż opiera się nasza doktryna wobec Europy Wschodniej.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wybuch konfliktu rosyjsko-ukraińskiego był punktem zwrotnym dla całego regionu Europy Wschodniej. Na zdjęciu: koncert na barykadach Euromajdanu, Kijów, 10 lutego 2014 r.



SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

BYŁ KWIECIEŃ 1993 R., GDY ÓWCZESNY minister Krzysztof Skubiszewski przedstawił z trybuny sejmowej coroczną informację o polityce zagranicznej Polski. Stwierdził m.in.: „Wylonienie się szeregu niezależnych państw zmieniło korzystnie sytuację geopolityczną Polski i stworzyło szansę historyczną. (...) Niepodległe, demokratyczne i bezpieczne państwa u naszych wschodnich granic – to również współczynnik niepodległości, demokracji i bezpieczeństwa Polski”.

Spełnione marzenie

Warto pamiętać, że wówczas – raptem kilkanaście miesięcy po rozpadzie Związku Sowieckiego – nie dla wszystkich było oczywiste, że nowo powstałe państwa utrzymają swoją suwerenność. Mimo tej niepewności powstanie Ukrainy, Litwy i Białorusi było spełnionym marzeniem wielu pokoleń polskich myślicieli politycznych, którzy od XIX w. wykuwali zręby naszej myśli wschodniej.

Minister Skubiszewski nie przywołał w swoim wystąpieniu nazwiska Jerzego

Giedroycia. Jednak to, co mówił, odzwierciedlało koncepcję polityki wschodniej Polski powstałą po II wojnie światowej w środowisku paryskiej „Kultury”. Giedroyc i jego współpracownicy, w tym głównie Juliusz Mieroszewski, największe zagrożenie upatrywali w rosyjskim imperializmie, którego nie można rozbroić bez przyjaznej współpracy z narodami tworzącymi niegdyś Rzeczpospolitą. To zaś wymagało uznania pojałańskiej granicy wschodniej i powstania niepodległych państw między nami a Rosją.

Niczego „Kulturze” nie ujmując, trzeba zauważyć, że jej myśl wschodnia była rozwinięciem, uaktualnieniem i dostosowaniem do nowej rzeczywistości wcześniejszych polskich koncepcji wobec Europy Wschodniej – poczynając od księcia Adama Jerzego Czartoryskiego aż po idee Józefa Piłsudskiego i tzw. prometeistów. Widać zatem długą nić polskiej tradycji politycznej, skonceptualizowaną przez „Kulturę”, która legła u podstaw polityki wschodniej III RP. Co kluczowe: mimo wielu sporów polsko-polskich od tego czasu wszystkie kolejne rządy konsekwentnie trzymają się tych zasad.

Aspiracje kontra rzeczywistość

Spory na temat polityki wschodniej i jej rezultatów zaczęły się kilka miesięcy po śmierci Giedroycia – artykułem Bartłomieja Sienkiewicza pt. „Pochwała minimalizmu”, opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” (nr 52-53/2000). Autor pisał o „niezadowalających polskie aspiracje efektach [naszej] polityki” i dowodził, że „rzeczywistość prowincji ukraińskiej czy białoruskiej jest bliższa czasom sowieckim niż codzienności prowincji w Czechach czy Polsce”. Z tekstu przebijało rozczarowanie, że Ukraina i Białoruś nie zdołały zerwać więzów zależności łączących je z Moskwą, która pozostała dominującym aktorem politycznym i gospodarczym, Polska zaś jest zbyt słaba, aby stać się dla nich alternatywnym punktem odniesienia.

Sienkiewicz sformułował sporo trafnych diagnoz, a zarazem potwierdziło się jego stwierdzenie, że przemiany polityczne w Europie Wschodniej będą „wymagać o wiele więcej czasu, niż nam się →

→ chciało wyobrazić”. Popatrzmy zatem, jak od tego czasu zmieniła się rzeczywistość polityczna i społeczna na Wschodzie – oraz jak się to ma do strategicznych celów polskiej polityki wschodniej.

Potęgowanie sił naszych

Najważniejsze zmiany na Wschodzie przyniósł wybuch w 2014 r. konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, który stał się punktem zwrotnym dla całego regionu. W rezultacie serii błędów Kremla Ukraina wyszła ze strefy wpływów Rosji i przyspieszył proces wzmacniania ukraińskiej tożsamości narodowej.

Powstanie niezależnego od Moskwy, podmiotowego i przyjaznego Polsce państwa ukraińskiego – które jest trwałym bytem międzynarodowym, a za swój priorytet uznaje integrację ze strukturami zachodnimi – jest realizacją fundamentalnego celu polskiej polityki wschodniej. Można wręcz uznać to za wypełnienie ukraińskiej części koncepcji „Kultury”. Prozachodnia Ukraina to „potęgowanie sił naszych”, aby przywołać słowa Włodzimierza Bączkowskiego, innego kłasyka polskiej myśli wschodniej.

Oczywiście można zadać pytanie: czy była w tym jakakolwiek polska sprawczość? Ani Polska, ani żadne inne państwo nie ma możliwości efektywnego wpływania na sytuację wewnętrzną na Ukrainie. Jednak warto pamiętać, że to polska dyplomacja, jako jedna z niewielu, konsekwentnie wspierała ukraińską podmiotowość na arenie międzynarodowej. Na trzy lata przed naszą akcesją do Unii przedstawiliśmy projekt – nieistniejącej wówczas – unijnej polityki wschodniej. Obok postulatu reform w państwach Europy Wschodniej znalazł się tam zapis o konieczności wynegocjowania umowy stowarzyszeniowej z Ukrainą, co stało się faktem po kilkunastu latach. To odmówienie przez reżim Janukowycza jej podpisania dało impuls do wybuchu rewolucji godności.

Choć szereg interesów strategicznych Polski i Ukrainy jest zbieżnych, nie oznacza to wcale, że muszą między nami zawsze panować wzorowe stosunki. Napiecia czy różnice zdań są normalne między najlepszymi sąsiadami. Przykładów w Unii nie brakuje, na czele z sąsiedztwem francusko-niemieckim. Również polsko-ukraińskie spory historyczne są zadaniem trudno rozwiązywalnym, którego nie wolno zamilczać, ale nad którym

O ile w polskiej dyskusji
o skuteczności naszej polityki
wschodniej przeważają
głosy krytyczne,
**o tyle Rosjanie widzą
w nas godnego przeciwnika.**

trzeba konsekwentnie pracować, szukając także nowych instrumentów dla ich zneutralizowania.

Upodmiotowienie Białorusinów

Gorzej wygląda sytuacja na Białorusi, która pozostaje w sferze silnych wpływów rosyjskich; są one widoczne w każdej niemal sferze, od polityki przez gospodarkę po kwestie wojskowe. Gdy wydawało się już, że Białorusini są niezdolni, aby wykrzesać z siebie jakikolwiek większy opór, doszło do nieoczekiwanych – jeśli chodzi o skalę i długość – masowych protestów.

Przyniosły one upodmiotowienie społeczeństwa białoruskiego, które po raz pierwszy zaczęło aspirować do bycia aktorem politycznym. Towarzyszy temu rozbudzenie świadomości narodowej Białorusinów – pod historycznymi flagami biało-czerwono-białymi i godłem Pogoni z czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego. W Polsce ta zmiana odbierana jest z entuzjazmem i nadzieją.

Ruch protestu jeszcze nie wygrał i nie jest jasne, kiedy (i czy w ogóle) uda mu się doprowadzić do zmiany reżimu. Jednak z polskiego punktu widzenia optymistyczny jest już sam fakt, że naród białoruski pokazał, iż jest gotowy walczyć o swoje prawa.

Istnieje niebezpieczeństwo, że osłabiony Alaksandr Łukaszenka zostanie zmuszony do podpisania nowych, niekorzystnych dla Białorusi porozumień integracyjnych z Rosją. Duża jest jednak szansa, że coraz bardziej świadome swoich praw społeczeństwo będzie dla nich skuteczną przeszkodą – co sprawi, że Kreml nie tyle strawi Białoruś, co się nią udławi.

„Miękką siłą” Polski

W swoim artykule sprzed 20 lat Sienkiewicz stwierdzał, że Polska nie jawi się dla społeczeństw Ukrainy i Białorusi jako „alternatywny ośrodek cywilizacyjno-polityczny”. Po upływie dwóch dekad

widać, że sytuacja zmieniła się zasadniczo. Rzadko zdajemy sobie sprawę, że jednym z naszych kluczowych aktywów na Wschodzie jest wizerunek Polski jako kraju wielkiego sukcesu gospodarczego. Nie przypadkiem na wiecach przedwyborczych Światłany Cichanouskiej wielokrotnie przywoływana była Polska – jako atrakcyjny model do naśladowania. To, że Polakom się udało, znacząco zwiększyło aspiracje społeczeństw na Wschodzie.

Wynika to również z faktu, że od kilku lat w sposób bezprecedensowy rozwinęły się kontakty polsko-ukraińskie i polsko-białoruskie. W Polsce mamy ponad milionową migrację z Ukrainy, około stu tysięcy z Białorusi, a także 40 tys. ukraińskich i 8 tys. białoruskich studentów na polskich uczelniach. Rozwijają się relacje międzyludzkie, biznesowe czy naukowe. Istotne jest też, że Polska znajduje się na czele państw, wobec których Ukraińcy wyrażają sympatię (analogicznych badań na Białorusi nie prowadzono).

W ostatnich latach Polska zrobiła wiele, aby wspierać budowę społeczeństw obywatelskich na Ukrainie i Białorusi. Polski model działania zasadniczo różni się od rosyjskiego, który sprowadza się do oddziaływania na władzę, a nie na obywateli. Tylko w ciągu ostatniej dekady przeznaczyliśmy 230 mln dolarów na pomoc rozwojową dla Białorusi i 320 mln dla Ukrainy. Znaczna większość tej kwoty trafiła na realizację projektów społecznych. W tym, gdy idzie o Białoruś – projektów wsparcia dla niezależnych mediów i organizacji pozarządowych, których rola w trwających protestach okazała się tak ważna.

Gorzej jest z tworzeniem aktywów gospodarczych na Wschodzie. Polskie inwestycje na Ukrainie to ok. 900 mln dolarów, a na Białorusi – ok. 250 mln. Znacznie mniej, niż byśmy chcieli. Ale trzeba pamiętać, że są to trudne i mało bezpieczne rynki. Cieszy natomiast szybki wzrost obrotów handlowych: Polska jest drugim (po Chinach, a przed Rosją) najważniejszym rynkiem eksportowym dla Ukrainy i piątym dla Białorusi. Dalsza rozbudowa powiązań gospodarczych to ważne zadanie na przyszłość.

Trójkąt Lubelski

Polską politykę wschodnią kształtuje nie tylko chęć zapewnienia nam bezpieczeństwa. Pamięamy też – jako państwo i społeczeństwo – o historycznej odpowiedzial-



TUT.BY / AP / EAST NEWS

Maryja Kalesnikawa, jedna z liderów białoruskiej opozycji. Mińsk, 30 sierpnia 2020 r.

ności, która na nas spoczywa ze względu na tradycję Rzeczypospolitej Wielu Narodów. Tak to ujmował niemal pół wieku temu Mieroszewski: „W wielowiekowej walce o przywództwo na Wschodzie w sensie terytorialnym zostaliśmy pokonani (...) nie oznacza to jednak bynajmniej, że polska »misja na Wschodzie« dobiegła kresu. Oznacza tylko to, że cele i strategia owej misji muszą ulec zmianie”.

Odwolaniem się do wspólnego dziedzictwa – oraz przede wszystkim do wspólnych interesów – jest inicjatywa Trójkąta Lubelskiego (Polska, Ukraina, Litwa), zainicjowana w lipcu przez ministra Jacka Czaputowicza. Gdyby postawić pytanie, dlaczego tak późno, to odpowiedź byłaby zapewne taka, że pewne sprawy muszą dojrzeć nie tylko u nas. Reakcje Warszawy, Wilna i Kijowa wobec wydarzeń na Białorusi pokazują, że strategiczny interes tych trzech stolic jest tożsamy.

Z pewnością jest to dobry start do budowy bliższej współpracy regionalnej między państwami-sukcesorami dawnej Rzeczypospolitej. Zarazem warto realistycznie zaznaczyć, że będzie to proces długi i niełatwy.

W cieniu Rosji

Zatrzymajmy się jeszcze przy kwestii Rosji. Relacje polsko-rosyjskie w ostatnich 30 latach wyglądały jak sinusoida: długie okresy złych stosunków przerywały znacznie krótsze momenty, gdy pojawiała się nadzieja na ich poprawę. Związane to było najczęściej ze zmianą władzy w Polsce, gdy powracała (naiwna, jak się potem okazywało) wiara w możliwość porozumienia się z Moskwą. Szybko okazywało się, że reset nie jest realny, gdyż Kreml oczekuje daleko idących kon-

cesji ze strony polskiej. A kluczową koncepcją miało być uznanie istnienia rosyjskiej strefy wpływów w Europie Wschodniej.

Po 1991 r. w relacje Polska–Rosja od początku wpisany był spór o charakterze fundamentalnym, sięgający korzeniami XVII w. W jego obecnej odsłonie dotyczy on tego, czy kraje Europy Wschodniej pozostaną strefą wpływów Rosji, czy też stopniowo się z tych krępujących więzów uwolnią, demokratyzując swoją politykę i rozwijając więzy z Unią. Nietrudno zauważyć, że rosyjskie cele wobec Ukrainy i Białorusi są dziś przeciwieństwem naszych. Polityka Polski konsekwentnie od niemal trzech dekad czyni starania, aby – nazywając rzeczy po imieniu – pomóc wyrwać się Ukraińcom i Białorusinom z objęć rosyjskich i umożliwić im prowadzenie podmiotowej polityki zagranicznej.

A zatem to czynnik rosyjski determinuje polską politykę wschodnią. Co więcej, to zagrożenie ze strony Moskwy ma bezpośredni wpływ na kształtowanie polityki bezpieczeństwa Polski oraz po części także jej polityki wobec Zachodu (w tym w istotny sposób wpływa na relacje polsko-amerykańskie).

Ciekawe, że o ile w polskiej dyskusji o skuteczności lub nieskuteczności naszej polityki wschodniej zdają się przeważać głosy krytyczne, o tyle Rosjanie widzą w nas godnego przeciwnika. Czytając rosyjskie analizy widać, że o skuteczności działań Warszawy mają oni często zdanie lepsze niż my sami. Także ze względu na polskie możliwości mobilizowania uwagi Zachodu.

Pewną prawidłowość zauważał tu zresztą pół wieku temu Mieroszewski, pisząc, że Rosjanie „widzą nas zawsze jako

rywali aktywnych”. Potwierdzeniem tych słów może być – zorganizowana w Moskwie kilka miesięcy temu – dyskusja rosyjskich ekspertów zajmujących się naszym krajem. Jej konkluzja brzmiała: „Polska aktywność [na Wschodzie] zasługuje na poważne potraktowanie (...) nie można odnosić się do niej lekkomyślnie, bo to państwo z dużymi ambicjami, które trzeba nieustannie obserwować”.

Cierpliwie i konsekwentnie

Przynajmniej część negatywnych ocen dorobku polskiej polityki wschodniej po 1991 r. bierze się z zawyżonych, a przez to nierealistycznych oczekiwań. Tymczasem warto patrzeć na to, co możliwe do osiągnięcia. Z pewnością działania Polski osłabiała słabość jej administracji oraz – w niektórych sferach – brak wypracowanych instrumentów politycznych, np. gdy idzie o lepsze wsparcie dla polskiego biznesu czy politykę historyczną (jeszcze Giedroyc apelował o utworzenie Polskiego Instytutu Historycznego w Kijowie). W różnych okresach polityka wschodnia sytuowała się też w różnych miejscach wśród priorytetów naszej polityki zagranicznej, co również wpływało na jej skuteczność.

Na koniec powróćmy na trybunę sejmową – i przytoczmy słowa szefa MSZ Władysława Bartoszewskiego z 1995 r.: „Politykę zagraniczną w odniesieniu do regionu na wschód od Polski będziemy prowadzić cierpliwie i konsekwentnie, pomni, że obszar ten charakteryzuje się znaczną dynamiką zmian, a także niestabilnością”.

I rzeczywiście, największą siłą polskiej polityki wschodniej ostatnich trzech dekad było jej konsekwentne oparcie na zasadach wynikających z długiej tradycji myśli wschodniej (uwspółcześnionej przez Giedroycia i Mieroszewskiego) oraz na niezmiennym konsensusie politycznym. Również dziś w obliczu białoruskiego zrywu widać, że w tej sprawie – dla Polski strategicznie ważnej – polscy politycy potrafią mówić jednym głosem.

To, co bez wątpienia wymaga poprawy, to efektywność realizacji polityki wschodniej, w tym rozbudowa naszego instrumentarium. Szczególnie że do rozbudowania rosyjskiego imperializmu jeszcze daleko.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpią w Warszawie, stale współpracuje z „TP”.



TILL GLAESER / MEDICAL VOLUNTEERS / MATERIAŁY PRASOWE

Rose Hansen z podopiecznymi, Saloniki, Grecja, grudzień 2019 r.

Tatuaż z jaskółką

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z SALONIK

Mało kto z wolontariuszy przybyłych w ostatnich latach do Grecji z różnych krajów Europy cieszy się taką estymą. Mało kto zna też jej prawdziwe imię. Mówią po prostu: Mama Rosa.

TRAFIŁAM DO NIEJ DZIĘKI LUDZIOM z obozu we wsi Diavata koło Salonik, gdzie przebywa dwa tysiące imigrantów i uchodźców. – Pójdiesz z nami do mamy? – zapytał pewnego dnia Marokańczyk, który przedstawia się jako Izmir (bo, jak mówi, znaczy to „książę”).

– Kim jest ta mama? – zapytałam.

– To najlepsza kobieta na świecie – odparł.

– Ona jest kochana – dodał Muhammad, też z Maroka.

Izmir i Muhammad nie są odosobnieni w tym odczuciu. Wielu imigrantów zagląda do siedziby wolontariuszy medycznych w Salonikach tylko po to, aby ją poznać.

Akurat ten weekend Mama Rosa ma wolny. – Śmieję się, kiedy tak mówią: że jest organizacja „Mama Rosa”, restauracja „Mama Rosa”... Po prostu, staram się być z nimi. Gdy ich boli, trzymam za rękę, a gdy potrzebują przytulenia, przytulam – mówi Rose Hansen.

Niska czterdziestokilkuletnia blondynka początkowo jest nieufna. – Dziennikarze szukają sensacji, nie interesują ich ludzie, tylko kontrowersje – tłumaczy.

Siedziba Medical Volunteers International (wolontariuszy medycznych), których Rose jest koordynatorką, mieści się na obrzeżach Salonik. Budynek z zewnątrz nie zachęca, dzielnica wygląda na opuszczoną; pełno tu pustostanów po zamkniętych firmach.

GROMADZĄ SIĘ jeszcze przed rozpoczęciem dyżuru. Większość to bezdomni imigranci lub mieszkańcy obozu Diavata, oddalonego o 8 km. Rose wita ich

i prosi, by schowali się za sąsiednim budynkiem. – Jest na nas wiele skarg. Niemal codziennie jest tu policja. Wzywają ją okoliczni mieszkańcy, którym nie podoba się, że przybywa tu zbyt wiele osób, zwłaszcza teraz, w czasach pandemii – tłumaczy.

Wolontariusz przy wejściu zna arabski. – Ściągnij te okulary przeciwsłoneczne, bo będziesz odstraszał – śmieje się Rose. Kolejna wolontariuszka rozdaje numerki, aby zgodnie z restrykcjami uniikać tłumy.

– Widzisz tę parę z dwójkiem dzieci? – mówi Rose. – Tydzień temu urodziło im się na ulicy to najmniejsze. Dziewczynka miała tylko dwa i pół kilo – Rose podchodzi, przytula noworodka. Druga dziewczynka, kilkulatka, rzuca się jej na szyję.

Nie tylko ona, niemal każdy nowo przybyły chce osobiście przywitać się z Mamą Rosą.

– Większość z tych, którzy nas odwiedzają, to samotni mężczyźni w wieku dwudziestu kilku lat, a ja jestem w wieku ich mam i chyba stąd to określenie. Myślę, że oni najbardziej tęsknią za swoimi mamami. Takie relacje jak z matką chyba nie są możliwe z młodszymi wolontariuszami – mówi Rose Hansen.

Ich organizacja skupia się na pomocy mężczyznom. Inne, jak Doctors of the World, pomagają zwłaszcza kobietom i dzieciom.

KIEDYŚ BYŁA PIELĘGNIARKĄ w niewielkim mieście Schleswig w Niemczech, blisko granicy z Danią. Organizacja, do której należy – Medical Volunteers International – powstała w kwietniu 2016 r. w Salonikach (w 2017 r. jej ośrodki powstały też w Atenach i na wyspie Lesbos). Rose po raz pierwszy przyjechała do Salonik w styczniu 2018 r., a na stałe przeniosła się tu we wrześniu tamtego roku. Postanowiła porzucić swoje życie w Niemczech, gdzie zostawiła dwie dorosłe córki.

Tłumaczy: – Miałam dość pracy w niemieckich szpitalach, dość całego tego systemu. Tu nie ma systemu, tu czuję, że jestem potrzebna. Stajemy twarzą w twarz z ludźmi, którzy nas potrzebują. Pomoc medyczna w terenie, z bezdomnymi uchodźcami i imigrantami, ma dla mnie wielkie znaczenie. A ich wdzięczność to najlepsza nagroda.

W czasie lockdownu funkcjonował tu tylko mobilny punkt pomocy. Teraz ośrodek znów pracuje normalnie. Jest poczekalnia, strefa medyczna, akupunktura, strefa z ubraniami dla nowo przybyłych. Na drugim piętrze – mieszkanie wolontariuszy. Przytulne, choć zawałone nierozpakowanymi kartonami.

ROSE ŚLEDZI, co dzieje się w Grecji, a także na granicy grecko-tureckiej. Oburza ją praktyka tzw. pushbacków. *Pushback*, po angielsku „wypychanie”, to nielegalna – jak twierdzą organizacje pozarządowe – procedura wydalania imigrantów i uchodźców z Grecji do Turcji, która nasiliła się w czasie epidemii. Biuro greckiego rzecznika praw człowieka, które zajmuje się tą sprawą od paru lat, twierdzi, że władze Grecji wszystkiemu zaprzeczają.

Mam wrażenie, jakby Rose czuła się odpowiedzialna za jeden z tych pushbacków: – Tamtego dnia, 6 lipca, policja łapała migrantów i uchodźców na naszej ulicy. Przyszło ich do nas wtedy około trzystu, wyjątkowo wielu, bo mieliśmy do rozdania nie tylko jedzenie i ubrania, ale także buty. Doszło do przepychanki. Widziałam już różne i tam między Afgańczykiem a Marokańczykiem naprawdę była drobna. Po paru

minutach przyjechało ok. dwudziestu policjantów. Migranci się rozbiegli, ale policjanci zatrzymali kilkudziesięciu. Podzielili ich na tych z papierami i bez. Trzydziestu bez papierów zabrali. Mamy kontakty na granicy i wiemy, że zostali tam wywiezieni. Zabierając ich policja obiecała, że dostaną papiery. Nikt nie powiedział im, dokąd naprawdę jadą. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje... Myślę, że Grecja po prostu nie chce tych ludzi tutaj.

Te kontakty na granicy to także ludzie z organizacji Josoor, którą prowadzi Austriaczka Natalie Gruber. Dokumentują pushbacki. Twierdzą, że wywożonym zabiera się często cenne rzeczy, że są poniżani, także bici. Według Border Violence Monitoring Network (sieci organizacji pozarządowych) od marca do lipca z Grecji do Turcji „wypchnięto” co najmniej 420 osób.

DO ICH OŚRODKA trafiają ludzie z różnymi schorzeniami. Często są to rany na stopach i nogach: aby tu dotrzeć, przebyli pieszo 400 km, które dzielą Saloniki od granicy z Turcją. Droga zajmuje średnio 22 dni. Wielu ma też problemy stomatologiczne, cukrzycę. Oraz biegunkę, bo piją brudną wodę. Wielu potrzebuje pomocy psychologa, by poradzić sobie z traumami, doświadczeniem wojny. Ale w Salonikach jest tylko paru specjalistów, a problem z umówieniem wizyty mają także sami Grecy.

Rose: – To, co im dajemy, to nie tylko opatrywanie ran, ale też zwyczajną rozmowę. Przychodzą do nas ludzie, któ-

rzy dopiero co przybyli do miasta. Nieśmiało mówią: „Cześć, jestem nowy”. Zaczynamy rozmawiać. Opowiadają, skąd pochodzą. Przyznają często, że marzą o pracy, że chcieliby założyć rodzinę. Mam córki w ich wieku, potrafię ich zrozumieć.

Nowo przybyłym dają ubrania. Starają się wydawać też jedzenie, ale w czasie pandemii ich kuchnia nie może funkcjonować jak wcześniej. – Tu chodzi o godność. Musimy przestrzegać restrykcji, staramy się trzymać dystans, a wizyta u nas trwa czasem dwadzieścia minut, czasem godzinę. Ale tu nie grozi im niebezpieczeństwo, mogą choć chwilę odpocząć. Tu nie wejdzie policja, to teren prywatny. Na zewnątrz już nie są bezpieczni.

PROBLEMY POJAWIAJĄ SIĘ, gdy niezarejestrowany imigrant potrzebuje leczenia szpitalnego. Rose: – Nadeem miał złamane ramię. To 41-letni Palestyńczyk, który żonę i czworo dzieci zostawił w kraju, a tu chciał zarobić na ich utrzymanie. Po trzech dniach od złamania zjawiał się u nas, zabraliśmy go do szpitala. Nie miał papierów, więc nikt nie chciał go przyjąć. Pomógł prawnik UNHCR. Ale nawet wtedy nie mogliśmy znaleźć szpitala, który zgodziłby się na operację. Zaczęliśmy zbierać pieniądze w internecie i po dziesięciu dniach udało nam się znaleźć prywatną klinikę. Kosztowało to 3800 euro, ale nie mieliśmy wyboru, liczyło się ludzkie życie.

Na operację czeka też dwóch imigrantów z jaskrą i zaćmą, dla nich również trzeba będzie zebrać pieniądze.

Rose mówi, że wielu imigrantów boi się iść do szpitala, bo gdy wychodzi na jaw, że nie mają dokumentów, personel wzywa policję.

Wolontariusze medyczni z Salonik każdego miesiąca pomagają nawet 1800 osobom. UNHCR szacuje, że w całej Grecji mieszka dziś 115 tys. imigrantów i uchodźców (choć trudno o pełne dane).

NA LEWYM PRZEDRAMIENIU Rose Hansen ma wytatuowaną jaskółkę z rozłożonymi skrzydłami: – Dla mnie oznacza ona wolność, a nie ma chyba w życiu większej wartości. Chciałabym, żebyśmy wszyscy byli równi i wolni. Pytasz, jak długo zamierzam tu zostać? Nie mam deadline’u. Czuję, że jestem tu szczęśliwa. ©

Opatrywanie ran w ośrodku Medical Volunteers w Salonikach, lipiec 2020 r.



AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Czego Ameryka boi się bardziej

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Donald Trump chce dowieść, że zamieszki na ulicach są groźniejsze dla kraju niż epidemia, kryzys gospodarczy i kolejne cztery lata jego rządów. Niektórych wyborców to przekonuje.

PRISCELLA GAZDA MÓWI, ŻE JEST ZWYCZAJNĄ kelnerką, i że polityka jej nie interesuje.

W wyborach prezydenckich Priscella, obywatelka stanu Wisconsin, głosowała tylko raz: w 2008 r. poparła kandydaturę Baracka Obamy, bo przekonał ją obietnicą reformy ubezpieczeń zdrowotnych. To było dla niej ważne, ponieważ jej syn choruje na ciężką odmianę cukrzycy (typu I) i przed wprowadzeniem reformy – nazwanej Obamacare – firmy ubezpieczeniowe nie chciały sprzedać mu polisy.

Dziś za niezbędną do życia insulinę syn płaci tylko 150 dolarów miesięcznie, a Priscella po raz kolejny pójdzie głosiwać. Jednak tym razem nie zgłasza na kandydata Partii Demokratycznej, lecz na Donalda Trumpa. Podjęła taką decyzję, gdy w jej rodzinnym mieście Kenosha rozgorzały zamieszki. Priscella uważa, że Ameryka potrzebuje teraz rządów twardej ręki, i że to Trump, a nie jego rywal Joe Biden, może zapewnić spokój na ulicach.

Obu kandydatom w wyścigu prezydenckim mieszkańcy Kenoshy mogli przyjrzeć się z bliska. Najpierw do miasta przyjechał Trump, dwa dni później Biden. Chcąc nie chcąc, to robotnicze miasto znalazło się w centrum walki o Białą Dom.

Dwie wizyty

Ameryka usłyszała o stutysięcznym mieście w Wisconsin, gdy pod koniec sierpnia policjant postrzelił tu czarnoskórego Jacoba Blake'a (policja twierdzi, że poszukiwany listem gończym Blake stawiał opór podczas próby zatrzymania i miał sięgać po nóż; mężczyzna jest teraz sparaliżowany).

W mieście wybuchły antyrasistowskie demonstracje, które szybko przybrały gwałtowny obrót: rzucano w policję ka-

mieniami i butelkami z benzyną, palono budynki i auta, rabowano sklepy. W trzecią noc zamieszek do protestujących otworzył ogień 17-letni kontrdemonstrant Kyle Rittenhouse (jego adwokat twierdzi, że chłopak chronił sklep, został zaatakowany i działał w obronie własnej). Nastolatek zabił dwie osoby, a jedną ranił. Sytuacja na ulicach ustabilizowała się dopiero, gdy do miasta przysłano oddziały Gwardii Narodowej i kilkuset funkcjonariuszy federalnych.

Podczas wizyty w Kenoshy Trump nazwał gwałtowne zamieszki „terroryzmem wewnętrznym”. Oskarżył też władze lokalne i stanowe o zbyt powolną reakcję, przypisując sobie zasługę wysłania do miasta Gwardii Narodowej. W rzeczywistości decyzję o wysłaniu żołnierzy podjął gubernator Wisconsin Tony Evers. Trump spotkał się z miejscowymi policjantami i przedsiębiorcami, których sklepy czy lokale usługowe zostały zniszczone podczas zamieszek. Jednym i drugiem obiecał wsparcie z budżetu federalnego (na łączną kwotę 5 mln dolarów).

Zabiegając o głosy w tym stanie – jednym z kluczowych dla wyniku wyborów; Wisconsin to bowiem tzw. *swing state*, stan wahający się, gdzie większość raz zdobywają Republikanie, a raz Demokraci – Trump zapowiedział też zastrzyk finansowy dla stanowej policji i wymiaru sprawiedliwości (w wysokości 42 mln dolarów).

Inną strategię przyjął Joe Biden. Wyciągając rękę do czarnoskórych wyborców, podczas wizyty w Kenoshy spotkał się z rodziną Blake'a i wezwał do ukarania funkcjonariusza, który siedem razy strzelił mu w plecy. Podczas przemówienia w miejscowym kościele Demokrata przekonywał, że w przeciwieństwie do Trumpa potrafi jednoczyć ludzi, że po-



chyli się nad problemem rasizmu w Stanach i wyciągnie Amerykę z kryzysu wywołanego przez epidemię.

Barykada na ulicy

O wrażenia z wizyty obu polityków w Kenoshy pytam Priscellę Gazdę.

– Ostatecznie nie udało mi się zobaczyć prezydenta – mówię ze smutkiem. – Chciałam wziąć dzień wolny z pracy i ustawić się przy trasie, wzdłuż której będzie przejeżdżał. Bałam się jednak, że znów dojdzie do protestów, i stwierdziłam, że to za duże ryzyko. Przecież nasze miasto w ciągu kilku dni zamieniło się w strefę wojny.

– Wiesz, że do rozruchów doszło nie daleko od domu mojej matki? Bardzo się o nią martwiłam. Na szczęście mąż mojej koleżanki ma w domu kilka pistoletów i nauczył moją mamę, jak z nich korzystać. Razem z sąsiadami zabarykadowaliśmy też ulicę, przy której mama mieszka – dodaje kobieta.

– Nie wierzę, że to wszystko zdarzyło się w Kenoshy! Gdy cztery lata temu Donald Trump startował w wyborach prezydenckich, myślałam, że to jakiś żart. Dziś uważam, że tylko nie wysłał do Kenoshy oddziałów Gwardii Narodowej, nasze miasto zamieniłoby się w ruinę –



KEREM YUCEL / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy i przeciwnicy Donalda Trumpa w dniu przyjazdu prezydenta do Kenoshy, 1 września 2020 r.

kiwany przez policję pod zarzutami napaści seksualnej i włamania.

– Liberalne media wciąż podniecają się, że Donald Trump nie zadzwonił do rodziny Blake’a – mówi John. – A przecież to nie jest w tej całej historii najważniejsze. Dlaczego dziennikarze nie trąbią o rosnącej przemocy w miastach zarządzanych przez Demokratów? Spójrzmy na sąsiednie Chicago. Tylko w ostatni weekend [29–30 sierpnia – red.] doszło tam do 55 strzelanin, zginęło aż 10 osób. Demokraci tak bardzo chcą być progresywni, że nie przeszkadza im nawet przemoc i anarchia.

Życie toczy się dalej

– Nie zrozum mnie źle. Nie jest fanem Partii Republikańskiej. Dwa razy głosowałem na Baracka Obamę, a jeszcze do niedawna nawet nie rozważałem poparcia dla Trumpa. Od początku nie podoba mi się, że obraża wszystkich wokół i często wygaduje głupoty – tłumaczy John Geraghty. – Uważam jednak, że Ameryka potrzebuje teraz lidera z krwi i kości, a nie kolejnego miłego Demokrata, który będzie gładził wszystkich po głowach.

Pytam Johna, jak ocenia reakcję prezydenta na epidemię, która zabiła już 190 tys. Amerykanów i wypchnęła na bezrobocie ponad 55 mln osób.

– Szczerze mówiąc, to uważam, że prezydent kiepsko sobie radzi – przyznaje John. – Pamiętam, jak jeszcze kilka miesięcy temu przekonywał, że wirus zniknie, gdy tylko zrobi się cieplej. Takie rzeczy mówi tylko idiota! Sprawa pandemii już tak bardzo mnie jednak nie martwi. Kilku znajomych złapało koronawirusa, ale w najgorszym wypadku skończyło się na bólu w klatce piersiowej albo tymczasowej utracie węchu lub smaku.

W fabryce, gdzie pracuje John, nie mieli jak dotąd masowych zakażeń. – Pracujemy w maskach, codziennie sprawdzają nam temperaturę ciała. Życie musi toczyć się dalej – dodaje mężczyzna i zastrzega, że nie podjął jeszcze decyzji, czy poprze Trumpa.

Cztery lata temu, gdy Trump walczył z Hillary Clinton, John nie poszedł na wybory. Mówi, że nie było na kogo głosować.

Praca jest najważniejsza

Gdy w Kenoshy wybuchły zamieszki, mieszkaniec miasta James Pucci zadzwonił do rodziców i poprosił, aby przyjechali z odległego Arkansas i zabrali do siebie jego dzieci. James bał się o ich bezpieczeństwo, bo demonstracje odbywały się kilka przecznic od jego domu.

W 2016 r. James głosował na Donalda Trumpa. Teraz ostatnie wydarzenia utwierdziły go w poparciu dla prezydenta.

– Nie jestem ani Demokratą, ani Republikaninem – zaznacza 43-latek. – Ale jestem patriotą i uważam, że to Trump jest dla Ameryki najlepszy. Jeśli wygra, to chcę, żeby zadbał o porządek na ulicach, zbudował mur na granicy z Meksykiem i odbudował gospodarkę. Zanim wybuchła epidemia, bezrobocie w USA było rekordowo niskie.

James cieszy się, że prezydent dążył do szybkiego odmrożenia gospodarki: – Moja siostra prowadzi bar i ze względu na stanowe restrykcje musiała go zamknąć na dwa miesiące. Co by zrobiła, gdyby to wszystko potrwało jeszcze dłużej? W czasie pandemii prezydent dowiedział, że dba o ciężko pracujących ludzi i na pierwszym miejscu stawia interesy naszego kraju.

A to, że sam rzadko nosi maskę, dając tym kiepski przykład? James: – Jak każdy Amerykanin ma do tego prawo. Bo ja powiem ci jedno: nie obchodzi mnie, co mówią o nas w Kanadzie, Meksyku, Europie czy Australii. Najważniejsze, żeby każdy Amerykanin był bezpieczny, miał pracę i pełną lodówkę.

Kto lepiej ochroni prawo i porządek

James Pucci jest jednym z tych wyborców, którzy cztery lata temu przesądzieli o zwycięstwie Donalda Trumpa. To właśnie w stanach Wisconsin, Pensylwania i Michigan nowojorski biznesmen zdobył łączną przewagę niemal 80 tys. głosów, co zagwarantowało mu głosy elektorskie z tych stanów i urząd prezydenta USA.

Dziś sondaże pokazują, że ubiegający się o reelekcję Trump przegrywa w tych kluczowych dla wyniku wyborów stanach. Według wyliczeń portalu RealClearPolitics Joe Biden ma niewielką przewagę w Wisconsin i Arizonie (wyprowadza tam Trumpa o 5 proc.), Pensylvanii (o 4 proc.), Michigan (o 2,6 proc.) i na Florydzie (o 1,8 proc.).

Donald Trump nie byłby sobą, gdyby do gonięcia rywala nie używał retoryki →

twierdzi Priscella, na którą najwyraźniej podziały argumenty Trumpa.

Priscella oglądała też w telewizji relację z wizyty Joe Bidena w mieście. Demokrata nie zrobił na niej dobrego wrażenia: – Przemawiał, jakby miał zaraz zasnąć. Nie będę głosować na polityka, który nie potrafi powiedzieć płynnie jednego zdania. On naprawdę chce rządzić krajem?

Nie ufam Bidenowi

Sceptycznym okiem na Bidena patrzy też John Geraghty, pracownik fabryki traktorów i były żołnierz piechoty morskiej. Jego zdaniem Demokrat powinien bardziej kategorycznie potępić akty wandalizmu w Kenoshy.

– Z całego serca wspieram ruch „Black Lives Matter” (Czarne życie się liczy) – mówi John. – Ale nie może być tak, że amerykańskie miasta płoną, a politycy mówią tylko o solidarności z czarnoskórymi oraz o rasizmie w USA. Zgadza się, że potrzebna jest reforma policji. Nie mogę jednak znieść prezentowanej przez Demokratów narracji: że zły rasistowski policjant pod byle pretekstem krzywdzi niewinnego czarnoskórego. Przecież to nie zawsze jest prawda! – podnosi głos 41-latek, odnosząc się do Jacoba Blake’a. Mężczyzna od kilku miesięcy był poszu-



Od lewej: prezydent Trump odwiedza dzielnicę Kenoshy, która ucierpiała podczas zamieszek, 1 września 2020 r.
Joe Biden z żoną Jill na spotkaniu z mieszkańcami Kenoshy w luterańskim kościele Bożej Łaski, 3 września 2020 r.

→ strachu. Odwracając uwagę od problemów związanych z pandemią, prezydent straszy wyborców, że Ameryka pod rządami Bidena nie będzie krajem bezpiecznym. Wykorzystuje przy tym fakt, że to w rządzonych przez Demokratów miastach – jak Minneapolis, Portland czy Kenosha – doszło w ostatnich miesiącach do najbardziej gwałtownych zamieszek.

Tymczasem poparcie społeczne w Stanach dla antyrasistowskich protestów powoli maleje: z sondaży wynika, że o ile w czerwcu 62 proc. Amerykanów uważało je za „uzasadnione”, o tyle dziś sądzi tak 53 proc.

Kreując się na stróża prawa i porządku, Trump zabiega o głosy białych wyborców ze stanów Środkowego Zachodu i niezdecydowanych mieszkańców przedmieść. Właśnie z tego powodu gwiazdami sierpniowej konwencji Partii Republikańskiej było małżeństwo prawników z St. Louis: Mark i Patricia McCloskey zasłynęli w konserwatywnych kręgach po tym, jak grozili bronią demonstrantom z ruchu „Black Lives Matter”, którzy przechodzili tuż obok ich domu.

Aby nie stracić wyborców w kluczowych stanach, organizatorzy kampanii Bidena inwestują teraz miliony dolarów w torpedowanie retoryki „prawa i porządku”. W jednej z reklam, wyemitowanej w Wisconsin i Minnesocie, Joe Biden skrytykował akty wandalizmu w Kenoshy: „W czasie protestów nie ma miejsca na zamieszki i grabieże. To jest zwyczajne bezprawie i ci, którzy się go dopuszczają, powinni być ukarani”.

Demokrata, który z powodu epidemii jeszcze niedawno prowadził kampanię z własnego domu – poprzez internet – teraz coraz częściej rusza do kontrofensywy w realu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni odwiedził Wisconsin oraz dwukrot-

nie Pensylwanię i Michigan. W pierwszą kampanijną podróż wybrała się też kandydatka na wiceprezydenta Kamala Harris. W Wisconsin spotkała się z rodziną Blake’a i rozmawiała z czarnoskórymi przedsiębiorcami.

Wspomnienia i ujawnienia

Kampanijne wysiłki Demokratów wsparł też ostatnio Michael Cohen, były prawnik Trumpa, obecnie skłócony z prezydentem. W wydanej w tych dniach wspomnieniowej książce pt. „Disloyal: A Memoir” (dosłownie: „Nielojalny: Wspomnienie”) zarzuca byłemu pracodawcy, że jest kłamcą, rasistą i despotą. Twierdzi, że Trump mówił w jego obecności, iż kraje świata rządzone przez czarnoskórych przywódców to „zadupia”, a „czarnoskórzy i latynoscscy wyborcy są zbyt głupi, by na niego głosować”. Cohen zarzuca też Trumpowi, że zatrudnił kiedyś aktora podobnego do Baracka Obamy i udawał przed kamerą, że udziela mu reprimendy i chce go zwolnić.

Wspomnienia Cohena to nie jedyna ostatnio publikacja wymierzona w prezydenta. Bardzo krytycznie o Trumpie pisała w swojej książce jego bratanica Mary Trump. Tytuł i podtytuł – tutaj w swobodnym przekładzie – mówią chyba wszystko o jej przesłaniu: „On zawsze chciał za dużo i nigdy nie miał dość: jak moja rodzina stworzyła najbardziej niebezpiecznego człowieka na świecie”.

Większym problemem niż wspomnienia krewniaczki może okazać się dla Trumpa książka dziennikarza Boba Woodwarda. Wydana w tych dniach, nosi tytuł „Rage” („Wściekłość”). Woodward cieszy się w Stanach wyjątkową renomą; jego kariera reportera politycznego zaczęła się jeszcze w latach 70., od dziennikarskiego śledztwa w sprawie

afery Watergate (sprawa zakończyła się rezygnacją prezydenta Nixona).

Co wiedział, a co powiedział

Pisząc teraz książkę o Trumpie, Woodward poprosił o możliwość rozmów z prezydentem, a ten się zgodził – być może w nadziei, że obłaskawi reportera. Łącznie rozmawiali przez dziewięć godzin, między grudniem 2019 a lipcem 2020 r. Za zgodą prezydenta Woodward nagrywał rozmowy.

Biały Dom nie może więc teraz zaprzeczyć temu, co pisze Woodward: że Trump bardzo wcześnie, bo już pod koniec stycznia, był świadom zagrożenia, jakim jest epidemia, a mimo to publicznie je bagatelizował, długo nie podejmował działań i prowadził normalną kampanię.

I tak, już na początku lutego w rozmowie z Woodwardem prezydent miał stwierdzić, że koronawirus „jest bardziej śmiertelny niż ciężka nawet grypa” – tymczasem jeszcze trzy tygodnie później oświadczył publicznie, że jest on „jak grypa”. Pytany o przyczynę swojego postępowania, Trump miał się tłumaczyć dziennikarzowi, że nie chciał wywoływać paniki.

Inna sprawa, czy potrzeba dziś grubych tomów, aby pokazać, jaki jest Trump. On sam lubi rozsiewać kontrowersyjne teorie – czego dowodem choćby jego niedawne komentarze na temat głosowania korespondencyjnego. Prezydent, który z uporem sugeruje, że taka procedura może prowadzić do fałszerstw, ostatnio poszedł o krok dalej. W rozmowie z dziennikarzami w Karolinie Północnej zachęcał, aby w listopadzie głosować dwukrotnie: najpierw korespondencyjnie, a potem w lokalu. Nie bacząc na to, że zachęca tym do łamania prawa, tłumaczył, że to najlepszy sposób na „przetesto-

wanie” procedur wyborczych przyjętych ze względu na pandemię.

Czekając na bezpośrednie starcie

LaTarro Traylor, czarnoskóra prawniczka z Grand Rapids w stanie Michigan, nie wyklucza, że odpuści sobie tegoroczne wybory. Jest rozczarowana kampanią Bidena, bo według niej zbyt rzadko przedstawia on konkretne propozycje reform.

– On wciąż skupia się na personalnych atakach na Trumpa, a sam nie proponuje wiele w zamian – twierdzi LaTarro. – Co to za retoryka, że wystarczy wyrzucić Trumpa z Białego Domu, a w Ameryce będzie żyło się lepiej?

Prawniczkę denerwuje, że większość jej znajomych zgłasza na Bidena tylko dlatego, iż jest politykiem Partii Demokratycznej. – OK, fajnie, że wybrał na swoją wiceprezydentkę czarnoskórą kobietę. Nie sądzę jednak, żeby Kamala Harris zrobiła dla nas więcej niż typowy biały polityk – dodaje LaTarro, która nie może się doczekać serii telewizyjnych debat (pierwsza zaplanowana jest na wtorek 29 września). LaTarro ma nadzieję, że to bezpośrednie starcie między Trumpem a Bidenem zdominuje temat pandemii, a nie – jak mówi – podkręcana przez prezydenta sprawa bezpieczeństwa na ulicach.

Tego samego zdania jest 54-letnia Mary Vevang Anderson z Minnesoty, której wypowiedź przywołuje dziennik „Washington Post”. Mieszkanka zamożnych przedmieść Minneapolis teoretycznie powinna dać się ponieść retoryce Trumpa. W 2016 r. oddała na niego głos, a ostatnio z niepokojem śledzi doniesienia o kolejnych strzelaninach w Minneapolis – to właśnie tutaj pod koniec maja podczas policyjnej interwencji zginął czarnoskóry George Floyd, co rozpoczęło ostatnie protesty. Mimo wszystko Mary Vevang Anderson, która przez pandemię straciła zyski z prowadzonego salonu kosmetycznego, uważa, że najważniejsze jest teraz ratowanie gospodarki.

Być może to właśnie od odpowiedzi na pytanie, czego Ameryka boi się najbardziej, zależy będzie wynik listopadowych wyborów.

© MARTA ZDZIEBORSKA



Onima, „tygrysia wdowa”, z synem Raju przy swojej chacie, dwa i pół roku po śmierci męża. Do dziś nie otrzymała gwarantowanej przez rząd rekompensaty i aby utrzymać kilkusobową rodzinę, pracuje dorywczo na polu ryżowym. Wyspa Satjelia, Sundarbany, 2020 r.

Tygrysie wdowy

TEKST I ZDJĘCIA: MARTA SAWICKA-DANIELAK
Z SUNDARBANÓW (BENGAL ZACHODNI, INDIE)

Tysiące samotnych kobiet trwają na tropikalnych wyspach, które z powodu kryzysu klimatycznego za pół wieku znikną pod wodą. Niedawno zdewastował je kolejny cyklon.

NA SUNDARBANY CZĘSTO MÓWI SIĘ „tropikalna Wenecja”. Nie mają jednak nic wspólnego z włoskim przepychem. Te największe na świecie lasy namorzynowe położone są na terytorium Indii i Bangladeszu. Ich wyspy rozpościerają się na rozlewiskach trzech rzek, których nurt miesza się z wodą oceaniczną. Ową wyjątkowo wrażliwą i różnorodną przyrodniczo region, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO,

jest jednym z najniebezpieczniejszych miejsc na ziemi. To kraina cyklonów i „żarłocznych przypływów”, postępujących zmian klimatycznych, piratów, handlarzy ludźmi, krokodyli i rekinów. A przede wszystkim – królewskich tygrysów bengalskich.

Tygrysy atakują tu człowieka z lądu i z wody. Tygodniowo zabijają nawet kilka osób, choć wiele zgonów nie jest ewidencjonowanych, zwłaszcza gdy →

→ nastąpiły na terenie ścisłego rezerwatu, a ofiara przebywała tam bez kosztownego pozwolenia. Populacja Sundarbów liczy prawie 5 mln ludzi; większość jest niepiśmienna i żyje poniżej granicy ubóstwa.

E-mail od znajomego z Indii: „Jest 16 marca, poniedziałek, około 7.30 rano tygrys skoczył na rybacką łódź i zabrał do dżungli Basudeba Mondala z wioski Kumirmari, który pozostawił po sobie wielopokoleniową rodzinę, jaką utrzymywał z połowu krabów”.

To pierwszy atak od mojego ostatniego pobytu na wyspach. Relacje z kolejnych będę dostawała co kilka dni. Trwa pandemia. Na Sunderbanach też nosi się maski. Ale są to maski z kauczuku: imitują ludzką twarz i zakłada się je na potylicę, dla zmylenia drapieżnika, bo tygrys zwykle atakuje od tyłu.

– Tygrysa nie widać, zjawia się jak duch. On zawsze widzi cię pierwszy. Po tem możesz już tylko się modlić – przekonuje mnie gunin, lokalny szaman, częstując halucynogennym rożkiem w liściu bananowca, po którym ponoć widzi się duchy lasu. A ten las jest pełen duchów.

Tamten piątek

Onima Mistry ma 38 lat. Przynajmniej tak jej się wydaje, bo nigdy nie miała aktu urodzenia. Podobnie jak większość mieszkańców 54 wysp indyjskich Sundarbów (pozostałe 48 wysp to ścisły rezerwat przyrody i teren ochrony tygrysa). Dlatego nie obchodzi się tu urodzin. Hucznie świętuje się za to wydarzenia z życia licznych bóstw, a zwłaszcza Bon Bibi: matki lasu, opiekunki ludzi i zwierząt, której figury uśmiechają się do mnie co kilka kroków. Czas nie płynie tu linearnie. Litery i cyfry nie porządkują rzeczywistości. Podobnie jak dokumenty, które i tak w końcu zabierze woda albo zniszczy kolejny cyklon.

– Niemal wszystko, co miałam, pochłonęła fala po „Bulbul” – Onima wspomina cyklon sprzed trzech miesięcy, gdy widzieliśmy się jeszcze pod koniec lutego. Nie wiemy, że za kolejne trzy miesiące przyjdzie następny kataklizm: „Amphan”, huragan najwyższej, piątej kategorii, który doprowadzi do największych od trzech dekad dewastacji. Onima straci resztki mienia. Słona woda zaleje jej rybny staw, z chaty zerwie cały dach.

Gdy pod koniec czerwca rozmawiam przez telefon z jej synem, Raju mówi, że

wprawdzie są cali, ale właśnie nadchodzi monsun i nie mają gdzie się schronić przed opadami. – Zresztą nikt wokół nie ma gdzie się ukryć – dodaje.

Nawet ład nie jest pewny. Ze sprawą zmian klimatycznych poziom wody gwałtownie się podnosi, a cyklony przybierają na sile. Erodują nadbrzeżne wały. Znikają pola uprawne, i tak skąpo karmiące ludzi. Jak mówią miejscowi, jedyną stałą jest tu karma, przeznaczenie: jeśli ma cię zjeść tygrys, to nawet szaman nie znajdzie zaklęcia, aby to zmienić. Jeśli masz głodować, będziesz głodny.

Onimę widzę pierwszy raz na fotografii sprzed trzech lat. Piękną śniadą twarz wykrzywia grymas bólu, mdlejące ciało podtrzymują płaczące kuzynki. To jedno z kilku zdjęć, jakie jej w życiu zrobiono. Sama żadnego dotąd nie widziała. Uwiecznił ją fotograf z Kalkuty, który był na wyspie Satjelia, gdy Onima została wdową.

Czy pamięta ten lipcowy poranek? – Nie wiem, co się ze mną działo wtedy ani przez kolejne miesiące. Pamiętam tylko, że był monsun i piątek. A w piątek nie chodzi się do dżungli, to przynosi pecha. Wszyscy to wiedzą, ale nikt głośno o tym nie mówi – wspomina.

Wcześniej Onima nie brała tego przesądu pod uwagę, bo jej mąż, Ronjit, nie chodził do dżungli. Dlatego wiodło im się bardzo źle. Dżungla to, obok rolnictwa, jedyne źródło dochodu. Nie ma tu przemysłu ani handlu, raczkuje turystyka. Ich nie było stać nawet na dzierżawę pola. Czasem sprzedawali warzywa lub ryby z przydomowego stawu. Ronjit coraz bardziej martwił się o edukację syna. Onima wolała ubóstwo niż wdowi los, który był udziałem jej sąsiadek.

Ostatni kadr

Mieszkająca z nimi teściowa, Nidra, też jest wdową: tygrys pożarł ojca Ronjita, gdy ten miał 12 lat. Ciężar utrzymania matki i rodzeństwa spadł na chłopca, który sam musiał teraz chodzić do dżungli. Na leśny miód, ryby, młode krewetki i rzeczne kraby jest zbyt: eksportuje się je do Chin, Malezji, Singapuru. Ale gdy Ronjit założył rodzinę, przyrzekł żonie, że nie będzie już pracował w lesie. Aż do tamtego feralnego piątku obietnicy nie złamał.

Ich małżeństwo było aranżowane, ale niepozbawione uczuć. – Pamiętam nasz *ashirwad* – Onima wspomina ich zapozna-

nie przy świadkach (można powiedzieć, że tak wyglądała ich pierwsza randka). – Bałam się tego. Ale on był łagodny, spokojny, inny niż mężczyźni, których znałam. Miał piękną twarz. Zakochaliśmy się w sobie od razu. I tak już zostało – gdy Onima podaje mi duże zalaminowane zdjęcie, które przeciera brzegiem sukienki, uśmiecha się pierwszy raz.

Spodziewam się ślubnej fotografii. Wyobrażam sobie bengalskie stroje nowożeńców: charakterystyczne nakrycia głowy, stożkowy *topor* chłopaka i *mukut*, misterną tiarę jego wybranki, a przede wszystkim karmazyn jej odświętnego sari i głęboką czerwień zdobnej alty (farby na dłoniach i stopach panny młodej).

Dostaje zdjęcie zakrwawionych zwłok w podartej prążkowanej koszuli z kołnierzykiem. Mechanicznie odkładam je na krzesło obok. Staram się myśleć o czymkolwiek: o plastikowym krześle z absurdalnie owiniętymi folią nogami, o kołnierzyku koszuli nieboszczyka. Byłe odgonić widok poszarpanego gardła. Podbiegają dzieci sąsiadów. Chwytają zdjęcie. Krąży teraz z rąk do rąk. Dorośli kiwają



głowami. Malcy pokazują sobie palcami jakiś detal. Śmierć nikogo tu nie dziwi. Podobnie jak zwłoki, które się tu fotografuje.

– Dlaczego poszedł do dżungli w odświętnej koszuli? – nie wytrzymuję napięcia.

– To jedyna z długim rękawem, jaką miał. Było mokro, od wielu dni padało. Wtedy w dżungli gryzą komary.

Czarcie istoty

Poza wyjątkami, gdy atakującymi są osobniki schorowane lub stare, tygrysy nie żywią się ludźmi i unikają człowieka. Ale na Sundarbanach jest inaczej i mimo wielu hipotez naukowcy nie ustalili przyczyny tej anomalii.

Onima dołączyła więc do stygmatyzowanego grona „tygrysyich wdów”.

Wiadomo, że żyje tu 96 tygrysów bengalskich. „Tygrysyich wdów” – kobiet, którym dziki kot odebrał męża i jedyne źródło utrzymania – są ponad trzy tysiące. Nie mają takiego wsparcia i ochrony jak zwierzęta, których prawami zajmują się międzynarodowe organizacje i rząd (tygrys to narodowe zwierzę Indii). A o skali ataków poza Sunderbanami wiedzą nieliczni. O „tygrysyich wdowach” rzadko słyszeli nawet mieszkańcy Kalkuty, najbliższego miasta na stałym lądzie, którzy przyjeżdżają tu tylko na weekendowe objazdy.

– Koncept tygrysa ludojada jest *sexy*, ale nie powinniśmy mówić o tygrysach

jako zabójcach. To mit – przekonuje mnie Anurag Danda, naukowiec i praktyk w zakresie ochrony środowiska oraz adaptacji do zmian klimatycznych w regionie Sundarbanów z fundacji ORF, wcześniej związany z WWF India. – Polowanie na człowieka zdarza się tu z wielu skomplikowanych powodów, m.in. ekspansji ludzi. Tygrysa chronimy z własnych samolubnych pobudek: chcemy zachować ciągłość ekosystemu, a tygrys jest dla niego kluczowy. A uboga niepiśmienna kobieta z terenów rolniczych? Kogo ona obchodzi? Kto ma interes, by ją wspierać? Dlatego tak niewielu dostrzega los „tygrysyich wdów” – mówi Danda.

Wdowieństwo przychodzi na wypach wcześniej, nawet w wieku 20 lat. Powtórne zamążpójście to tabu i prawie się nie zdarza. Wdowa to w Indiach jedna z najniższych rang społecznych. Jeszcze w latach 90. XX w. zdarzała się zakazana już ceremonia *sati*, gdy kobieta kładła się na stos przy zwłokach mężczyzny, bo według religijnej tradycji powinna być mu oddana dosłownie po grób. A *bagh bidhoba*, „tygrysa wdowa”, to dodatkowo istota czarcia. „Pożeraczka męża”, która sprowadza nieszczęście na wspólnotę. Dlatego należy ją usunąć poza granice osady i pozbawić własności.

Głód boli bardziej

Choć w Bengalu mało kto to przyznaje, ostracyzm wobec tych kobiet jest ogromny. W sąsiednim Bangladeszu

wciąż wierzy się, że mąż po śmierci zamieni się w drapieżną bestię i przyjdzie po żonę, przy okazji mordując sąsiadów. Dlatego wdowę trzeba eksmitować – nawet jeśli głoduje – wraz z licznym potomstwem.

Wierzenia i zabobony często okazują się przykrywką dla bezdusznej kalkulacji: rodzina męża chce wejść w posiadanie ziemi i domu, który zostawił. Często też dybie na rządową rekompensatę, która i tak rzadko jest wypłacana. Mężczyzna traci w dżungli życie, kobieta wszystko inne.

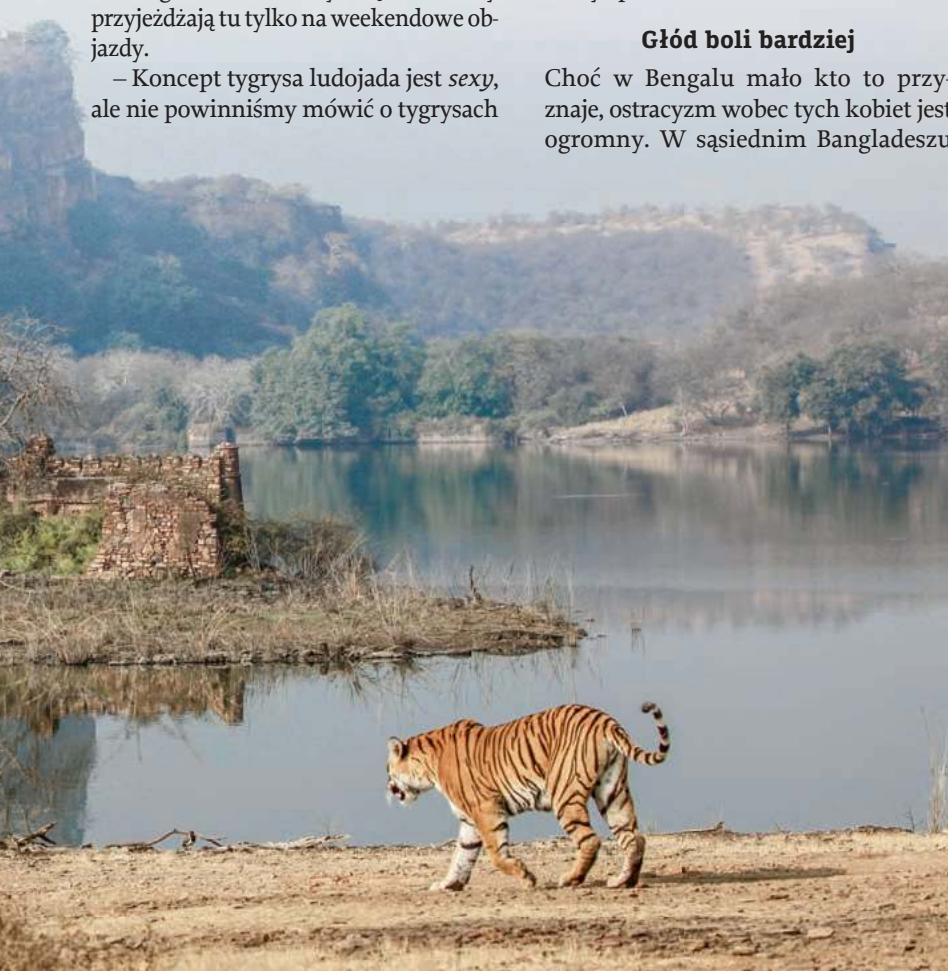
Także perspektywę, że kiedykolwiek jej los się poprawi. Bo to pracujący w lesie mężczyźni padają najczęściej ofiarami tygrysów. W tradycyjnej społeczności Bengalu ona zajmuje się domem i rzadko go opuszcza, a on jest odpowiedzialny za utrzymanie rodziny, zdany na łaskę dżungli. Za kilka dni pracy w kilkusobowym zespole można dostać od tysiąca do kilku tysięcy rupii na głowę, w zależności od efektu (dla porównania: doba z wyżywieniem w miejscowej noclegowni kosztuje mnie 800 rupii).

Dlatego mimo lęku trudnią się tym nawet ci, którym już raz udało się przeżyć atak lub byli jego świadkami. Jak Anna Mondol z wyspy Dayapur, która od 16 lat jest wdową i prócz siebie utrzymuje też syna.

Gdy dwa lata temu zbierała z grupą sąsiadów kraby w kanale, tygrys poszarpał jej plecy i biodra, po czym rzucił się na jej koleżankę i zawłókł ją w głąb lasu. Ciało Manu nie odnaleziono. Kobieta osieročila dwoje dzieci; rok wcześniej w wyniku ataku tygrysa zginął jej mąż.

Mimo utraty dużej ilości krwi Anna przeżyła. Lekarz z publicznej opieki medycznej odmówił jej pomocy, twierdząc, że i tak wkrótce umrze. Rodzina zapożyczyła się na prywatną opiekę lekarską i opatrunki. Do najbliższego szpitala było jednak za daleko, więc przez pół roku leżała w bandażach w swojej lepiance. Dziś skarży się na nerwobóle, które powracają w takim nasileniu, że traci przytomność. To, co zaoszczędzi, wydaje na środki przeciwbólowe. Cierpi na bezsenność →

Park Narodowy Ranthambore: dziś znany rezerwat tygrysów bengalskich, kiedyś tereny łowieckie maharadzów. Polowała tu także królowa Elżbieta II z mężem Filipem w 1961 r. Radżastan, Indie, 2019 r.





Od lewej: bengalska matka i córka w lokalnych strojach podczas przeprawy przez rzekę. Sourobi, Subala i Nomita: trzy „tygrysie wdowy” z wyspy Bali na Sundarbanach. Sourobi została szczególnie doświadczona: tygrys zabił najpierw jej męża, rok później nastoletniego syna, a 15-letnia córka zginęła w ataku krokodyla.

→ i koszmary, ma wszystkie typowe objawy zespołu stresu pourazowego.

Ale za trzy dni znowu idzie do lasu. Gdy o tym myśli, ze strachu nie może oddychać. – Zaraz po wypadku byłam pewna, że już nigdy tam nie pójdę. Ale mam dwie możliwości: zginąć od tygrysa albo umrzeć z głodu. Umieranie z głodu trwa dłużej. I bardziej boli – mówi Anna.

Królewskie trofea

Na świecie występuje niecałe 4 tys. dziko żyjących tygrysów, z tego 70 proc. w Indiach. W ciągu ostatnich dwustu lat ich liczba w tym kraju spadła o 98 proc. – głównie ze względu na sportowe polowania (Mogołów, potem maharadzów, wreszcie Brytyjczyków). Królowa Elżbieta II z mężem Filipem, fanem myślistwa, zastrzelili tygrysa w 1961 r., czego świadectwem są fotografie z przegowanym trofeum u stóp monarchini, które widziałam w posiadłości przy Parku Ranthambore, gdzie zatrzymała się królewska para.

Kres wybijaniu zwierząt położyła premier Indira Gandhi, wprowadzając w 1972 r. zakaz rekreacyjnych polowań. Zaczęła też rządowy program ochrony tygrysa (Project Tiger), dzięki któremu populacja gatunku stopniowo się odradza.

Z drugiej strony w ciągu 30 lat ludność Indii podwoiła się i wynosi 1,3 mld osób, czyniąc ten kraj drugim najludniejszym państwem świata. Ludzie potrzebują ziemi, tygrys musi mieć terytorium. Tęgo konfliktu nie da się rozstrzygnąć polubownie.

Warunki życia na Sundarbanach są ekstremalnie trudne dla wszystkich gatunków. Naukowcy szacują, że za 50 lat tych wysp w ogóle może już nie być – z powodu postępującego kryzysu ekologicznego, który akurat na tych terenach widać jak w soczewce. Powracające cyklony nie są bezpośrednim następstwem zmiany klimatu. Jest nim ich skala, rosnąca intensywność. Dotyczy to nie tylko huraganów, lecz także temperatur, opadów, susz, powodzi. Zanieczyszczenie powietrza oraz zasolenie gleb i wód gruntowych są tu ogromne.

Statystyki ONZ pokazują, że kobiety i dzieci to pierwsze ofiary kryzysu klimatycznego. Podczas klęski żywiołowej są 14 razy bardziej narażone na śmierć niż mężczyźni. Katastrofy odbijają się też na ich zdrowiu, również psychospołecznym, i adaptacji do nowych realiów, a także na migracji. Majowy cyklon „Amphan” pozbawił życia ponad sto osób, a setkom tysięcy odebrał domy i grunty rolne. Tygrysy zaś straciły siedliska w wyniku zalania lub dewastacji namorzynów.

Onima czeka na rekompensatę

Naukowca i ekologę Anuraga Dandę pytam, dlaczego te zmiany są tu tak wyraźne.

Danda: – Problemy były od dawna, każda kolejna zmiana jedynie je uwypukla. Ludzi nie powinno tu być, to powinno być naturalne, chronione środowisko. Stąd problemy. W XVIII w. za-

częła się kolonizacja i eksploatawanie tego obszaru. Brytyjskie przedsiębiorstwa zobaczyły w tych ziemiach szansę na zysk, zaczęto więc ingerować w dziewiczy ekosystem, by pozyskać ziemię rolną i drewno. Dochód płynął też z opodatkowania tego dzikiego dotąd terenu. Wszystkie zmiany i problemy pojawiły się wraz z ludzką chęcią wzbogacenia się.

Dziś zyski z eksploatacji regionu wciąż płyną do bogatych spoza Sundarbanów. Ale, mimo cierpienia, najubożsi wciąż starają się żyć w symbiozie z przyrodą, której każdy element uznają za święty.

O tym, że mąż poszedł nocą z sąsiadem na połów do dżungli, Onima Mistry dowiedziała się rankiem, gdy przyniesiono jego ciało, które rybacy odbili tygrysowi. Choć Ronjit wykupił pozwolenie na pracę w lesie, Onima do dziś nie otrzymała rekompensaty od rządu Bengal Zachodniego. Podobnie jak większość wdów. Biurokracja i korupcja są barierą nie do pokonania, zwłaszcza dla osób niepiśmiennych – takich jak Onima.

– Masz żal do męża, że złamał waszą umowę? – pytam.

– Może trochę. Ale bardziej jestem zła na Bon Bibi. Już nie wierzę, że nas chroni. Zresztą w ogóle nie wierzę w boga. Odszedł ode mnie razem z Ronjitem.

– A tygrys? Winisz go?

– Nie. Jak mogę winić zwierzę? To my wchodzimy na jego terytorium. Tygrys jest strażnikiem dżungli. Gdy go zabraknie, wytną nasz las i niczego już tu nie będzie. © MARTA SAWICKA-DANIELAK



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK SPECJALNY
„TP” 38/2020

Pamięć **Sybiru**



KRZYSZTOF KARPINSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Wnętrze nowo powstającego Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku

Pamiętamy

WOJCIECH ŚLESZYŃSKI

Od kilku lat tworzymy w Białymstoku niezwykle miejsce: Muzeum Pamięci Sybiru. 17 września w przyszłym roku pierwsi zwiedzający przekroczą jego próg.

Ciągle umyka naszej uwadze rzeczywiste znaczenie daty 17 września 1939 r. Lokujemy je co prawda wśród wielu martyrologicznych zdarzeń z historii naszego narodu: gdzieś między 1 września 1939 r. a 8 maja 1945 r., ewentualnie obok dat trzech rozbiorów Polski.

Rzadko jednak uświadamiamy sobie, że dzień ten – oraz wydarzenia, które nastąpiły po nim – były ucieleśnieniem odwiecznych imperialnych marzeń ówczesnych wrogów naszego kraju: Niemiec i Rosji. Marzeń o usunięciu Polski z mapy Europy i świata. Podział naszej ojczyzny między dwa totalitarne mocarstwa mógłby zapewne trwać długo, gdyby nie bezgraniczny apetyt obu agresorów na panowanie nad światem, co doprowadziło do kolejnej odsłony światowej wojny.

Zwycięstwo sowieckiego komunizmu nad nazizmem wtrąciło Polskę na orbitę

wpływów Związku Sowieckiego na 45 lat, a społeczne i gospodarcze skutki tej podległości będziemy odczuwać jeszcze przez długi czas. Najtrudniej jest jednak odrobić straty intelektualne, a te okazały się najdotkliwszym skutkiem niespełna dwuletniej okupacji i późniejszej, jakże długiej podległości politycznej. Zbrodnia katyńska, cztery wielkie deportacje i kolejne re-

presje zniszczyły tkankę kulturową narodu i państwa, z takim trudem odtworzoną po 123 latach zaborów. Dziś próbujemy odbudować ją na nowo. Potrzebna jest nam do tego obywatelska i narodowa wspólnota, której istotnym elementem jest wspólnota historycznej pamięci.

Dlatego od kilku lat tworzymy w Białymstoku niezwykłą placówkę: Muzeum Pamięci Sybiru. Poprzez historie zesłanych i deportowanych na Wschód setek tysięcy polskich patriotów, ale także poprzez dzieje dobrowolnych osadników i ludzi szukających tam lepszego życia, chcemy pokazać idee, które łączyły w jedną wspólnotę mieszkańców wielonarodowej I Rzeczypospolitej. Bez mitologizowania, ale i bez zbędnego krytycyzmu.

Już za rok, właśnie 17 września, pierwsi zwiedzający przekroczą próg tego największego muzeum historycznego po wschodniej stronie Wisły. Zobaczą tu nowoczesną multimedialną ekspozycję, która przybliży świat dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej – oraz bezkres syberyjskich lasów i kazachskich stepów.

Miejmy nadzieję, że dzięki Muzeum Pamięci Sybiru uda się odtworzyć pamięć, która choćby symbolicznie zjednoczy nas ponownie z minionymi epokami i pozwoli nam zapoznać się z dziedzictwem zamkniętym w słowie „Sybir”. ©

PROF. DR HAB. WOJCIECH ŚLESZYŃSKI
dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru



JAN SZEWCIK / MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Gmach Muzeum Pamięci Sybiru, Białystok

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 38/2020

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTODYJCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

NA OKŁADCE: Las stalowych słupów przed siedzibą Muzeum Pamięci Sybiru symbolizujący syberyjską tajgę.
Autor projektu budynku muzeum: Jan Kabac

PARTNER

**MUZEUM
PAMIĘCI
SYBIRU**

Kiedy San był granicą

ANNA PYŻEWSKA

Po wybuchu II wojny światowej na wschód ruszyli uciekający przed Niemcami, a wkrótce potem na zachód ci, którzy przekonali się, jak wygląda życie pod rządami Sowietów. O tych wędrówkach także opowie Muzeum Pamięci Sybiru.

Autor wspomnień z czasów okupacji sowieckiej 1939-41 tak pisał o ówczesnym pograniczu sowiecko-niemieckim: „Rozeszła się wieść, że Bug będzie rzeką graniczną między dwoma zaborami – niemieckim i bolszewickim. (...) Początkowo granica nie była strzeżona zbyt mocno. Bez większego trudu można było ją przekraczać. A migracja ludności była w tym czasie bardzo duża, i to w obie strony. Jedni uciekali na stronę niemiecką, inni do bolszewików”.

Po agresji niemieckiej z 1 września 1939 r. i sowieckiej z 17 września 1939 r. ziemie Drugiej Rzeczypospolitej przecięła nowa granica, rozdzielająca strefy wpływów obu okupantów. Pierwsze ustalenia co do jej przebiegu zostały zapisane 23 sierpnia w tajnym protokole, dołączonym do paktu Ribbentrop-Mołotow.

Początkowo granica ta miała biec po linii Sanu, Wisły i Bugu, jednak jej ostateczny kształt, zatwierdzony 28 września 1939 r., pozostawiał po stronie niemieckiej tereny między Wisłą a Bugiem (wschodnią część Mazowsza i Lubelszczyznę). W zamian za to Związek Sowiecki zyskał swobodę działań na Litwie.

Niemcom przypadło zatem siedem przedwojennych województw zachodnich i centralnych, a Sowietom – sześć wschodnich. Województwa białostockie, warszawskie i lwowskie okupanci podzielili między siebie.

Linia demarkacyjna

W tym okresie nie była to jeszcze granica w pełnym znaczeniu tego słowa, a jedynie linia demarkacyjna. Dopiero na początku października 1939 r. powstała niemiecko-sowiecka komisja, która miała wytyczyć dokładny przebieg linii granicznej. Oficjalny status uzyskała ona 17 sierpnia 1940 r., wraz z podpisaniem

stosownego porozumienia niemiecko-sowieckiego.

Jej przebiegu nie uzasadniały żadne względy historyczne ani etniczne – okazał się zupełnie przypadkowy. Efektem sztucznego podziału była dezintegracja społeczności mieszkających po obu stronach granicy: zerwanie więzi kulturowych, rodzinnych i ekonomicznych, a także rozbitcie struktur kościelnych: zarówno rzymsko-, jak i greckokatolickich. W Przemyśle granicę ustanowiono na moście na Sanie, dzieląc w ten sposób miasto na dwie części. Nielegalnemu przekraczaniu tej granicy miały zapobiegać siły NKWD oraz Gestapo i Sicherheitsdienst (SD).

Zanim jeszcze granica sowiecko-niemiecka ostatecznie się ukształtowała, a w zasadzie zaraz po wybuchu wojny, z centralnych i zachodnich terenów państwa polskiego na wschód, za Bug, ruszyły masy ludzi uciekających przed wojskami niemieckimi. Z kolei przed Sowietami uciekali mieszkający na przedwojennych Kresach polscy ziemianie, osadnicy, żołnierze Wojska Polskiego, pracownicy polskiej administracji – wszyscy ci, którzy zobaczyli, jak wygląda życie w sowieckiej rzeczywistości, i zdecydowali się jednak zaryzykować życie pod okupacją niemiecką.

Tak więc po obu stronach pogranicza znalazły się tysiące uchodźców. Dla wielu z nich niedostępna „druga strona” wydawała się miejscem dającym większe szanse na ratunek.

Pulsujące pogranicze

Zdecydowaną większość uciekinierów z zachodu stanowili Żydzi. Kto mógł, dojeżdżał zazwyczaj pociągiem do ostatniej stacji kolejowej po niemieckiej stronie, aby potem przedostać się dalej. Bodaj najbardziej zatłoczone były pociągi jadące z Dworca Wschodniego w Warszawie do Małkini, ale pasażerów nie brako-

wało także na innych liniach – docierali choćby do Siedlec, aby potem jechać do Niemiojek czy Platerowa.

Tak jak Noach Lasman: nastoletni uciekinier z Poznania, który w połowie listopada 1939 r. dotarł przez Łódź, Warszawę, Siedlce i Niemiojki do Łosic, gdzie ściągnął z Poznania resztę rodziny. Lasmanowie planowali przedzierać się dalej na wschód, gdyby w Łosicach nie było bezpiecznie. Ostatecznie podjęli jednak decyzję o pozostaniu po stronie niemieckiej. Inni szli dalej. Wiele osób wierzyło, że – jak czytamy we wspomnieniach – „za Bugiem podobno jest inaczej (...) Komuniści rozwiązali problem bezrobocia, nauka jest bezpłatna, a państwo gwarantuje każdemu niezbędne minimum. Wszyscy mówili o sowieckiej stronie okupacyjnej jak o raju”.

Sytuacja ludności żydowskiej była chyba najtrudniejsza. Od momentu wybuchu wojny do końca 1939 r. Niemcy robili, co mogli, aby pozbyć się Żydów z zajmowanych terenów polskich, przeganiając ich na stronę sowiecką. Tylko że Związek Sowiecki wcale nie chciał ich przyjąć. Doszło do paradoksalnej sytuacji: tysiące ludzi tkwiły na pasie neutralnym między jedną a drugą strefą okupacyjną, nie mogąc ani przedrzeć się na stronę sowiecką, ani wrócić na niemiecką. Wielu próbujących pójść w którymkolwiek kierunku zostało zastrzelonych przez niemieckich bądź sowieckich pograniczników.

Na granicę sowiecko-niemiecką trafiały też transporty Polaków i Żydów, którzy zostali przymusowo wysiedleni przez władze hitlerowskie z terenów włączonych jesienią 1939 r. do III Rzeszy (Pomorza Gdańskiego, Wielkopolski czy Górnego Śląska). Jak wynika ze wspomnień Lasmana, zimą z obozów jenieckich w Niemczech zwolniono szeregowych żołnierzy żydowskich Wojska Polskiego, zmobilizowanych we wrześniu 1939 r. Wśród nich byli mieszkańcy Kresów, którzy – nie mogąc przekroczyć Sanu i Bugu – zatrzymywali się w pobliskich miejscowościach.

Ten sam autor zanotował, że „latem 1940 r., w ramach oczyszczania Niemiec z elementów rasowo niepożądanych, w okolicy Łosic przybyła jeszcze jedna grupa wygnańców, tym razem stosunkowo nieliczna: Cyganie z Westfalii i Nadrenii”. W pasie po obu stronach granicy bez przerwy gromadzili się więc ludzie. ➔



MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Strażnicy niemieccy na posterunku na linii demarkacyjnej, okolice Augustowa. Jesień 1939 r.

W drugą stronę

→ Z kolei wśród tych, którzy uciekali na stronę niemiecką, była żona i dzieci Bronisława Eustachego Wysockiego – właściciela majątku Hurczyny w powiecie wołkowyskim, aresztowanego przez Sowietów. 28 grudnia 1939 r. cała grupka dotarła pociągiem do Zaręb Kościelnych, skąd lasami przeszła do Małkini i dalej do Warszawy.

Z kolei Jezierscy, właściciele majątku Pobikry w powiecie Bielsk Podlaski, po wkroczeniu Sowietów ukryli się na miejscu, czekając na dalszy bieg wydarzeń. Jednak już na początku listopada 1939 r. przedostali się przez Bug do Warszawy. Ponieważ ich warszawskie mieszkanie zostało zniszczone, dachu nad głową musieli szukać gdzie indziej.

Bywało i tak, że uciekinierzy z Kresów, nie posiadający środków do życia, decydowali się na powrót z Generalnego Gubernatorstwa do sowieckiej strefy okupacyjnej. Wanda z Sokołowskich Leszczyńska – właścicielka majątku Dołęgi w powiecie szczuczyńskim i współwłaścicielka majątku Zacisze w powiecie wysokomazowieckim – została przez Sowietów wyrzucona ze swoich posiadłości. Na przełomie 1939

i 1940 r. udało jej się dotrzeć do Rembertowa. Wkrótce jednak wraz z synem wróciła do swoich dawnych majątków, aby zabrać rzeczy ukryte we wrześniu 1939 r. Sowieci jednak nie wpuścili jej na teren dawnego gospodarstwa. Leszczyńska osiadła w Grajewie. 13 kwietnia 1940 r. została wywieziona do Kazachstanu, gdzie zaginęła bez wieści. Jej syn uniknął wywózki, ukrywał się, po czym prawdopodobnie został zastrzelony podczas próby przedostania się do Generalnego Gubernatorstwa.

Wydaje się to dziś nieprawdopodobne, ale byli także Żydzi, którzy przedostawali się z terenu okupacji sowieckiej na stronę niemiecką. Zenon Skrzypkowski, autor książki „Przyszliśmy was oswobodzić... Drohiczyńskie wspomnienia z lat niewoli”, tak pisał: „Bogaci Żydzi, nie przeżywając zapewne takiego pogromu, jaki szykowali im Niemcy, wracali, aby ratować swoje majątki pozostawione w Warszawie lub innych miejscowościach”.

Przewodnicy i kontrabanda

Nielegalne przekraczanie granicy niemiecko-sowieckiej umożliwiali przewodnicy, którzy wiedzieli, kiedy i gdzie można próbować przedrzeć się na drugą

stronę. Niestety nie brakowało wśród nich oszustów, którzy pobierali należność za tę „usługę”, po czym porzucali przerażonych ludzi w nieznanym miejscu.

W Budowli – przed wojną powiat grodzieński, dziś Białoruś – „rozeszła się sensacyjna wiadomość, że rodziny Zawadzkich i Tokarzów uciekły na stronę niemiecką. Nikt nie wiedział, jak się to odbyło i czy obydwie rodziny szczęśliwie przekroczyły granicę. Dopiero wiele lat po wojnie dowiedzieliśmy się, że płatny przewodnik okazał się człowiekiem nieuczciwym, okradł ich i opuścił przed granicą. Nie orientując się dobrze w terenie, bładzili, pogubili się, lecz po licznych tarapatach udało się im przekroczyć granicę wraz z innymi uciekinierami i bardziej doświadczonymi przemytnikami” – pisał Antoni Tomczyk w publikacji „Abyśmy mogli wybaczyć”. Takich przypadków było wiele.

Na sowiecko-niemieckim pograniczu kwitł także przemyt towarów. Noach Lasman wspominał: „Ojciec dogadał się z nim [z chłopem mieszkającym w pobliżu rzeki Bug – red.] i zimą zaczęli szmuglować przez rzekę do Drohiczyńskie różne towary, głównie kupony płótna”. Zysk po pierwszej wyprawie okazał się duży, gdyż – jak pisze Lasman – na okupowanych przez Związek Sowiecki ziemiach „z dnia na dzień i bez żadnego odszkodowania unieważniono polską walutę i teraz nic niewarte złotówki zaczęły masowo płynąć do Guberni. Równocześnie zapasy towarów po sowieckiej stronie się wyczerpały i ich ceny gwałtownie rosły. Różnica cen tych samych produktów po obu brzegach Bugu stała się ogromna i kusząca”. Jednak „na wiosnę [1940 r. – red.] nasze przemytnicze eldorado nagle się skończyło. Straże obu zaprzyjaźnionych państw szczelnie zamknęły granicę na Bugu, przerywając nie tylko kontrabandę, ale w ogóle przepływ ludzi w obydwu kierunkach”.

Stopniowo przekraczanie granicy stawało się coraz trudniejsze. Zimą 1939/40 r. coraz więcej osób przedzierających się „na drugą stronę” było zatrzymywanych i aresztowanych. Między wrześniem 1939 a czerwcem 1941 r. do więzień znajdujących się na ziemiach polskich okupowanych przez Sowietów trafiło ok. 110 tys. osób – i wedle oficjalnych danych najwięcej było wśród nich

tych oskarżonych o nielegalne przekroczenie granicy.

Stary Drohiczyn przestał istnieć

2 marca 1940 r. Rada Komisarzy Ludowych (sowiecki odpowiednik rządu) podjęła decyzję o przymusowym wysiedleniu ludności z biegnącego wzdłuż granicy pasa o szerokości 800 m oraz zniszczeniu wszelkich zabudowań na tym terenie. Nie dotyczyło to jedynie wybranych miast (m.in. Przemyśla, Leska, Druskiennik, Nowogrodu) – stąd miały zostać wysiedlone tylko osoby wskazane przez NKWD.

Zenon Skrzypkowski pisał: „Na wiosnę 1940 roku komendant straży granicznej w Drohiczynie kpt. Szostakow zwołał mieszkańców i oświadczył, że ze względu na bezpieczeństwo granicy wszystkie domy znajdujące się 800 metrów od Bugu muszą zostać rozebrane i przeniesione w inne miejsce. Praktycznie oznaczało to śmierć dla miasteczka, bowiem większość zabudowań i całe centrum znajdowało się właśnie w tym nadbużańskim pasie. Bez śladu zniknęło wtedy m.in. wiele cennych zabytków architektury drewnianej, a wśród

■ Tysiące ludzi utkwiły na pasie między sowiecką i niemiecką strefą okupacyjną, nie mogąc przedrzeć się w żadną stronę. Wielu próbujących pójść w którymkolwiek kierunku zostało **zastrzelonych przez pograniczników.**

nich dwie stare cerkiewki i XVII-wieczny modrzewiowy dworek. (...) Pod topór, i to ze szczególną zaciętością, poszła m.in. drewniana belka z wyrytym na niej napisem upamiętniającym pobyt w tym dworku w r. 1812 Napoleona Bonaparte. W rejonie przygranicznym ocalały jedynie domy, które Sowietci uznali za nadające się dla wojska bądź rodzin oficerów. Na rozbiórkę i przenie-

sienie domów wyznaczono tylko trzy dni, ale jeszcze mniej czasu było na ewakuację świątyń”.

Część osób usuwanych z pasa przygranicznego została przez władze przesiedlona na znacznie odleglejsze tereny. Taki los spotkał m.in. rodziny z rejonu Lesko-Sanok-Przemyśl, które osiedlono na Wołyniu. W 1943 r. wiele z tych osób zostało zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich podczas rzezi wołyńskiej.

„Granica przyjaźni”

Po „oczyszczeniu” terenu Sowietci rozpoczęli budowę pasa umocnień, ciągnącego się wzdłuż granicy sowiecko-niemieckiej (tzw. linii Mołotowa). Także po stronie niemieckiej rozpoczęto prace w pasie granicznym.

„Napływ transportów z żołnierzami podbijającymi nie tak dawno Francję sięgnął zenitu na wiosnę 1941 r. i był dla nas początkiem nowego okresu okupacji – wspominał Noach Lasman. – Niemcy żądali od Judenratu coraz większej liczby mężczyzn do pracy i wszystkich zaprzęgli do fortyfikowania pobliskiej granicy z Sowietami. Pracowaliśmy przy poszerzaniu dróg, podbijaniu torów kolejowych na całej długości od Siedlec do Bugu, budowie bocznic i ramp załadunkowych na stacji w Niemojkach, stawianiu obozów, magazynów wojskowych, nasypów pod działą dalekiego zasięgu...”

Problemem na pograniczu były także liczne incydenty, kiedy to wojska NKWD ostrzeliwały posterunki i patrole niemieckie. W 1940 r. III Rzesza i Związek Sowiecki podpisały nawet stosowne porozumienie w sprawie wyjaśniania tego typu zająć – mimo to przypadków naruszenia granicy było coraz więcej. Jak to ujmuje Marcin Przegiętka, „granica niemiecko-sowiecka nie była »granica przyjaźni«. Zresztą od samego początku: jeszcze pod koniec września i na początku października 1939 r., przed wycofaniem się obu armii za linię demarkacyjną ustaloną 28 września, obie strony grabiły okupowane ziemie polskie, wywożąc, co się tylko da.

Granica sowiecko-niemiecka przestała istnieć 22 czerwca 1941 r., po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki. Miejsce dwóch okupacji zajęła jedna – niemiecka. A wojna trwała nadal.

© ANNA PYŻEWSKA



Koperta po liście Henryka Prejznera do brata Antoniego. Między okupującymi Polskę Niemcami i Sowietami funkcjonowała oficjalnie poczta. Za jej pośrednictwem zeszłący kontaktowali się z rodzinami. Listy, choć cenzurowane przez obu okupantów, były zazwyczaj jedynym źródłem informacji o losach bliskich. Wymianę korespondencji przerwał wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r.

PSEUDONIM „WAŻNY”

65 lat temu emigracyjny polski premier okazał się agentem komunistycznego wywiadu.

KRZYSZTOF TARKA



BYŁ 8 WRZEŚNIA 1955 ROKU, GDY HUGO Hanke, premier rządu RP na uchodźstwie i prezes jednego z odłamów chadeckiego Stronnictwa Pracy, nieoczekiwanie przyjechał do Polski rządzonej przez Bolesława Bierutę. Za ledwie miesiąc wcześniej prezydent August Zaleski powołał w Londynie rząd, na czele którego stanął właśnie 51-letni Hanke.

Powrót premiera nie był desperackim odruchem chwili. Dziś wiemy, że Hanke już od ponad trzech lat współpracował z komunistycznym wywiadem. Premier-agent, demonstracyjnie zrywając z polską emigracją, krok po kroku wykonywał polecenia swych mocodawców w Warszawie.

Sensacyjną wiadomość o powrocie do kraju premiera „rządu londyńskiego” podało 10 września Polskie Radio w porannym serwisie informacyjnym. Komunistyczna propaganda nadała temu wydarzeniu duży rozgłos. Jeszcze tego samego dnia Hanke wystąpił na konferencji prasowej dla dziennikarzy krajowych i zagranicznych. Swoją niespodziewany powrót tłumaczył rozczarowaniem i wątpliwością w sens trwania na emigracji. Zachęcał też emigrantów, by poszli za jego przy-

kładem. W ten sposób reklamował rozpoczynającą się właśnie akcję reemigracyjną.

O jego kolejnych krokach w ojczyźnie informowały radio i prasa, na czele z „Trybuną Ludu” – głównym organem rządzącej partii. 12 września Hankego przyjął komunistyczny wicepremier Zenon Nowak. Gratulując mu – jak mówił – trafnego wyboru, Nowak deklarował w imieniu władz PRL, że miejsce Polaków przebywających na emigracji jest w kraju, u boku swych rodzin, a nie na obczyźnie. Wiadomość o pojawieniu się w Polsce emigracyjnego premiera obiegła również prasę światową.

Z huty do polityki

Sprawca jednego z największych skandali w powojennych dziejach wychodźstwa urodził się w 1904 r. w Siemianowicach na Górnym Śląsku. Jego ojciec był górnikiem. Mając niespełna 16 lat, Hanke wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. Rok później wziął udział w trzecim powstaniu śląskim. Uczestniczył też w przygotowaniach do akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku.

Pracując potem jako robotnik w siemianowickiej hucie Laura, angażował się w działalność związkową i polityczną. Od 1930 r. pełnił funkcję sekretarza okręgowego Chrześcijańskiego Zjednoczenia Zawodowego w Katowicach. Na tym stanowisku pozostał aż do wybuchu II wojny światowej. Ponadto w 1936 r. został wiceprezesem Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Od 1926 r. należał też do Chrześcijańskiej Demokracji, należał do władz wojewódzkich i centralnych tej partii. Po utworzeniu w 1937 r. Stronnictwa Pracy został członkiem Rady Naczelnej i Zarządu Głównego. Był też sekretarzem generalnym Narodowego Związku Powstańców i Byłych Żołnierzy.

Nie ma jak na człowieka niespełna czterdziestoletniego.

Kariera w polskim Londynie

Po wybuchu wojny Hanke przedostał się do Francji. W czerwcu 1940 r. walczył w obronie zachodniego alianta. Dostał się do niewoli niemieckiej, skąd zbiegł. W końcu 1942 r. dotarł do Wielkiej Brytanii, gdzie nawiązał kontakt z działaczami Stronnictwa Pracy, którzy znaleźli się na emigracji. Objął funkcję wiceprezesa Ko-

mitetu Zagranicznego SP. Został też odkomenderowany z wojska do pracy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Na początku lat 50. rozpoczął się nowy okres emigracyjnej działalności Hugona Hankego. Ten mało dotychczas znany działacz chadecki wszedł do elity politycznej polskiego Londynu. Po kolejnym rozłamie w Stronnictwie został przewodniczącym „zamkowego” odłamu tej partii („zamek” to potoczna nazwa obozu przydenckiego na emigracji, od przedwojennej siedziby głowy państwa na Zamku Królewskim w Warszawie).

Opowiedzenie się po stronie prezydenta Augusta Zaleskiego przyspieszyło polityczną karierę Hankego na emigracji. W 1951 r. wszedł w skład powołanej przez prezydenta IV Rady Narodowej RP. W latach 1952-54 jako minister bez teki był członkiem rządu Romana Odzierżyńskiego, a następnie Jerzego Hryniewskiego. W pracach rządu nie wyróżnił się niczym szczególnym: po prostu reprezentował własne stronnictwo.

Chcę współpracować

Współpracę z peerelowskim wywiadem podjął już jako członek emigracyjnych władz: w lipcu 1952 r. Hanke z własnej woli zgłosił się do attachatu wojskowego PRL w Londynie.

Przyjął go osobiście *attaché* major Leon Herzog. Hanke oświadczył mu, że jest chadekiem, członkiem rządu RP na uchodźstwie i przeciwnikiem reżimu komunistycznego. Mimo takiej deklaracji zaproponował Herzogowi, że będzie przekazywać ściśle tajne materiały dotyczące zorganizowania w Polsce antykomunistycznej dywersji, szlaków przerzutowych do kraju czy planów odtworzenia wojska na emigracji.

Podkreślał swój patriotyzm i bezinteresowność współpracy, jednak już podczas drugiego spotkania chętnie przyjął 20 funtów – pod pretekstem zakupu aparatu fotograficznego, którym miał robić zdjęcia rządowych dokumentów. Gdy dodał, że podczas wojny pracował w wywiadzie, Herzog nabrał przekonania, że jego rozmówca to „fachowy dwójkarz” (pracownik przedwojennego wywiadowczego Oddziału II Sztabu Generalnego). Nawet z wyglądu zewnętrznego przypominał mu przedwojennego oficera wywiadu.

Jeszcze w końcu 1952 r. informatora przejął wywiad cywilny PRL.



TOPFOTO / FORUM

Londyn, Victoria Station, 30 listopada 1948 r.

Nikła wartość operacyjna

→ Wrogie wobec pojałtańskiej Polski nastroje wśród emigrantów w Wielkiej Brytanii, która była politycznym centrum wychodźstwa, skutecznie utrudniały werbowanie agentury w tym środowisku. Jako minister Hanke stanowił dla komunistycznych tajnych służb potencjalnie bardzo cenne źródło informacji o życiu politycznym na emigracji. Do połowy lat 50. był zresztą jedynym tak wysoko uplasowanym agentem w strukturach polskiego Londynu. Nieprzypadkowo otrzymał pseudonim „Ważny”.

W rozmowach z oficerem wywiadu Hanke kilkakrotnie wspominał o rozmaitych „sensacyjnych” informacjach. Miał przekazać szyfr do kraju wraz z kluczem. Innym razem był na tropie radiostacji w Belgii, która miała służyć emigrantom do utrzymywania łączności z krajem, a to znowu poznał jakiegoś porucznika z biura gen. Władysława Andersa, który miał mu przekazywać różne tajne informacje.

Nic z tych zapowiedzi jednak nie wyszło. „Ważny” nie wywiązał się też z obietnicy i nie dostarczył żadnych informacji o działalności wywiadowczej na kraj czy o szlakach przerzutowych przez granicę. Przyciśnięty przez oficera prowadzącego stwierdził, że stracił dostęp do tego rodzaju dokumentów.

W centrali wywiadu w Warszawie sądzono, że to efekt gry z jego strony, świadectwo nieszczerości i przebiegłości. Pisemne raporty agenta miały być wręcz „specjalnie preparowane” (nie wykluczano nawet, że Hanke może być prowokatorem). Zwłaszcza początkowo cechowała je ogólnikowość. W rezultacie miały one nikłą wartość operacyjną. Hanke nie tylko pomijał szczegóły, ale nie posiadał też elementarnego wywiadowczego nawyku podawania źródła informacji, okoliczności jej uzyskania, czasu.

Oficer wywiadu, który prowadził sprawę w centrali Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, był zdumiony – nie dopuszczał myśli, że agent, który był ministrem w rządzie na emigracji, mógłby mieć problem z napisaniem sprawozdania odtwarzającego jakąś rozmowę.

Hanke przekazywał też różne wydawnictwa emigracyjne, biuletyny i druki wewnętrzne. Były one ciekawe i przydatne w pracy wywiadu PRL, ale jedynie jako materiał informacyjny.



Hugo Hanke odczytuje w Polskim Radiu oświadczenie o swoim powrocie do kraju, wrzesień 1955 r.

Premier bez właściwości

Od początku 1953 r. za dostarczane informacje i materiały Hanke otrzymywał stałe wynagrodzenie w wysokości 50 funtów miesięcznie – była to suma niemała, znacząco przewyższająca ówczesne zarobki zwykłych polskich emigrantów.

Jako prezes „zamkowego” Stronnictwa Pracy Hanke nie istniał politycznie bez protekcji Augusta Zaleskiego. Procentowało tu poparcie, którego w trudnym momencie udzielił on prezydentowi. Tej okoliczności należy przypisać fakt, że nazwisko Hankego – drugorzędne w gruncie rzeczy polityka – powtarzało się niemal automatycznie przy obsadzaniu różnych stanowisk państwowych przez Zaleskiego.

W lipcu 1955 r., po dymisji rządu kierowanego przez znanego publicystę Stanisława Mackiewicza (ps. Cat), prezydent powierzył Hankemu misję sformowania nowego rządu. „Ważny” przyjął propozycję.

Porucznik Andrzej Kłos – funkcjonariusz wywiadu PRL prowadzący Hankego, oficjalnie występujący jako kierownik oddziału Polskiej Agencji Prasowej w Londynie (pod przybranym nazwiskiem Jerzy Klinger), a w korespondencji z centralą posługujący się pseudonimem „Oskar” – już wcześniej przekazał mu polecenie centrali, aby wszedł w skład przyszłego rządu. Ostatecznie nowy rząd z Hankem na czele został zaprzysiężony przez prezydenta 8 sierpnia 1955 r.

Jednak choć Hanke zajmował eksponowane stanowiska, nie odgrywał w istocie ważnej roli w życiu politycznym wychodźstwa. Pod względem intelektualnym ustępował wielu emigracyjnym działaczom, co obniżało również jego wartość jako agenta.

Po trzech latach współpracy major Andrzej Karaś – funkcjonariusz z warszawskiej centrali – stwierdził, że agent „w zasadzie podaje fakty, nie potrafi jednak wnikać poza kulisy zjawisk i wypadków, wyjaśnić nam dokładnie, co lub kto się kryje za poszczególnymi grupami, osobami lub posunięciami. »Ważny« posiada wprawdzie pewne wyrobienie organizacyjne, umiejętność lawirowania, ale brak mu zmysłu politycznego i umiejętności analizowania zjawisk, umiejętności przenikania do ukrytych sprężyn. Często nie potrafi odróżnić plotki od prawdy”.

Zdrada i głupota

W sierpniu 1955 r. w Komitecie ds. Bezpieczeństwa Publicznego (w latach 1954-56 Komitet zastąpił Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) zapadła decyzja o sprowadzeniu agenta do kraju. Już wcześniej „Ważny” wspominał w rozmowie z „Oskarem”, że chciałby wrócić do Polski. Władze PRL zamierzały wykorzystać powrót emigracyjnego premiera do pogłębienia kłótni i sporów wśród wychodźstwa.

To się udało: sprawa Hankego rzeczywiście wywołała burzę w polskim Londynie. Otoczenie prezydenta Zaleskiego próbowało bronić premiera, sugerując, że został on porwany lub był szantażowany losem rodziny (w Polsce pozostawała jego żona wraz z dziećmi). W komunikacie Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP z 10 września pisano nawet o „rzekomym przybyciu” Hankego do kraju. Jeszcze miesiąc po wybuchu afery rządowej „Głos Powszechny” twierdził, że „Hanke znalazł się w Warszawie wbrew swej woli”.

Występując w obronie nieszczęsnego premiera, politycy z otoczenia Zaleskiego bronili przede wszystkim własnej pozycji. Przyznanie, że Hanke dobrowolnie wyjechał do kraju, do reszty kompromitowałoby obóz prezydencki.

Oponenci Zaleskiego na emigracji zamierzali wykorzystać propagandowo powrót premiera do skompromitowania i zmuszenia prezydenta do ustąpienia z urzędu. Pierwsza na alarm uderzyła antyprezydencka Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego (alternatywny rząd na emigracji). Wyjazd Hankego do Polski określono jako „akt zdrady i głupoty”. Dowiedzono, że Hanke „nie był szefem polskiego kierownictwa politycznego na obczyźnie”, a jedynie mężem zaufania „p. Augusta Zaleskiego” i „nie reprezentuje ani woli, ani poglądów emigracji”. Wszelkie decyzje

Zaleskiego, powzięte po 9 czerwca 1954 r. (gdy skończyła się jego siedmioletnia kadencja prezydencka), politycy Zjednoczenia Narodowego uznawali za nieważne.

Londyńska atmosfera

Wymowa sprawy Hankego ujawniła fikcję i dramatyzm funkcjonowania państwa na wygnaniu – z rządem, który nie tylko nie miał już międzynarodowego uznania (utracił je jeszcze w 1945 r.), lecz którego legalność kwestionowała zdecydowana większość samych emigracyjnych elit politycznych.

Poczytny w polskim Londynie „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” na pierwszej stronie twierdził, że „operetkowy premier” w rzeczywistości był „wtyczką” Urzędu Bezpieczeństwa. W redakcyjnym komentarzu pisano: „Afera Hankego to pęknięcie wrzodu, który wzbierał od wielu miesięcy. Operacja bolesna, ale – miejmy nadzieję – zapowiadająca powrót do zdrowia. To, co po tym wrzodzie zostało, trzeba wyczyścić rozpalonym żelazem”. Niedwuznacznie sugerowano, że otoczenie Zaleskiego przeżarte jest przez komunistyczną agenturę. W ferworze

Władze PRL postanowiły wykorzystać powrót emigracyjnego premiera

do pogłębienia kłótni i sporów wśród wychodźstwa.

To się udało.

emigracyjnych kłótni nowy szef rządu Antoni Pająk nazwał „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” dziennikiem londyńskim drukowanym w języku polskim.

Polski Narodowy Komitet Demokratyczny ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele – konkurujący o przywództwo na emigracji z „zamkiem” i „zjednoczeniem” – sprawę Hankego wykorzystał do ataku na cały polski Londyn. Sympatyzujące z prezesem PSL pismo „Narodowiec” nie przebiegało w słowach w nagonce na londyńską „góre”: „Hanke jest charakterystycznym wytworem zatrutej londyńskiej »grajdołkowatej« atmos-

fery, demoralizującej tkwiących w [niej] uchodźców”. Dalej londyński korespondent „Narodowca” pisał: „Moralnie za Hankego odpowiadają nie tyle Zaleski, ile cały londyński grajdołek”.

Wzajemne obelgi nie przyniosły jednak zasadniczych zmian na emigracyjnej scenie politycznej.

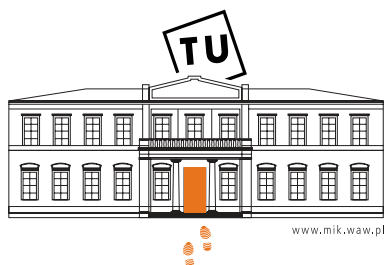
Wykorzystany przez komunistyczną propagandę do zdyskredytowania emigracji, nieszczyśny ekspremier został odsunięty na boczny tor. Władze PRL miały go wiceprezesem Towarzystwa Łączności z Wychodźstwem „Polonia”.

Zmarł w wieku zaledwie 60 lat.

© KRZYSZTOF TARKA

Autor jest historykiem, profesorem, pracuje w Uniwersytecie Opolskim. Specjalizuje się w temacie polskiej emigracji po II wojnie światowej i stosunków polsko-litewskich. Autor wielu książek, m.in. „Litwini w Polsce 1944–1997”, „»Generał Wilk« Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK”, „Emigracyjna dyplomacja: polityka zagraniczna rządu RP na uchodźstwie 1945–1990”.

REKLAMA



Y E S T E Ś M Y



NAUKA

MEGAKONSTELACJA

O niecodziennym zjawisku przypomniła mi aplikacja.
Sznur białych światełek ciągnący się po niebie.
To nie inwazja Obcych.
To start kolejnej misji satelitów Starlink.

DARIUSZ AKSAMIT

FIRMA SPACE X ZACZĘŁA TORPEDOWANIE nieba w maju zeszłego roku, do dziś wysyłając ponad 600 satelitów. W każdej misji wystrzeliwanych jest ich po kilkadziesiąt. Kolejne, w ramach trzynastej misji, wystartują w połowie września. Za siedem lat megakonstelacja złożona z 12 tys. satelitów będzie regularnie okrążała Ziemię po niskich orbitach. Wszystko po to, aby zapewnić dostęp do internetu – dosłownie – każdemu

i wszędzie. Warunkiem będzie posiadanie urządzenia nadawczo-odbiorczego wielkości pudełka od pizzy i wykupienie abonamentu w wysokości około stu dolarów miesięcznie. To jedno z tych przedsięwzięć, które odmieni niebo nad nami. A dla wielu również życie na Ziemi.

Sam pomysł „internetu z przestworzy” nie jest nowy, bo choćby w USA od lat działa HughesNet, a w Polsce mo-

żemy za sto złotych miesięcznie korzystać z przesyłu o prędkości 50 Mbps poprzez usługi Bigblu, Skyconnect i wielu innych. Czym zatem wyróżnia się projekt Starlink, że zrobiło się o nim tak głośno? Do tej pory takie rozwiązania korzystały z małej liczby satelitów znajdujących się na orbicie geostacjonarnej, ok. 36 tys. km nad powierzchnią planety. To spora odległość. SpaceX planuje zająć niską orbitę okołozemską.

*Ślady świetlne satelitów Starlink,
Brazylia, grudzień 2019 r.*

będą też lepsze transfery, umożliwiające więcej niż sprawdzanie pocztę. Po stronie plusów mamy więc zasięg na całą planetę i szybkość działania. Najwięcej zyskają osoby na peryferiach infrastruktury (głęboka wieś, statki na morzu, ekspedycje w górach czy dżungli) oraz obywatele, którym rząd chce odebrać dostęp do informacji (jak dzieje się to w Chinach, podczas protestów w Hongkongu czy na Białorusi). A kto straci?

Ruchome niebo

Pierwsze obiekty podniosły organizacje astronomów, alarmując, że ze względu na krążące po niebie jasne punkciki naziemne obserwacje staną się trudniejsze. To nie błaha sprawa. Nawet jeśli kogoś nie interesuje odkrywanie tajemnic Wszechświata, powinien pamiętać, że astronomia to również obserwacje obiektów mogących uderzyć w Ziemię. Oczywiście da się obejść ten problem, wysyłając teleskopy w przestrzeń kosmiczną, ale winduje to koszty, które ponosimy jako podatnicy.

SpaceX zobowiązał się do przyjrzenia się problemowi, który od strony inżynierskiej nie jest trywialny. Nie można po prostu pokryć satelitów czarną farbą, żeby nie odbijały światła, bo wówczas by się nagrzewały, a wbrew pozorom w przestrzeni kosmicznej trudno o chłodzenie. Stąd kombinacje ze zmianami kąta lotu satelity lub dodatkowymi przysłonami pomiędzy satelitami a Ziemią – „wachlarzami”, które pochłoną promieniowanie odbite od satelity. W czerwcu w ramach ósmej misji wysłano testowego satelitę z dodatkową, rozkładaną osłoną, a od misji dziewiątej już wszystkie satelity są w nią wyposażone. W tych wystrzelonych wcześniej programowo zmieniono kąt ich orientacji względem Słońca i Ziemi, co częściowo rozwiązuje problem, ale może się przekładać na zmniejszenie wydajności paneli słonecznych.

Obecne rozwiązania nie są doskonałe, jednak sytuacja się poprawiła. Niemniej nie musimy obawiać się tego, że nad naszymi głowami pojawi się na stałe osobne „ruchome niebo”, ponieważ satelity z Ziemi gołym okiem widoczne są tylko wtedy, gdy znajdują się na tzw. orbicie parkingowej, na wysokości 380 km. Stamtąd zaś przemieszczają się na or-

bity docelowe, około 550 km nad Ziemią. Jedne odlecają dalej, kolejne będą wystrzelwane – liczba ruchomych punktów pozostanie stała, około 300 sztuk.

Przynajmniej tak długo, jak mówimy o satelitach Starlink. Ale na nich historia się nie kończy. Projekt firmy SpaceX przykuwa najwięcej uwagi ze względu na jego rozmach i PR, ale inne korporacje nie pozostają w tyle. Amazon w ramach Projektu Kuiper (nawiązującego nazwą do Pasa Kuipera, czyli obszaru za Neptunem usianego dziesiątkami tysięcy małych ciał niebieskich) planuje wystrzelenie kolejnych trzech tysięcy satelitów, choć nie dostał jeszcze na to zgody od amerykańskiej Federalnej Komisji Łączności (FCC). Jednak osiem innych firm oprócz SpaceX – owszem. Łącznie w ciągu dekady pojawi się dodatkowo około 15 tys. nowych satelitów. Dla porównania: obecnie na orbicie mamy ich ok. 2 tys., a od startu Sputnika w 1957 r. w sumie wystrzelono ok. 8 tys. satelitów (większość została już zdeorbitowana).

Szkodliwe światło

Zagadnienie ochrony nieba przed rozbłyskami satelitów wpisuje się w szerszy temat tzw. zanieczyszczenia światłem (ang. *light pollution*). Ze względu na ilość sztucznego światła, które wytwarzamy – głównie w miastach – noce nie są już tak ciemne jak kiedyś, a na niebie trudno dostrzec gwiazdy i inne obiekty astronomiczne. Zarówno dla ludzi, jak i innych zwierząt, które od miliardów lat ewoluowały w rytmach dnia i nocy, jest to nowy bodziec, który negatywnie wpływa na ich funkcjonowanie. Na łamach „Tygodnika” pisał o tym m.in. Adam Robiński („TP” 18-19/2017). W ostatnich latach w Polsce tematem zajęli się zaś aktywiści (m.in. dr Paweł Drożdżał z UAM w Poznaniu), którzy wysłali do kilku ministerstw wiele wniosków i petycji dotyczących zmian przepisów, tak by lepiej chroniły one wybrane fragmenty nieba. Pełną dokumentację tej bogatej i mocno specjalistycznej korespondencji zgromadził portal CiemneNiebo.pl. Jak dotąd akcja nie przyniosła spektakularnego efektu, dlatego miłośnicy ciemnego nieba muszą dalej działać oddolnie.

Na przykład, z braku przepisów pozwalających na tworzenie parków ciemnego nieba, czyli miejsc, gdzie zwraca się szczególną uwagę na mądre planowanie instalacji oświetleniowej, aby bez sensu nie →



EGON FILTER / NASA

Dzięki temu zmniejszy się dystans – z dziesiątek tysięcy do setek kilometrów – więc i czas potrzebny na propagację sygnału do satelity i z powrotem. A to zmniejszy opóźnienie w transmisji danych: nawet kilkunastokrotnie, z obecnych 700–900 milisekund, co fatalnie wpływa np. na telekonferencje. Ot, fizyka związana z prędkością światła w próżni, problem nie do przeskoczenia inaczej niż przez zmniejszenie odległości. Nowością

→ świecić latarniami w niebo – zakładane są one jako lokalne inicjatywy na podstawie umów z samorządami. Tak powstały Park Gwiazdowego Nieba Bieszczady (2013), drugi największy chroniony obszar w Europie, a wcześniej Izerski Park Ciemnego Nieba (2009). Co ciekawe, są to pierwsze na świecie parki transgraniczne. Jak wynika z mapy zanieczyszczenia światłem (patrz ramka), dobrą lokalizacją na takie parki byłyby też Mazury i Kaszuby.

Poza tymi miejscami nie jest u nas łatwo nawet o klasę trzecią w opisującej to zjawisko dziewięciostopniowej skali Bortle'a, czyli o „niebo wiejskie”, na którym „pewne ślady zanieczyszczenia światłem widoczne są przy horyzoncie”. W tych warunkach widać złożoną strukturę Centrum Drogi Mlecznej, a gołym okiem zaadaptowanym do ciemności łatwo dostrzeżemy Galaktykę Trójkątą. To ona, razem z Galaktyką Andromedy, tworzą dwa znaki rozpoznawcze omawianej skali. Niestety, nawet w miejscach, które wydają się odludne, ze względu na zasięg zanieczyszczenia sięgający dziesiątków kilometrów od dużego miasta, i tam mamy raptem klasę czwartą, czyli „niebo

wiejskie przechodzące w podmiejskie”. Tam Galaktyka Trójkąta będzie dostrzegalna z dużym trudem, a Centrum Drogi Mlecznej będzie pozbawione szczegółów, ale Galaktyka Andromedy wciąż będzie „oczywista”. Aby i Galaktyka Trójkąta stała się „oczywista”, a Centrum Drogi Mlecznej rzucało widoczny cień, potrzebujemy klasy pierwszej – najbliżej znajdziemy ją na statku na środku Bałtyku lub miejscami na białorusko-ukraińskim pograniczu.

Zdziwiłem się, będąc w Pasterce w Górach Stołowych, że tam, na końcu świata, jest klasa czwarta. Niemniej widok nieba zapiera dech w piersiach. Możliwe jest dostrzeżenie nad zachodnim horyzontem światła zodiakalnego, czyli poświaty pojawiającej się wzdłuż ekliptyki (drogi, którą Słońce pozornie pokonuje na nieboskłonie), pochodzącej od światła słonecznego odbijanego przez drobiny kosmicznego pyłu. Ale żeby dostrzec gołym okiem wysoko na niebie przeciwbłask, czyli światło zodiakalne pojawiające się po stronie przeciwnej niż Słońce, przyjdzie mi wybrać się w dalszą podróż.

Zacznę na pewno od Bieszczad.

Dlaczego warto?

Ułatwienie (przez nieutrudnianie) pracy astronomom, oszczędność prądu, ochrona ekosystemów, z nami włącznie, przed zaburzeniami rytmów dnia i nocy – to część powodów, dla których warto chronić nocne niebo. Kolejny – astro-turystyka – ma dwa wymiary: lokalna społeczność zarabia, goszcząc miłośników astronomii w obiektach przyjaznych temu hobby.

Ale nie do przecenienia jest także wychowawcza wartość pokazywania dzieciom nocnego nieba. Czy jest coś, co może bardziej nauczyć zachwytu nad światem i jednocześnie pokory wobec niego? Astronomia to piękna „nocna przygoda” (jak to w jednej z naszych wakacyjnych rozmów ujął mój czteroletni syn), ucząca cierpliwości, planowania, obsługi sprzętu, będąca świetnym pretekstem do rozmowy o nauce: optyce, astrofizyce, historii lotów kosmicznych, do opowiadania, skąd wziął się świat, gwiazdy, planety, wreszcie my na Ziemi – ta drobina węgla na bryłce kosmicznego pyłu.

© DARIUSZ AKSAMIT

Zacznij przygodę z astronomią

NA POCZĄTKU dobrze zacząć się orientować na niebie, czyli rozpoznawać podstawowe gwiazdozbiory. Oprócz tradycyjnych papierowych map nieba pomocne będą darmowe aplikacje na smartfon: klasyczna **Sky Map** czy nowsza **Star Walk 2**. Po skierowaniu aparatu na niebo automatycznie wyświetlą się na ekranie podpisy gwiazd, planet i gwiazdozbiorów. Bardzo szybko za Wielką Niedźwiedzią prowadzącą do Gwiazdy Polarnej i Małej Niedźwiedzi zaczniemy dostrzegać „kopnięte W”, czyli gwiazdozbiór Kasjopei, w jednej z kilku najjaśniejszych gwiazd dostrzeżemy Węgę w gwiazdozbiórze Łutni, tuż obok której łabędź z De-neb w ognio przelatuje latem przez najjaśniejszą część Centrum Drogi Mlecznej. Te proste



Mapa zanieczyszczenia światłem.
Niebo najpiękniej wygląda w Bieszczadach.

sukcesy dadzą nam energię do dalszych poszukiwań! Równocześnie warto polować na okresowe wydarzenia, jak deszcz meteorów czy przelot satelitów. W tym bardzo poma-

ga aplikacja **Heavens-Above** – oprócz aktualnej mapy nieba otrzymamy katalog widocznych obiektów, z podanym co do sekundy czasem pojawienia się i zniknięcia oraz ich jasno-

ścią. **ISS Live Now** pozwoli zobaczyć, gdzie aktualnie znajduje się Międzynarodowa Stacja Kosmiczna i skąd jest widoczna. Jeśli chcemy jej orbitę zobaczyć na płaskiej mapie, polecam **Satellite**, a dla trójwymiarowej orbity naniesionej na model Ziemi: **Satellite Tracker**.

Kolejny krok to statyw do telefonu lub aparatu – ustawienie w aparacie czasu naświetlania rzędu kilku sekund przy dużej czułości matrycy, czy po prostu włączenie trybu nocnego w smartfonie, da inspirujące obrazy. Przy ustawieniu dłuższych czasów coraz bardziej widoczny będzie obrót nocnego nieba – punktowe gwiazdy zamienią się w łuki, fragmenty okręgów o środku umiejscowionym w Gwieździe Polarnej. Statyw pomoże również obserwować Księżyc przez lornetkę. Co dalej? To jasne: czas rozetrzeć się za teleskopem! © DA



JOUNI POLKKO / BADEWANNE OY / MAT. PRASOWE

Wrak holenderskiej fluity oparł się procesom gnilnym. Największe uszkodzenia spowodowały na nim sieci rybackie.

Jak się dobrze zachować

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Pod wodami Bałtyku odkryto właśnie czterystuletni drewniany statek w idealnym stanie – pamiątkę po pierwszej epoce globalizacji.

DNO ZATOKI FIŃSKIEJ JEST USŁANE wrakami. Akwen przez stulecia był jednym z głównych europejskich szlaków handlowych, a obie wojny światowe przyczyniły się do posłania na dno tysięcy ton radzieckiej, niemieckiej i fińskiej stali. Podczas II wojny marynarze ochrzczili zatokę mianem „wanny”. „Badewanne”.

I to nurkowie z Badewanne Diving Team, ochotniczego zespołu poszukiwaczy wraków, dokonali najnowszego odkrycia. Skany dna u wylotu zatoki wykazały anomalie, której charakteru nie dało się na ich podstawie ustalić. Zanurkowali,

sądząc, że znajdą niemiecki trałowiec z I wojny światowej bądź fiński szkuner zatopiony w 1944 r. przez u-boota. 85 metrów pod powierzchnią zastali jednak coś innego.

Wąski, długi drewniany pokład i gruszkowaty kadłub nie pozostawiały wątpliwości. To fluita. Te stworzone przez holenderskich szkutników frachtowce zdominowały na stulecia handel – najpierw na Bałtyku, potem na całym świecie. Ich duża ładowność, szybkość i – jak nazwalibyśmy to dziś – wysoki poziom automatyzacji pozwalający zatrudniać o wiele mniejszą od wcześniejszych modeli załogę, stały za kupieckimi fortunami Amsterdamu, Rotterdamu, a później także Londynu czy Hamburga. Handel z nawet najodleglejszymi koloniami stał się dzięki nim niezwykle dochodowy. I nie tylko handel: w XVII w. to właśnie fluita, wynajmowane przez angielskich kupców od holenderskich armatorów, przewoziły większość kolonistów, którzy osiedlali się w Ameryce.

– Ten konkretny wrak ma pewne wyjątkowe rozwiązania, choćby konstrukcję rufy – wyjaśnia Niklas Eriksson, archeolog morski z Uniwersytetu Sztokholmskiego. – Może być przykładem wczesnego etapu ewolucji tego typu statku. Jest niezwykle cenny, bo daje szansę na zbadanie historii jednostek, które żeglowały po całym świecie i położyły fundamenty pod początki nowoczesnej globalizacji.

Bezimienna fluita z dna Zatoki Fińskiej jest zachowana niemal idealnie, mimo upływu 400 lat. Jedyne uszkodzenia to te wyrządzone przez rybackie sieci – ciągnięte przez kutry, zerwały część masztu i rzeźbione figury holenderskich kupców zdobiące rufę jednostki. Statek zawdzięcza swój stan niezwykłym warunkom panującym w Bałtyku. Zwykle drewniane wraki znikają już po kilkudziesięciu latach: padają ofiarą procesów gnilnych i świdaków – trawiących celulozę małży, które niczym korniki wyjadają w drewnie długie nory. Ale Bałtyk, ciemny i zimny, niemal zupełnie hamuje procesy rozkładu drewna. A jego względnie słodka woda (pamiątka po geologicznie niedawnych czasach, gdy był dorzeczem ogromnej rzeki) zupełnie nie odpowiada świdakom. Dno Bałtyku jest jak nieskatalogowany magazyn muzeum archeologii morskiej.

– Ładownia naszej fluita wydaje się być zapełniona niemal po poziom pokładu – opowiada „Tygodnikowi” Juha Flinkman z Badewanne Diving Team. – Niestety zawartość górnej ładowni jest pokryta osadami, więc nie udało się nam ustalić, co było ładunkiem. Ale ponieważ wrak leży na glinianym dnie, prawdopodobnie jego wnętrze nie jest wypełnione mulem.

Znalezisko, którego dokładna lokalizacja nie została ujawniona, znajduje się głęboko poniżej możliwości przeciętnych nurków. Ale nie nazbyt głęboko dla zawodowych archeologów podwodnych. To ogromna szansa dla badaczy. Jedyna odnaleziona dotąd w porównywalnie dobrym stanie fluita, zwana od rzeźby zdobiącej jej rufę „Łabędziem”, znajduje się 125 m pod powierzchnią Bałtyku. Odwiedzają ją wyłącznie roboty. A możliwość samodzielnej eksploracji statku, którego od 400 lat nie widziały ludzkie oczy, to dla badacza coś więcej niż czysto intelektualna satysfakcja.

– Jest wspaniała. Wiedziałem, jak wyglądały fluita, ale czym innym jest znalezienie się na jej pokładzie – opowiada „Tygodnikowi” Flinkman. – Widoczność była doskonała. Tuż przed zanurzeniem skarżyłem się kolegom, że mam dosyć nurkowania w zerowej widoczności na głębokie wraki opłatane w stare sieci. Kiedy wynurzył się pierwszy zespół, jeden z chłopaków powiedział mi: stary, ten wrak musisz zobaczyć. Miał rację! ©

WOJCIECH

Bonowicz:

List do zniechęconych



NIE JEST PRAWDĄ, ŻE NIE MOŻEMY NIC ZROBIĆ. Przeciwnie. Świat dziś jest tak zbudowany, że każdy może pomóc zarówno bezdomnym w Polsce, jak uchodźcom w Grecji, głodującym w Sudanie czy protestującym w Białorusi. I to od razu.

Nie jest prawdą, że zmiana jest niemożliwa. Świat zmienia się nieustannie, z każdym naszym wyborem, świadomym i nieświadomym. Im częściej wiemy, co wybieramy, tym większy jest nasz wpływ na dokonujące się zmiany. Nasze decyzje mają konsekwencje. Możemy dać się nieść napływającym zewsząd informacjom, przebierać wśród nich, kierując się jedynie przyjemnością, ciekawością, instynktem. Możemy też spróbować spojrzeć na te przyipyły z dystansu, oddzielić to, co istotne, od nieistotnego, i zdecydować, która ze spraw stanie się naszą sprawą.

Nie jest prawdą, że te nasze wybory są bez znaczenia, bo wielkie procesy toczą się ponad nami i nasza wola nie ma tu nic do gadania. Owszem, wpływ nasz jest ograniczony, niemal niezauważalny – ale realny. Im więcej osób nie przechodzi na ukos przez trawnik, tym większa szansa, że trawa nie zostanie zadeptana. Im więcej z nas wyszukuje w sieci treści niegłupie, tym większe prawdopodobieństwo, że tych treści będzie przybywać. Im więcej głosujących za tym, co rozsądne, a nie jedynie kuszące, tym większa nadzieja, że nie zamienimy naszego świata w piekło.

Nie jest prawdą, że ten świat już się nim stał. Owszem, jest na świecie wiele miejsc strasznych i wielu ludzi do-

świadcza czegoś, co można by nazwać piekłem. Przemoc, prześladowania, głód, rozpacz, ubóstwo, odrzucenie – różne są imiona ziemskich piekieł. Nie ma innego sposobu na uratowanie tych, którzy się w nich znaleźli, jak tylko zaangażowanie się po ich stronie. Gdyby każdy z nas spróbował odpowiedzieć na choćby jeden głód, jedną rozpacz, rzucić wyzwanie jednemu ubóstwu czy jednemu prześladowaniu, piekło byłoby mniejsze. Świat uzdrawiają wielkie programy i małe gesty. Wszystko, co nie jest obojętnością, jest zaangażowaniem. Każde wyjście poza siebie, poza własny interes, to szansa na sprowadzenie nieba między ludzi.

Niebo to nie utopie, takie czy inne. Niebo jest zawsze osobiste, możliwe tylko między konkretnymi ludźmi. Nie jest prawdą, że człowiek spełnia się w egoizmie i egocentryzmie. Trzeba dbać o swoje „ja”, ale trzeba też dbać o swoje „my”. Istnieją różne „my”, niektóre mają za sobą całe ideologie, programy, także siłę. Nie o takie „my” tutaj chodzi. Chodzi o „my” odkryte intymnie, przyjęte głęboko za własne, o „my”, za które rzeczywiście chce się wziąć odpowiedzialność. Nie należy oddawać życia za abstrakcję.

Wybaczenie – po raz pierwszy włączam do felietonu własny wiersz. Jest jasne, o kim i o czym mówi. Jest wyrazem podziwu; tylko to usprawiedliwia go w tym miejscu.

Kroki

*Oni się nie cofają nie chowają nie opuszczają głów
nie robią kroku w tył chyba po to żeby zrobić dwa kroki
w przód.*

*Tamci ich tłuką rozpraszają łapią i znowu tłuką
ich plecy robią się sine ich pośladki podbiegają krwią.
One jednak nie cofają się maszerują śpiewają
otoczone wybuchają śmiechem i same zaczynają otaczać.
Mówisz że nie masz siły? To popatrz na nie: są coraz bliżej i już
więcej nie robią kroku w tył chyba żeby zrobić dwa kroki
w przód.*

©

TYGODNIK
POWSZECHNYPodkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykliów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamzy

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!



Więcej na powszech.net/podkast



SALESmanago
marketing automation

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MAGAZYN
CONRAD 02

„TP” 38/2020



widzialne
i niewidzialne

**19–25.10
2020**

międzynarodowy festiwal literacki
www.conradfestival.com
znajdź nas: #conradfestival

BIANCA BELLOVÁ

ADELINE DIEUDONNÉ

ROY JACOBSEN

EMILIE PINE

ELIF SHAFAK

MARIA STIEPANOWA

Festiwal Conrada, 19 – 25 października 2020



GRZEGORZ JANKOWICZ

Przez niemal 20 lat Moyra Peralta, angielska fotograficzka, robiła zdjęcia bezdomnym, których spotykała na ulicach Londynu. Zaczęła pod koniec lat 70. zeszłego wieku, pracując jako wolontariuszka w schroniskach. W 2001 r. ukazał się album prezentujący te fotografie pt. „Niemał niewidoczni”.

W książce znalazł się krótki tekst Johna Bergera, w którym pisarz i krytyk sztuki stwierdza, że aby poznać jakąś osobę, musimy dać się jej poznać. Trudne zadanie. Jeden fałszywy krok i wpadamy w błędne koło, z którego być może nigdy nie uda się wydostać. A o błąd nie jest trudno. Nasze relacje z innymi determinowane są przez tak wiele czynników społecznych, ma na nie wpływ tak wiele uprzedzeń, że bardzo często jedynie udajemy uczestnictwo i zaangażowanie, jedynie markujemy poznanie, pozostając przez cały czas w obrębie własnych światów. Niby się widzimy, a jednak pozostajemy dla siebie niewidzialni.

Ludzie, których fotografowała Peralta, są notorycznie omijani przez innych mieszkańców miast. Są omijani przez nas. Udajemy, że ich nie ma, odwracając głowę, przymykając oczy, przyspieszając kroku. Dlaczego ich ignorujemy? Przywołując jedną ze swych opowieści, w której bezdomny rozmawia z psem, Berger sugeruje, że osoby ze zdjęć Peralty przypominają nam o błędach i cenie cywilizacyjnego procesu. O błędach, które popełniły wcześniejsze pokolenia, i o tych, które my popełniamy każdego dnia.

Co może skłonić nas do otwarcia oczu i pomóc w nawiązaniu kontaktu? Co umożliwiwa rzeczywiste poznanie? Według Bergera – sztuka, w tym literatura. Upominają się one o tych, którzy wypadli z ram wyznaczających granice widzialności. Literatura pośredniczy między nami a światem, podpowiadając nieustannie i na różne sposoby, jak poznać innych i dać się innym poznać.

Każda z prezentowanych w tym numerze „Magazynu Conrad” opowieści ukazuje inny rodzaj niewidzialności. Próbuje zdiagnozować jego przyczyny, opisuje jego zgubne konsekwencje, a przede wszystkim próbuje przeciągnąć nas na stronę nieobojętnych. Redagując te teksty, powtarzałem sobie jak mantrę, że 12. edycja Festiwalu Conrada jest przede wszystkim dla nieobojętnych, którzy gotowi są walczyć z narzuconą niewidzialnością.

Zapraszamy od 19 do 25 października. Tym razem do internetu, gdzie będą Państwo mogli wziąć udział w spotkaniach z naszymi gośćmi, które wyemitujemy na Facebooku Festiwalu Conrada, Facebooku „Tygodnika Powszechnego”, kanale YouTube Krakowskiego Biura Festiwalowego, a także na Platformie Play Kraków. Wydarzenia towarzyszące Festiwalowi Conrada, jeśli sytuacja pandemiczna na to pozwoli, odbędą się stacjonarnie.

GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



73

AGNIESZKA AYŞEN KAIM
Powroty do przeszłości



77

JUSTYNA CZECHOWSKA
Życie na wyspie



81

EMILIE PINE
Mówić, by zmieniać



85

ANNA ŁAZAR
Przepisana przeszłość



88

ALEKSANDRA HUDYMA
Opowiadaczka



91

TOMASZ SWOBODA
Polowanie w rodzinie

REDAKCJA

Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Artur Strzelecki
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
KOREKTA
Katarzyna Domin
Grzegorz Bogdał
OKŁADKA
Fajne Chłopaki

Organizatorzy:



kbf:



www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Powroty do przeszłości

AGNIESZKA AYŞEN KAIM

**Elif to popularne w Turcji imię żeńskie.
Elif (arab. alif) to także pierwsza litera arabskiego alfabetu.
Według symboliki muzułmańskiej każda z 28 liter ma ukryte znaczenie,
od nich zaczynają się też kolejne sury Koranu.**

Elif jak początek

Elif Shafak należy do pokolenia pisarek i pisarzy, których osobowość literacką ukształtowały czasy po przewrocie wojskowym w Turcji w 1980 r. Dla tureckiej literatury i sztuki to szczególny okres, w którym doszły do głosu literackie indywidualności. Dominuje w nim nurt mieski na postmodernistyczną nutę, w przeciwieństwie do tematyki społeczno-politycznej poprzedniego okresu, bliższego naszemu socrealizmowi, na który wpływ miała skomplikowana sytuacja polityczna w Turcji (zamachy wojskowe, wojna domowa i walka o demokrację).

Shafak urodziła się w Strasburgu, do pewnego momentu wychowywała się za granicą. Jak wyznaje, wciąż musiała nadrabiać i uzupełniać wiedzę o swoim kraju, kulturze i jego żywym języku. Czy odrobiła pracę domową wystarczająco sumiennie?

Forma powieści, którą uprawia, zaczęła być popularna w literaturze tureckiej stosunkowo niedawno. W czasach osmańskich tradycyjnie wyższy status miała poezja klasyczna, pozostająca pod wpływem literatury perskiej. Shafak w swojej formalnie postmodernistycznej prozie nawiązuje do tej tradycji z zadziwiającą swobodą. „Dawną” tematykę i osmańskie słownictwo swobodnie wplata we współczesne historie.

Elif jak Adam i Ewa

Litera alif jest dla alfabetu niczym Adam, a z zaznaczonym na górze znakiem diakrytycznym (hamzą) oznacza Ewę.

Fakt, że Shafak czerpie ze schedy po klasykach literatury dywanowej, pozwala jej twórczość zestawiać z dziełami tureckiej poetki Mihri Hatun z przełomu XV i XVI w. Ta należąca do religijnego bractwa (tur. *tarikāt*) i wywodząca

się z religijnej rodziny osmańska poetessa nie mogła sobie pozwolić na opowiadanie o własnych doświadczeniach miłosnych. W jej czasach uchodziło to za nieprzyzwoite. Jednak tworzone przez nią wiersze nie ustępowały kunsztem powstającej ówczesnie męskiej poezji miłosnej.

Shafak pisze o sufizmie (w powieści „Sufi”, tur. „Pinhan”), choć sufickie traktaty tradycyjnie pisali mężczyźni. Wątki kobiece pojawiają się najpełniej w autobiograficznej powieści zatytułowanej „Czarne mleko”. Niektórzy twierdzą, że kobiecy jest jej styl – „chaotyczny”, „emocjonalny”, „feministyczny”. Osaczona tymi epitetami Shafak w 2017 r. robi *coming out*. Wyjawia, że jest biseksualna, co wywołuje poruszenie w tureckim społeczeństwie i jest szeroko komentowane przez media, które zaczynają określać jej pisarstwo jako głos biseksualny.

Mihri Hatun, nazywana „Miłosną Panią”, tworzyła w okresie „klasycznym”, osmańskim, ale używała jeszcze wcześniejszego języka, czyli starotureckiego, nieco archaicznego dla ówczesnego dworu. Podobnie Elif Shafak – używa licznych osmanizmów, jej powieści zawierają perskie i arabskie zapożyczenia. Osmańskim posługiwały się średnie i wyższe warstwy społeczeństwa tureckiego od XIII do XX w., ale od czasu reformy językowej Atatürka w 1928 r. w laickiej Republice Turcji zaczął być on traktowany jako symbol „zacofania”.

Każdy czas ma swoją ideologię. Do łask przywrócono osmański na fali „ottomanalgii”, jak historyk Ufuk Adak określił turecką nostalgię za osmańską wielkością, promowaną przez rządzącą Partię Sprawiedliwości i Rozwoju. Jej konserwatywny – muzułmański – rodowód i zara-

zem proeuropejskie zapatrywania zmieniły polityczną retorykę. W ten trend wpisuje się Shafak, która używa oryginalnej terminologii związanej z sufizmem i kulturą bractw religijnych.

Jednak „osmańszczyzna” to tylko jedno z literackich wcieleń Elif Shafak. Niektóre rzeczy, jak sama twierdzi, może wyrazić wyłącznie w języku angielskim, dzięki jego precyzji. Tak powstał jej *bestseller* „Bekart ze Stambułu”, powieść, która uczyniła ją znaną poza granicami kraju. Turecki to dla niej język emocji, dlatego w nim napisała „Czarne mleko”. O tym zaś, w jaki sposób język kształtuje naszą tożsamość, zwłaszcza wtedy, gdy jako emigranci żyjemy w innym kraju, opowiedziała w powieści „Czyścić” (tur. „Araf”, ang. „The Saint of Incipient Insanities”).

Elif jak jeden

Literze alif przypisana jest wartość liczbową jeden.

Nie ma drugiej Elif Shafak. Pisarka jest bez wątpienia indywidualnością na tureckiej scenie literackiej. Inteligentna, świetnie wykształcona, znawczyni starych tajnych ksiąg, kobiecy głos w zmaskulinizowanym świecie. Buduje pełne detali portrety postaci, obmyśla mikronarracje, tworzy wokół każdej bohaterki, każdego bohatera mały świat wypełniony po brzegi szczegółami. Jakby malowała współczesną miniaturę, poszerzając ją o trzeci wymiar, który do wschodniego malarstwa wprowadziła kultura Zachodu. Jednocześnie mistrzowsko zestawia ze sobą postaci z różnych rzeczywistości i środowisk. W ocenie niektórych krytyków literackich wręcz steruje swoimi bohaterami, całkowicie podporządkowuje ich swoim zamysłom konstrukcyjnym.

Korzysta ze szkatułkowej formy rodem z „Księgi tysiąca i jednej nocy”. ➔



→ Shafak przypomina czasem Bajeranta, postać opowiadacza z powieści „Hakawati. Mistrz opowieści” Rabiha Alameddine’a. Ten mieszkający w USA libański pisarz [który był gościem Festiwalu Conrada w 2010 r. – red.] sięga do tradycyjnych opowieści Bliskiego Wschodu. Shafak chętniej czerpie ze wschodniej klasycznej poezji i jej symbolicznych obrazów. Rabiha częściej wykorzystuje historie z okresu przedmuzułmańskiego, podczas gdy Shafak korzysta z tradycji islamu.

Okazuje się, że pisarze osadzeni zarówno w tradycji Wschodu, jak i Za-

chodu mają do zaproponowania czytelnikowi syntezę, która przywraca wiarę w literacką opowieść, w możliwość stworzenia powieściowej panoramy łączącej w jedno elementy różnych kultur.

Elif – znak starego alfabetu

Chociaż Elif Shafak nie podziela stambulskiej melancholii Orhana Pamuka [był gościem Conrada w 2012 r. – red.], to miejscem akcji swoich powieści czyni bardzo często niegdysiejszy Konstantynopol, miasto stu imion, etniczny tygiel, w którym krzyżują się historie i szlaki.

Opisane w powieściach Shafak i Pamuka społeczeństwo tureckie, a zwłaszcza stambulskie, to twór wielokulturowy, wieloetniczny, wieloreligijny i przez to fascynujący.

Introwertyczny Pamuk szuka w Stambule źródeł własnej tożsamości. Shafak – historycznych wydarzeń, które społeczna amnezja, wywołana przez ekspansję nacjonalizmu i islamizmu, skazała na niepamięć. Tak jakby była przeświadczona, że to właśnie literatura, z jej zdolnością do tworzenia hipotetycznych i alternatywnych światów, może być narzę-

■ Pisarka osadzona zarówno w tradycji Wschodu, jak i Zachodu ma do zaproponowania czytelnikowi syntezę, która przywraca wiarę w możliwość stworzenia powieściowej panoramy łączącej elementy różnych kultur.

ELIF SHAFAK (ur. 1971) – nagradzana na całym świecie pisarka pochodzenia turecko-brytyjskiego i jednocześnie najbardziej poczytna autorka o tureckich korzeniach. Píše zarówno w języku tureckim, jak i angielskim. Do tej pory opublikowała 17 książek, w tym 11 powieści, takich jak bestsellerowe „Bekart ze Stambułu” czy „Czterdzieści zasad miłości”. Jej książki zostały przetłumaczone na 50 języków. Z wykształcenia jest politolożką. Ukończyła stosunki międzynarodowe oraz studia genderowe, doktorat poświęciła naukom politycznym. Wykładała na uniwersytetach w Turcji, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, w tym na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jest feministką, obrończynią praw kobiet, osób LGBT oraz wolności słowa.

razu Shafak dorzuca jeszcze zwierzęta, dworskie i haremowe intrygi oraz spór nauki ze sztuką.

Melancholik Pamuk i „podglądaczka” Shafak jedynie spacerują po ulicach Stambułu, także tych mrocznych i niebezpiecznych, ale nigdy nie skosztowali życia wśród jego mieszkańców, imigrantów przybyłych z różnych części Turcji i sąsiednich krajów. Czy mogą być zatem głosem Anatolii? Krytycy, związani ideowo z poprzednim okresem literackim, natchnieni parapozytywistycznym duchem, odpowiadają, że nie. Lewicowi intelektualści nie lubią pisarki za ironiczne lustro, jakie pokazała im w powieściach „Pchli Pałac” i „Bekart ze Stambułu”. Jej utwory nazywają pogardliwie „powieściami majaków”, zarzucając przy tym, że zbyt dużo miejsca poświęca grom słownym i budowaniu szkatułkowej narracji. Mimo tej krytyki nikomu nie udało się zmienić jej podejścia do literatury.

Elif jak Allah

W powieściach „Sufi” z 1997 r., „Lustra miasta” (tur. „Şehir Aynalar”) z roku 1999 oraz „Czterdzieści zasad miłości” (tur. „Aşk”, czyli po prostu „miłość”) z roku 2009 Shafak zajmuje się muzułmańskim mistycyzmem. W „Lustrach miasta” w XVII-wiecznych realiach życia społeczności judeo-hispańskich mieszkańców Madrytu autorka zderza żydowską tradycję mistyczną i postać samozwańczego mesjasza Sabbataja Cwi z tradycją muzułmańską. „Sufi” przedstawia drogę rozwoju derwisza w bractwie tekke – od beztroskiego chłopca do dojrzałego mędrca podążającego drogą Prawdy ku zjednoczeniu z Najwyższym.

„Czterdzieści zasad miłości” jest refleksją nad rozwijającym się uczuciem i sposobami jego doskonalenia. Przedstawiona w niej historia rozgrywa się w dwóch planach: współczesnym, w którym poznajemy amerykańską gospodynię domową, którą miłość połączyła z pisarzem Azizem Zaharą, oraz dawnym – tu pisarka opowiada o relacji między XIII-wiecznym perskim poetą i mistykiem Dżelaledinem Rumim zwanym Mevlaną (pers. Molana), założycielem bractwa mewlewitów w Konyi, oraz jego duchowym mistrzem, Szamsem z Tabrizu.

Ludowy nurt tureckiego sufizmu nauczał, że droga do miłości ku Najwyższemu prowadzi przez miłość do człowieka. Głęboki humanizm starej

dziem służącym do walki z programową amnezją tureckiego społeczeństwa. To dzięki literaturze możliwy jest powrót ze pchniętej w niepamięć przeszłości. Według pisarki brak świadomości wielokulturowego dziedzictwa jest dla współczesnego – pozornie homogenicznego – społeczeństwa źródłem słabości. Aby wydobyc to, co tworzyło niegdyś tkankę miasta, sięga po dawne wątki: sufickie, sefardyjskie, ormiańskie i kurdyjskie.

Wprawdzie zarówno Shafak, jak i Pamuk mają rodowód miejski, liberalno-burżuazyjny, jednak Elif postrzega siebie

jako nomadkę. Uważa, że pod wpływem wymyślonych przez siebie postaci podlega nieustannym metamorfozom. W na wpół historycznej, na wpół baśniowej powieści „Uczeń architekta” oprowadza nas po XVI-wiecznym Konstantynopolu, seraju i budowlach Mimara Sinana. Wszystkie te miejsca oglądamy oczami hinduskiego przybysza, tytułowego ucznia nadwornego architekta sułtana Sulejmana Wspaniałego. Niczym w kostiumowym serialu główny bohater zakochuje się w sułtańskiej córce Mihri-mah. Dla dopełnienia egzotycznego ob-

→ doktryny i jej jasna duchowość stały się u Shafak przeciwwagą dla współczesnego islamu, dla mrocznej duchowości ortodoksyjnego sunnizmu i ciemnego oblicza fundamentalizmu. Jej newage'owo-suficki poradnik miłosny został w Turcji i w wielu innych krajach bardzo ciepło przyjęty. Tym razem krytycy uznali, że współczesna Szeherazada leczy tureckie społeczeństwo z przywiązania do doczesności i materializmu, oferując w zamian duchowe wtajemniczenie. Przypomina pierwotne znaczenie *hüzün*, melancholii wywoływanej przez mistyczne doświadczenie, którego sednem jest bolesna świadomość, że Boga nie można kochać wystarczająco mocno i nigdy nie osiągniemy z nim pełnej jedności.

„Piękna jak elif”

O kobiecie mówi się w Turcji „piękna jak elif”.

Feminizująca intelektualistka sympatyzująca z sufizmem, naukowczyni i pisarka, matka dwójki dzieci, do tego piękna, aktywna społecznie kobieta. Jak na obecną Turcję, gdzie dominującym wizerunkiem kobiety wciąż jest szafarka domowego ogniska, to zdecydowanie za dużo. Swoje rozliczne role społeczne i walkę o ich utrzymanie, mimo macierzyństwa, Elif opisała w powieści „Czarne mleko”. To chyba jedyny jej w pełni autobiograficzny utwór. Opowiada w nim o swoich zmaganiach z depresją poporodową.

Jak pogodzić karierę z rolą matki? Jak zdefiniować kobiecość, by była ona źródłem siły, a nie pułapką? W powieści do głosu dochodzą różne wcielenia Elif: Pani Derwisz, Matka „Inteligentka” czy seksowna Atlasowa Kusicielka. Shafak zastanawia się także nad stosunkiem do macierzyństwa innych znanych kobiet. Przywołuje Virginie Woolf, żonę Tołstoja – Zofię, a także Firuze, siostrę Fuzulego, tureckiego poety okresu późnoklasycystycznego.

Dla zachodniej publiczności czytelniczkiej opis tych wszystkich zmagani nie jest niczym nowym. Gdy jednak weźmiemy pod uwagę realia współczesnej Turcji, gdy przypomnimy sobie, że tamtejsza kultura narzuca kobiecie obowiązek bycia matką i promuje macierzyństwo jako awans w hierarchii rodzinno-społecznej, zrozumiemy, że opowieść Shafak ma również potencjał emancypacyjny. Nie przypadkiem utwór ten został napisany w języku tureckim.

■ Shafak poszukuje historycznych wydarzeń, które ekspansja nacjonalizmu i islamizmu skazała na niepamięć. Jakby właśnie literatura, z jej zdolnością do tworzenia alternatywnych światów, mogła być narzędziem służącym do walki z programową amnezją tureckiego społeczeństwa.

■ Niektórzy twierdzą, że kobiecy jest jej styl – „chaotyczny”, „emocjonalny”, „feministyczny”. Osaczona tymi epitetami Shafak w 2017 r. robi coming out. Wyjawia, że jest biseksualna, co wywołuje poruszenie w tureckim społeczeństwie.

Elif jak Iblis

Dumna litera *elif* nie pokłoniła się przed obliczem Boga, podobnie jak Iblis, muzułmański szatan, nie ukorzył się przed Nim. Tak brzmi szyicka interpretacja symboliki alifu.

Za swoje „szatańskie wersety” Elif Shafak wprawdzie nie ściągnęła na siebie fatwy, jak Salman Rushdie, bo Republika Turcji jest jeszcze państwem świeckim, ale za nazwanie pogromu Ormian z 1915 r. „ludobójstwem” stanęła przed tureckim sądem, oskarżona przez stowarzyszenie tureckich prawników z artykułu 301 kodeksu karnego. Domniemaną

„winą” była wpleciona w fabułę powieści wypowiedź z ormiańskiego forum internetowego. W Turcji zawrzało. Podobne gromy ściągnął na siebie Pamuk. Ostatecznie pozew został oddalony.

Po raz kolejny prokuratura zajęła się twórczością Shafak, gdy oskarżono ją o promowanie nieprzyzwoitych treści, a za takie uznano alarmistyczne opowieści o molestowaniu dzieci i napaściach na tle seksualnym. Pisarka broni się przed wchodzeniem w rolę wychowawczynie tureckiego społeczeństwa (czegoś takiego oczekuje się zwykle od prozaiczek i prozaików), ale interweniuje zawsze wtedy, gdy uważa to za potrzebne. Jest obrończynią kobiet, dzieci, przedstawicielek i przedstawicieli różnych mniejszości. Pisz o przemocy wobec kobiet, co jest w Turcji szczególnie ważne, gdyż władze kraju planują wycofanie się ze zobowiązań konwencji stambulskiej.

W kulturze turecko-muzułmańskiej honor mężczyzny związany jest z kobietą, dlatego swoimi czynami może ona splamić honor męża czy rodziny. Shafak prezentuje to zjawisko w dwóch powieściach: „Bękart ze Stambułu” i „Honor”, proponując punkt widzenia, który sprzeciwia się tradycji. Zgodnie z tą ostatnią kara spada wyłącznie na kobietę, mężczyzna zaś oczyszcza się poprzez tymczasowe oddalenie od wspólnoty. U Shafak mężczyźni nie pozostają bezkarni. Jedną z bohaterek „Bękarta...”, Zeliha, wyzwolona Turczynka, pada ofiarą rodzinnego gwałtu. Zmazaniem plamy na honorze rodu zajmuje się ciotka Banu, spirytystka. Mężczyzna początkowo unika odpowiedzialności, ale potem i jego dośięga kara.

W tym kontekście warto postawić pytanie o tytuł powieści. Co to znaczy być bękartem w Turcji? Co to znaczy być ofiarą rodzinnego gwałtu? W samym Stambule można jakoś przetrwać, wszystko zależy od dzielnicy, w której przyjdzie takiej ofierze żyć. Dużo trudniej poradzić sobie w południowo-wschodniej Anatolii. Rodzina z powieści Shafak pochodzi z miasta, na dodatek jest zdominowana przez kobiety, ma strukturę matriarchalną, mimo to gwałt zostaje zatajony, a zemsta dosięga winowajcę dopiero po latach.

W „Honorze” obserwujemy rodzinę żyjącą na obczyźnie, dla której tradycja staje się strategią przetrwania, a zarazem przeszkodą we współistnieniu z innymi

członkami nowej społeczności. W zderzeniu z zachodnią cywilizacją grupa ludzi żyjących w zgodzie z rodzimymi zasadami zaczyna coraz bardziej się zamykać i wzmacniać tradycyjny patriarchalny porządek. Rodzina Topraków (tur. *toprak* – ziemia), złożona z turecko-kurdyjskich imigrantów, porusza się co prawda po londyńskich ulicach, ale w rzeczywistości żyje w zupełnie innym miejscu – w przeszłości, z której pochodzi radykalny kodeks rodowo-plemienny. Zgodnie z nim splamiony honor zmywa się krwią kobiety, nawet jeśli miałyby nią być własna matka.

Elif jak drzwi

Sama Elif interpretuje symbolikę swego imienia jako „drzwi prowadzące do tego, co nieznane”.

Shafak poszukuje tego, co nieznane, w przeszłości. Jeśli już zajmuje się teraźniejszością, to wyłącznie tą, która wydarza się na granicy światów: Wschodu i Zachodu. Nie daje się zaszukadkować. Turecki naród wciąż oczekuje, że pisarz będzie ojcem narodu, pisarka zaś jego symboliczną matką. Ta rola jest jednak autorce „Bękarta...” z gruntu obca. Aktywiści chcieliby ją widzieć obok siebie na barykadzie, uczestniczącą – jak Aslı Erdoğan [odwiedziła Festiwal Conrada w 2015 r. – red.] czy Ece Temelkuran [autorka książki „Turcja. Obłąd i melancholia” – red.] – w protestach przeciwko opresyjnej władzy. Ale choć krytyczna wobec tureckiej polityki, Shafak nie angażuje się w ten sposób. W Turcji jest dziś niemiłe widziana. Jej mąż, Eyüp Can Sağlık, były redaktor naczelny gazety „Radikal”, jest kojarzony z Fethullahem Gülenem, oskarżanym przez rząd o przygotowanie puczu 15 lipca 2016 r.

Elif, nie tylko z tych powodów, wycofała się – jak prawdziwy sufi – do swojej londyńskiej samotni (sufickie *halvet*) i zajmuje się wyłącznie literaturą, wierząc w moc opowiadania historii.

© AGNIESZKA AYŞEN KAIM

24 października z **ELIF SHAFAK** porozmawia na Festiwalu Conrada Grzegorz Jankowicz.

Życie na wyspie

JUSTYNA CZECHOWSKA

Rodzina z powieści Jacobsena na różne sposoby próbuje uporać się z syndromem niewidzialności, którego doświadcza tylko dlatego, że zamieszkuje wyspę na dalekiej skandynawskiej północy.

Morze jest murem.

Słyszę jak krzyczą mewy – machają do nas.

TOMAS TRANSTRÖMER,
przeł. M. WASILEWSKA-CHMURA

14

sierpnia 1946 r. Tove Jansson pisała w liście do ukochanej przyjaciółki Ewy Konikoff: „Wyspa jest wysoka, ale pozbawiona drzew, na szczycie porośnięta gęstymi krzewami, zmaltretowanymi przez sztormy, poza tym zdołała ją wspaniała flora plażowa. Gdy tak leżałam, gapiąc się w gwiazdy i słuchając wichury, dopadła mnie dzika tęsknota, żeby zamieszkać na tej wyspie – lub ją posiąść”.

Romantyczna tęsknota fińskiej pisarki, potężna determinacja, a także finansowy sukces jej pierwszych książek sprawiły, że pod koniec lat 50. dostała pozwolenie na wydzierżawienie, a później także na zakup jednej z najbardziej wysuniętych w morze wysp Archipelagu Fińskiego. Wyspa stała się rajem Tove. Pozostała nim do końca życia pisarki, choć nawet dziś nie ma na niej ani źródła słodkiej wody, ani prądu.

Bohaterowie powieści Roya Jacobsena nigdy nie marzyli o wyspie, oni po prostu ją zastali. Gdy kolejno przychodzili na świat, otrzymywali ją w spadku po poprzednich pokoleniach. Wyspa stała się ich tożsamością. Nazwisko Barrøy zawdzięczają właśnie jej (końcówka „øy” oznacza „wyspę”). Dla nich wyspa to zarówno raj, jak i piekło.

Czarny kamień na horyzoncie

Akcja powieści rozgrywa się w trzeciej dekadzie XX wieku. W tym czasie na południowym krańcu Norwegii życie wyglądało zgoła inaczej niż na wyspie. Knut Hamsun dostał Literacką Nagrodę Nobla za „Błogosławieństwo ziemi”. Osiem lat później tę samą nagrodę odebrała Sigrid Undset. Edvard Munch dawno temu wrócił z wojaży po europejskich stolicach (zdążył już stworzyć „Krzyk”, „Madonnę” i „Wampira”). Natomiast Gustav Vigeland tak bardzo rozpędził się w projektowaniu fontanny, że Oslo oddało mu do dyspozycji cały park, który zapełnił rzeźbami.

Bohaterów Jacobsena poznajemy, gdy rodzina liczy pięć osób. Należą do niej: stary wdowiec Martin, jego syn Hans z żoną Marią i trzyletnią córką Ingrid oraz Barbro, nieco opóźniona w rozwoju dwudziestoletnia córka Martina, siostra Hansa. W bezwietrzny lipcowy dzień przypląwa pastor, by omówić sprawę chrztu Ingrid. To z jego perspektywy widzimy wyspę po raz pierwszy. Ale czy rzeczywiście ją widzimy?

Pastor zdaje się raczej zastanawiać, jak daleko leży główna wyspa, ta, na której mieszka, ta z kościołem i plebanią, gdzie ludzie żyją w osadzie pełnej domów pomalowanych na biało, z pięknymi ogrodami, ze szkołą i sklepami. Przybysz szacuje czas potrzebny na dotarcie do rodzinnej wioski na ponad dwie godziny wiosłowania, a jego pierwsze spostrzeżenie brzmi: „Ależ to wszystko małe! Domy ledwie widać”. Z naprzeciwka, z jego parafii, wyspa to „czarny

→ kamień na horyzoncie”. Jakby w ogóle nie istniała.

Mieszkańcy Barrøy są niewidzialni dla ludzi z innych części tej morskiej krainy, a tym bardziej dla tych ze stałego lądu. Są niewidzialni dla bezwzględnej przyrody, wśród której mieszkają. Niemal samowystarczalni – żyją z tego, co daje im morze. Uprawiają niewiele. To wynędzniali zbieracze rzeczy wyrzucanych przez falę. Gromadzą „korki, beczki, konopie, kawałki drewna i pływaki sieciowe (...), skrzynki na ryby, wiosła, osęki, drewniane bloczki burtowe, czerpaki, żerdzie, deski i szczątki łodzi”. Coroczne wyprawy Hansa na połowy na Lofotach, trwające od stycznia do kwietnia, to jedyne podróże w dalsze rejony. Poza nim nikt nie rusza się z miejsca. Zresztą wypadki Hansa nie czynią go społecznie bardziej „widzialnym”, skoro cel jego podróży znajduje się w jeszcze mniej dostępnym miejscu dzikiej północy. Nie ma to nic wspólnego z przygodą. Połowy są jedynym sposobem na utrzymanie rodziny.

Porównanie Klovharun, letniej ostoji Tove, z położoną na Morzu Północnym Barrøy, gdzie bohaterowie Jacobsena mieszkają cały czas, na pierwszy rzut oka może wydawać się nieuzasadnione. Jest jednak inaczej. Wystarczy przypomnieć, że Jansson również była zafascynowana mrocznością wyspy i czyhającymi tam na człowieka niebezpieczeństwami. A w czasie wojny, gdy bombardowano Helsinki, czuła się na morzu dużo bezpieczniej.

W liście do Mai Vanii z 1 września 1967 r. zwierzała się: „Nigdy nie widziałam wyspy takiej, jaką jest teraz, kiedy nadchodzi jesień. Nie ma tu żadnych barw pożegnalnych, one się tylko wymazują, mieszanina zwiędłej szarości i brązu, wyspa kurczy się i jakby wciąga w deszcz, a morze i wieczory są dramatyczne z tymi swoimi pustoszącymi zachodami i ławicami chmur. Ciemność na takiej wyspie jest taka, jakbyś stała na końcu świata, a wszystkie odgłosy nocy potężniejszą i ma się wrażenie absolutnej samotności – natura przestaje być ramą Twojego istnienia, wyrzuca Cię na peryferie i wspaniale dominuje. Nagle jest tylko morze i wielkie dramatyczne jesienne sklepienia. Dziwne, im krajobraz robi się mniej przyjazny, tym mniej chce mi się stąd wyjeżdżać – miasto jako schronienie wydaje się groźne”.

■ Bohaterowie Jacobsena nigdy nie marzyli o wyspie, oni po prostu ją zastali. Gdy kolejno przychodzili na świat, otrzymywali ją w spadku po poprzednich pokoleniach. Wyspa stała się ich tożsamością.

ROY JACOBSEN (ur. 1954)

– jeden z najbardziej uznanych współczesnych pisarzy norweskich. Debiutował w 1982 r. zbiorem opowiadań „Fangeliv” („Więzienne życie”). Był dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej. W 2017 r. jego powieść „Niewidzialni” trafiła do finału Międzynarodowej Nagrody Bookera. Jego książki przetłumaczono na ponad trzydzieści języków.

Budowanie domu

Roy Jacobsen wychował się w robotniczej rodzinie w Oslo. Rodzice spędzali urlopy na wyspie na północy kraju, skąd pochodziła matka. Pisarz mówi o tych wyjazdach „tak zwane wakacje”, bo letnie miesiące dla wyspiarzy, podobnie jak dla rolników, nigdy nie oznaczały wypoczynku, lecz kolejne etapy pracy. Wciąż coś budowali. Nic więc dziwnego, że dziś, po wydaniu przeszło dwudziestu powieści, określa się Jacobsena mianem „pisarza, który w każdej swojej książce buduje dom”.

Ale nie tylko doświadczenia z dzieciństwa doprowadziły go do fascyna-

cji pracą fizyczną i rzemiosłem. Po roku studiów na wydziale matematyki, wiedziony Kunderowskim mottem „życie jest gdzie indziej”, sam postanowił na dłuższą ośiać na rodzinnej wyspie w regionie Helgeland w Nordlandii i kontynuować dzieło przodków. W latach 1979-86 miał się wielu zawodów, od stolarki po wielorybnictwo. To również tam, na surowej Północy, młody Jacobsen poznał kobietę, która opowiedziała mu historię swojego życia (opowieść ta stała się załącznikiem jego późniejszego dzieła).

Kobieta przeżyła na wyspie, wyłącznie w towarzystwie męża, 53 lata. „To dwa razy dłużej niż światowej sławy rozbitek



Robinson Kruzo” – żartował Jacobsen w jednym z wywiadów. W zasłyszana historię wplótł losy własnej matki, typowej przedstawicielki pokolenia, które w połowie XX w. masowo przenosiło się do miast – kobiety silnej, zdeterminowanej, niewykształconej, lecz inteligentnej, obdarzonej znakomitą intuicją, boleśnie doświadczanej przez trudne warunki życia, a potem dramat II wojny światowej.

Najwyrazistszą postacią „Niewidzialnych” – pierwszego tomu powieściowej trylogii, na którą składają się jeszcze „Białe morze” i „Oczy z Rigela” – jest mała Ingrid. To właśnie ona odważy się opuścić wyspę. Ingrid jest „córką morza, nie

widzi w łamiących się falach niebezpieczeństwa i zagrożenia, tylko drogę i rozwiązanie większości problemów”. Jak Tove Jansson oraz większość postaci z jej muminkowej serii, które uwielbiają niepogodę, sztormy, wichury, burze i katastrofy naturalne.

Niełatwo nam, szczurom lądowym, uwierzyć, że silny wiatr na otwartej lodowatej wodzie nie jest zagrożeniem, lecz zapowiedzią zmiany, a nawet źródłem frajdy. W ogóle zresztą nie potrafimy mówić i pisać w Polsce o morzu, przynajmniej nie tak jak Skandynawowie. Przez wieki odcięci od linii brzegowej, uprawialiśmy ziemię, dlatego nasza kultura,

a zatem i język, są mocno do ziemi przywiązane. Pisał o tym Leonard Neuger, tłumacz Tomasza Tranströmera, poety z archipelagu:

„Tranströmer, jego dziadek ze strony matki, ich rodzina – wszyscy mieszkali nad morzem, z morza żyli, toteż fauna nadmorska to ich świat najbliższy, dobrze znany, choć nieoswojony. Dla mnie, krakusa, na okładce jest przede wszystkim ptak. No... może jakaś mewa, może rybitwa. Nie rozróżniam. Podobnie jak łódek, statków, barek, żagli, różnych stanów morza itp. – od tej jakże istotnej części Szwecji jestem na zawsze odcięty”. Należy zatem uklonić się nisko Iwonie →

→ Zimnickiej, która w sposób mistrzowski przełożyła opowieść o krainie Barrøy na język polski.

„Na wyspie wszystko, co dzikie, ma nazwę. (...) A wszystko, co udomowione, ma i nazwę, i imię”. Barrøyowie nadają imiona nie tylko krowom, owcom i kotom, ale całej przestrzeni, która ich otacza. Jest tu zatem Leśna Wyspa, Wydrza Wysepka, Moroszkowa Wyspa, Szkiery Maskonurów, jest Ogród Piersiowy, Ogród Kamienny, Ogród Różany i Lasek Miłości. Robią to, rzecz jasna, dla ułatwienia sobie życia, dla udomowienia przestrzeni. Z pewnością nie zdają sobie sprawy, że takie chrzczenie ogrodów i wysepki jest aktem performatywnym: przez nadanie nazwy rzeczywistość wokół nich staje się na zawsze określona, zobiektywizowana, nawet jeśli wymyślonych określeń nie znajdziemy na żadnej z map.

Po stronie widzialnego

Hans i Maria Barrøyowie zdają sobie sprawę, że świat się zmienia. Lata 20. i 30. XX w. to czas, kiedy rozwój cywilizacji dociera również na daleką północ. Dlatego nie przestają udoskonalać swojego domu. Najpierw budują przystań, mozolnie zbierają i zwożą drewno, znoszą kamienie. Pierwsze próby kończą się porażką, kolejne sztormy rujnują owoc ich pracy. Wreszcie się udaje. Keja jest gotowa, choć Maria uważa, że nowe nabrzeże zniszczyło im widok z okna. Hans natomiast postrzega swoje dzieło nie tylko jako triumf, „lecz również (...) zobowiązujący początek”.

Stara się o przyłączenie Barrøy do trasy kutra z mleczarni. Dzięki temu trzy razy w tygodniu będą mogli oddawać bańki z mlekiem, a w razie potrzeby skorzystać z szybkiego transportu. Ponieważ ich wyspa nie leży na trasie mleczarskiej łodzi, przedsięwzięcie wymaga pisania wielu petycji, spotkań z zarządem gminy oraz niemałego poświęcenia. Urząd przyjmie wniosek Hansa, jeśli ten zgodzi się na wybudowanie u siebie latarni morskiej (wyspa leży na trasie żeglugi i wymaga oświetlenia). Decyzja zapadnie dopiero po roku. Gdy Barrøyowie podpiszą wreszcie umowę, będą wracać do domu jak młodzi ludzie, którzy wreszcie „otworzyli się na świat, zmienili się w stały punkt na mapie, widoczny punkt”. Lecz czy rzeczywiście latarnia odmieni ich życie na tyle, by przestali być niewidzialni?

■ Żyjąca na wyspie rodzina jest niewidzialna dla ludzi z innych części tej morskiej krainy, a tym bardziej dla tych ze stałego lądu. Jest też niewidzialna dla bezwzględnej przyrody, wśród której mieszka.

■ Jacobsena określa się mianem pisarza, który w każdej powieści buduje swój dom. Właśnie tak – nieustannie tworząc swoje miejsce do życia – postępowała rodzina jego matki, zamieszkująca wyspę na północy Norwegii.

Odpowiedzi szukam w kolejnych dwóch tomach opowieści Jacobsena. I, jak mi się zdaje, znajduję ją w „Oczach z Rigela”. Rok po zakończeniu wojny dorosła już Ingrid wyrusza z niespełna roczną córką Kają na poszukiwanie ojca dziewczynki, Rosjanina, odratowanego jeńca, rozbitka z Barrøy. „Oczy z Rigela”, napisane innym językiem niż „Niewidzialni”, pod względem gatunkowym stanowią baśń z typowo linearną narracją zataczającą koło: bohaterka opuszcza bezpieczny dom, natrafia na niebezpieczeństwa, uczy się świata i wraca odmieniona.

Jacobsen wykorzystał ten na pozór banalny schemat w sposób arcydzielny. Pozwolił swojej bohaterce opowiedzieć historię II wojny światowej w Norwegii poprzez niedopowiedzenia, tajemnice i traumy tej garstki ludzi, których Ingrid spotyka na swej drodze. Bo choć tych spotkań jest niewiele, to i tak więcej niż w całym dotychczasowym życiu bohaterki, a przecież jej wędrówka prowadzi przez najdziksze tereny Skandynawii.

Wszystko to, co w tych ludziach niewypowiedziane i niewidzialne, powoli staje się dla Ingrid jasne, nie dlatego, że cechuje ją niespotykana inteligencja, ale ponieważ ufa swojej kobiecej intuicji.

Wędrówka bohaterki z córką na brzuchu i plecakiem na plecach jest obrazem jakby wyjętym z Biblii. Oto norweska Maryja z dzieciątkiem przemierza lasy i jeziora, przedziera się przez granicę do Szwecji, poszukuje schronienia i ojca dziecka. Ten biblijny motyw pojawił się w literaturze wielokrotnie, również u Tove Jansson – w pierwszej części jej serii, w tomie zatytułowanym „Małe trolle i duża powódź”, Mamusia i Muminek szukają Tatusia i domu, a po drodze przeżywają wielką powódź. I tu, jak w „Oczach z Rigela”, wędrówka „odbywa się” tuż po wojnie (książka Jansson ukazała się w 1945 r.).

Ingrid jest niewątpliwie naiwna, lecz udaje jej się postępować rozsądnie i ostrożnie. Do bagażu dołącza stary blok rysunkowy z czasów szkolnych i ołówki. Notuje nazwy, nazwiska i daty kolejnych etapów wędrówki. Po co? Dla kogo? Dla córki? Cóż za romantyczny, niepodobny do niej pomysł! A kiedy na początku sierpnia 1946 r. dociera do kresu drogi, do obozu koncentracyjnego Sonderlager Mysen, w pobliskim miasteczku wchodzi do atelier fotografa i po raz pierwszy w życiu pozwala się sfotografować. Ingrid Barrøy i jej córka Kaja. Wreszcie zobaczone, dostrzeżone, widziane, widzialne.

■■■

W latach 80. Tove Jansson i jej życiowa partnerka Tuulikki Pietilä zaczęły planować opuszczenie wyspy. Mieszkanie tam przez kilka miesięcy w roku mogło być, zwłaszcza dla dwóch starszych pań, ryzykowne. W liście z 30 czerwca 1985 r. zaadresowanym do szwedzkiego redaktora Åkego Runnquista autorka napisała: „Mamy na wyspie jedno jedyne drzewo, jarzębinę, o które bardzo się troszczymy. Wiosną wydała nam się całkiem martwa – po tych mrozach. A teraz wypuszcza pąki! Czyż to nie wspaniale?”.

© JUSTYNA CZECHOWSKA

21 października z **ROYEM JACOBSENEM** porozmawia na Festiwalu Conrada Justyna Czechowska.

Mówić, by zmieniać

EMILIE PINE:

Żyjemy w epoce wojen kulturowych i skrajnej polaryzacji. Racjonalne argumenty przestały działać. Dlatego napisałam książkę o swoim życiu i emocjach. Tylko tak można przełamać impas w debacie publicznej.

MICHAŁ SOWIŃSKI: „O tym się nie mówi” to książka o rzeczach, które dla wielu osób pozostają nieuchwytnie, przezroczyście – w pewnym sensie niewidzialne.

EMILIE PINE: Ukrywamy nasze osobiste historie. Taki mamy odruch. „Wszystko w porządku”, odpowiadamy zazwyczaj, gdy ktoś zagadnie, co u nas słychać. A to często kłamstwo, które wciskamy również sobie. Niektórzy przez całe życie. Jednak czasem przychodzi impuls, gwałtowny wstrząs i nagle mamy dość, nie chcemy dłużej pozostawać niewidzialni. Tak było w moim przypadku.

Co dokładnie postanowiłaś uczynić widzialnym?

Rzeczy wstydlive, bolesne, wręcz traumatyczne. Głęboko skrywane doświadczenia, które mocno wpłynęły na moje życie. W każdym eseju opowiadałam o innym fragmencie życia. Wiele z nich długo tałam nawet przed najbliższymi. Piszę o alkoholizmie ojca. O nastoletnim buncie, gdy sama piłam, ćpałam, a także uprawiałam przypadkowy seks z nieznanymi, co mnie prawie zabiło. O problemach z zajściem w ciążę i o poronieniach. Są też wątki bardziej uniwersalne: wstyd menstruacji, który kultura i społeczeństwo wbudowują każdej kobiecie od najmłodszych lat. Piszę też o pracobolizmie, czyli kompulsywnej potrzebie ciągłego poprawiania własnej wydajności, co przypłaca się utratą kontaktu z rzeczywistością, czasem także depresją.

Wcześniej bałaś się o tym mówić?

Wszyscy pragniemy akceptacji. Strach, że możemy ją utracić, zmusza do wielu rzeczy. Każę chować głęboko wszystko, co nie pasuje do społecznych standardów, które są w dużej mierze projekcją indywidualnych lęków. Błędne koło, które można przerwać poprzez konfrontację z samym strachem. Najlepiej przez pisanie. Po wydaniu książki poczułam się bardziej akceptowana i kochana niż kiedykolwiek w życiu.

W recenzjach często pada słowo „odwaga”.

Nie czuję się odważna. Mam stabilną pozycję społeczną i ekonomiczną, a także ogromne wsparcie ze strony mojego partnera i całej rodziny. Ryzykowałam niewiele. Bardziej pasowałoby tu słowo „gniew”. Byłam wściekła, buzowało we mnie, aż w końcu się przełamało.

Niektórzy przyklejają Ci łatkę „kronikarki kobiecego doświadczenia”.

Niektóre teksty, np. o menstruacji, pasują do tego określenia, ale tylko częściowo. Bo mężczyźni, choć sami nie krwawią, mają przecież partnerki, matki, siostry, córki, przyjaciółki – osoby bardzo im bliskie, które muszą na co dzień mierzyć się z opresyjną kulturą wstydu. Nie można zawęzić tego doświadczenia wyłącznie do kategorii płci biologicznej. Powinniśmy więcej i bardziej otwarcie mówić o naszych ciałach, dzielić się swoimi doświadczeniami, uczyć się od siebie nawzajem. Wiele kobiet mówiło mi, że lektura mojej książki była dla nich wyzwaniem, że pozwoliła im poczuć się lepiej

we własnym ciele, co mnie ogromnie ucieszyło. Jednak zawsze podkreślam, że z dyskursu genderowego nie można wykluczać mężczyzn. Patriarchalne wzorce męskości mogą być również skrajnie toksyczne i opresyjne. Trzeba znosić wszystkie szkodliwe ograniczenia. Kobiety nie powinny być niewidzialne dla mężczyzn i na odwrót.

Kto decyduje, co jest widzialne, a co nie?

W Irlandii, w Polsce jest zresztą podobnie, przez lata problem stanowiła legislacja. Prawodawca, który całkowicie zakazuje aborcji, próbuje przekonać społeczeństwo, że zjawisko nie istnieje. Kobiety, które jeździły do Wielkiej Brytanii albo Holandii, żeby usunąć ciążę – już nieważne, z jakiego powodu – z punktu widzenia państwa były niewidzialne. W pewnym momencie powiedzieliśmy: dość. Koniec z udawaniem. Zerwaliśmy z fikcją, w której przez lata tkwiliśmy. Nie jesteśmy przecież małymi dziećmi, które zasłaniają sobie oczy i udają, że świat dookoła znika. Te kobiety zawsze były widzialne, żyły tuż obok. Tyle że w narzuconej nam opowieści nie było dla nich miejsca.

Opowieści można zmieniać. Tylko jak?

Jedyna droga to mówienie prawdy o ludzkim cierpieniu. Na przykład o dzieciach, które były brutalnie wykorzystywane przez katolickich księży. W Irlandii ten temat jest obecny w debacie publicznej od dawna, dlatego powoli przeniknął

→ do zbiorowej świadomości, a to zrodziło empatię.

To wystarczy?

Empatia to dziwny stan. Budzi silne emocje, ale zazwyczaj pasywne. Jednak w niektórych przypadkach potrafi zmienić sposób patrzenia na świat. To wolny proces, ale z czasem wywraca nasz światopogląd. Kilka dekad temu oskarżenie księdza o molestowanie albo gwałt było nie do pomyślenia. Dzisiaj większość ludzi nie pojmuje, jak takie tabu mogło w ogóle istnieć.

Czyli proste i szczere opowieści mogą zmienić świat?

Ta myśl przyświecała mi podczas pisanja książki. Unikałam metafor i innych środków stylistycznych – chciałam, żeby moje historie były dosłowne. Osobiste wyznanie pozwala zadać celny cios. W tym tkwi siła pisarstwa *non-fiction*.

Fikcja nie ma tej mocy?

Powieść oczywiście też może wpływać na rzeczywistość, robi to jednak subtelniej. Fikcja kształtuje naszą wyobraźnię, co również ma fundamentalne znaczenie, ale to proces dużo wolniejszy. Bywa, że nie ma na to czasu.

Dlatego skupiasz się na wątkach osobistych, często wręcz intymnych?

Prywatne jest polityczne – to jedno z kluczowych haseł feminizmu. Żyjemy w epoce wojen kulturowych, skrajnej polaryzacji debaty publicznej. Racjonalne argumenty, odwołujące się do abstrakcyjnych pojęć, przestały działać. Dlatego postanowiłam napisać książkę o swoim życiu i emocjach. I podziałało. Wiele osób odnalazło się w tych historiach, a przecież to pełne konkretnych szczegółów opowieści z mojego życia. Ciekawy paradoks, że im historia jest bardziej wyjątkowa i jednostkowa, tym większy ma potencjał uniwersalistyczny.

Argumenty z emocji pozwalają przełamać impas w debacie publicznej?

Tak, bo nasze dyskusje stają się coraz bardziej jałowe, a używane argumenty płytkie i powierzchowne, więc coraz trudniej zakorzenić w nich swoje doświadczenia. Ludzie chcą czegoś więcej. Dlatego mocniej reagują na osobistą opowieść niż zbitkę wyświechtanych frazów i abstrakcyjnych pojęć.

■ Unikałam metafor i innych środków stylistycznych – chciałam, żeby moje historie były dosłowne. Osobiste wyznanie pozwala zadać celny cios.

Myślisz, że potrzebujemy nowej definicji tego, co prywatne i publiczne?

Na co dzień piszę książki i artykuły naukowe, więc używam języka akademickiego. Nagle zaczęłam opowiadać o ciele, emocjach i traumach, i to w zupełnie inny sposób. Na początku miałam opory, ale gdy zaczęłam, nie mogłam przestać. Czułam przymus opowiedzenia tych historii do końca.

Zacząło się od mojego ojca alkoholika. Parę lat temu trafił w ciężkim stanie do szpitala z powodu ostrej niewydolności wątroby. Przez całe życie widziałam, jak pije, jak niszczy swoje zdrowie i życie. A mimo to w mojej rodzinie nigdy nie padło słowo „alkoholizm”. Gdy otarł się o śmierć, poczułam potworny gniew. Jak mogliśmy przez tyle lat udawać, że nie ma problemu? Wtedy coś we mnie pękło. Pomyślałam, że ciągłe uciekanie w intymność jest wyjątkowo toksyczne. O problemach trzeba mówić otwartym tekstem.

A miejsce na intymność?

Minęły dwa lata od premiery książki i jestem już mocno zmęczona. Cieszę się, że powoli wycofuję się ze świecznika. Z drugiej strony wiele osób zapomina, że cały czas pozostawałam pisarką. Owszem, moja książka jest bardzo intymna, ale to nie jest surowy zapis wydarty wprost z mojej codzienności. To nie dziennik, który ktoś mi wykradł. Spędziłam dużo czasu, szlifując tę opowieść. W trakcie redakcji sporo rzeczy wypadło, długo też myślałam nad ustawieniem poszczególnych elementów. Owszem, to prawdziwy opis moich doświadczeń, niemniej przepuszczony przez wiele filtrów.

Wspominałaś o uniwersalności opisywanych doświadczeń. A co z kontekstem historycznym?

Żaden tekst nie powstaje w próżni. Gdybym wydała swoją książkę dziesięć lat wcześniej, na pewno miałaby inny odbiór, szczególnie w Irlandii. Premiera odbyła się dwa miesiące po referendum, które zalegalizowało w naszym kraju aborcję. Cztery lata wcześniej referendum umożliwiło śluby osobom tej samej płci. Irlandia w ostatnich latach szybko się zmienia. W Stanach książki podobne do mojej pojawiają się od lat, podobnie w Wielkiej Brytanii. W Irlandii to był jeden z pierwszych głosów. Teraz na szczęście jest ich coraz więcej. Jestem tylko niewielką częścią dużo szerszego zjawiska.

„O tym się nie mówi” to opowieść o dorastaniu w konserwatywnym, katolickim kraju.

To opis konkretnej, bardzo zamkniętej i patriarchalnej kultury. Dlatego tak zdziwiła mnie reakcja szwedzkich czy francuskich czytelników i czytelniczek. Przez lata żyłam w przekonaniu, że rzeczywistość w krajach, które tak często stawiamy sobie za wzór, wygląda inaczej. A na spotkaniach autorskich w Paryżu czy Sztokholmie bardzo często słyszałam „u nas jest tak samo”. Jak to? Przecież wy już dawno powinniście uporać się z tymi problemami! To tylko pokazuje, że feminizm zmienia świat bardzo powoli. A rzeczy, które w pewnym momencie udało się uczynić widzialnymi, często na powrót stają się niewidzialne.

Skąd to gwałtowne przyspieszenie zmian w Irlandii?

Powodów jest wiele. Najogólniej rzecz biorąc, przez ponad sto lat żyliśmy w bardzo konserwatywnym i opresyjnym systemie społecznym. Na przykład samotne matki były umieszczane w specjalnych instytucjach dla „upadłych kobiet”, a ostatnią taką placówkę zamknięto dopiero pod koniec lat 90.! Rozwody zalegalizowano w referendum z 1996 r. Różnica głosów wyniosła wtedy niespełna dziesięć tysięcy. Strona konserwatywna argumentowała, że to doprowadzi do rozpadu instytucji rodziny, co oczywiście okazało się bzdurą. To był impuls do dalszych zmian, empiryczny argument, że nie ma się czego bać. Dlatego w kolejnych głosowaniach strona progresywna zyskiwała coraz większe poparcie. I znowu – kluczowe okazały się osobiste historie. Szczególnie w przypadku legalizacji →



RUTH CONNOLLY / MATERIAŁY PRASOWE

EMILIE PINE (ur. 1977) – wykłada wiedzę o dramacie współczesnym na University College w Dublinie. Publikowała jako naukowczyni i krytyczka literacka. „O tym się nie mówi” to jej pierwsza książka. Została nagrodzona m.in. The Butler Literary Award 2018.

→ aborcji. Tysiące kobiet opowiadały o piekle, przez które musiały przechodzić. Irlandia to mały kraj, dlatego łatwiej nam budować wspólnotę doświadczeń. Prawie każdy znał kogoś, kto ucierpiał z powodu skrajnie konserwatywnego prawa.

Referendum w kwestii podstawowych praw człowieka może być bronią obosieczną.

Powszechne głosowanie ma ten plus, że buduje ogólnospołeczny konsensus, dający silną legitymizację zmian. Choć masz rację, to także potencjalnie droga dla konserwatystów chcących przywrócić poprzedni porządek. Prawicowych populistów, gdy już dorwą się do władzy, nic nie jest w stanie powstrzymać, co niestety widać dzisiaj w Polsce. Na szczęście w XXI w. już nie tak łatwo odebrać prawa obywatelom. Wasz Czarny Protest sprzed paru lat to najlepszy przykład, a Strajk Kobiet był inspiracją dla wielu osób, także w Irlandii. Umiejętność stawiania oporu opresyjnej władzy jest równie ważna, co wprowadzanie pozytywnych zmian.

Z czasem zaczyna brakować siły. Ludzie są zmęczeni walką o podstawowe prawa i swobody, chcieliby zająć się czymś innym. Jesteś specjalistką od Becketta. Nie wolałabyś zajmować się awangardowym teatrem?

Pewnie, choć akurat Beckett to bardzo ciekawy punkt wyjścia do walki o prawa człowieka.

Akademickie zaplecze nie utrudniało Ci pisanie „O tym się nie mówi”?

Uwielbiam swoją pracę, bardzo lubię też uczyć. Jednak żeby napisać tę książkę, musiałam na jakiś czas zrezygnować z obowiązków zawodowych. Zbiegło się to z chwilowym kryzysem mojej wiary w akademię jako taką. I nawet nie chodziło o przerośniętą biurokrację czy liczne patologie systemu grantowego, który wyrządził olbrzymią krzywdę całej nauce. Byłam zmęczona abstrakcyjnym językiem i naiwną wiarą w obiektywny opis świata. Zajmuję się teatrem, o którym mówi się często, że buduje etyczną wspólnotę. Każda sztuka bazuje na wymianie intelektualnej, ale jednocześnie jest fizyczna, cielesna. Nie można pominąć materialności naszego doświadczenia. „O tym się nie mówi” to także odtrutka

■ Chciałam uczynić widzialnymi rzeczy wstydlive, bolesne, wręcz traumatyczne. Głęboko skrywane doświadczenia, które mocno wpłynęły na moje życie. Wiele z nich długo tałam nawet przed najbliższymi.

■ Powieść też może wpływać na rzeczywistość, robi to jednak subtelniej. Fikcja kształtuje naszą wyobraźnię, co również ma fundamentalne znaczenie, ale to proces dużo wolniejszy. Bywa, że nie ma na to czasu.

na język pełen popisów erudycyjnych, niepotrzebnie skomplikowany, a przez to niewiele wnoszący do naszego rozumienia świata. Straciłam cierpliwość do wysublimowanych teorii. Jeżeli nie potrafisz wyrazić swojej myśli bez akademickiej ornamentyki, to właściwie dla kogo pisziesz? Taka postawa jest z gruntu antydemokratyczna.

Potrzebujemy jeszcze akademii?

Wielu akademików to także aktywiści i to połączenie bywa interesujące. Uniwersytety wymagają strukturalnych zmian, przede wszystkim w kwestii finansowania, bo to rodzi największe patologie. Ich obecność jest jednak niezbędna. Weźmy choćby feminizm. W 2017 r. powstał ruch #metoo, którego znaczenie trudno przecenić. Jednak aby w pełni zrozumieć to zjawisko oraz nie zmarnować jego potencjału, konieczne jest zbudowanie odpowiedniego aparatu pojęciowego. Specjalizuję się w dramacie i wielu mo-

ich kolegów oraz koleżanek pisało o performatywnej naturze tego ruchu. Taka rama teoretyczna pozwala zobaczyć wiele rzeczy w nowym świetle. Akademia ma sens, jeżeli nieustannie odnosi się do rzeczywistości. Bez tego staje się martwa.

Czy #metoo udało się coś zmienić?

To była kolejna odsłona walki, którą od dekad toczą kobiety, bo przecież molestowanie seksualne nie jest niczym nowym. Tym razem udało się uczynić problem widzialnym, i to na szeroką skalę, a tego nie da się już cofnąć. Gdy walczymy z nierównościami albo opresją, potencjalne zmiany mogą mieć dwojaki charakter: kulturowy oraz strukturalny. Ruchy społeczne działają w obrębie tego pierwszego pola – możemy tworzyć nowe opowieści, wpływać na powszechną wrażliwość i wyobraźnię. Zmiany strukturalne, czyli kolejny etap, to zadanie dla polityków. Ważne, żebyśmy o tym pamiętali i odpowiednio adresowali nasze oczekiwania.

Krytyczny dyskurs przydaje się również w bieżących sporach politycznych.

Szczególnie w przypadku języka populistów i skrajnej prawicy. Jeżeli Trump mówi „uczynmy Amerykę znów wielką”, to co właściwie znaczy ten slogan? Czym jest „wielkość”? Do jakiego momentu w historii USA odnosi się słowo „znów”? Naszym zadaniem jest rozbrajanie podobnych bomb, bo ich siła rażenia jest ogromna.

Wierzysz w postęp?

Rozwój technologii dał nam fałszywe przekonanie, że ciągle ulepszamy naszą cywilizację. Owszem, świat cały czas się zmienia, ale nie zawsze jest to zmiana na lepsze. Gdy przechodzimy od punktu A do punktu B, coś zyskujemy, ale jednocześnie coś tracimy. Współczesna ekologia dobrze to pokazuje, bo odziera nas z iluzji, że rozwijamy się we właściwym kierunku. Musimy zwolnić. To jedyna szansa, żeby zbudować sensowny system wartości, który będzie pasował do naszego świata.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

25 października z **EMILIE PINE** na Festiwalu Conrada porozmawia Anna Kowalcze-Pawlik.

Przepisana przeszłość

ANNA ŁAZAR

W „Pamięci pamięci” nie znajdziemy ani nadmiernej żałoby, ani nostalgii, chociaż to najczęstsze tropy organizujące myślenie o rodzinnej przeszłości. Autorka uniknęła tej pułapki i stworzyła dzieło oryginalne.

Rosyjska poetka i prozaiczka Maria Stiepanowa porównała pamięć do składowiska śmieci. Pełno tam nie tyle skarbów, co starych reklamówek. Powszechne sortowanie wspomnień i śladów prowadzone jest jednak z nadzieją, że uda się znaleźć coś wyjątkowego.

Proces ten Stiepanowa opisała w niezwykle erudycyjnym dziele zatytułowanym „Pamięci pamięci”, które ukazało się w grudniu 2017 r. Zanurza się w nim w ponad stuletnią historię swojej rodziny, inteligenckiej od pokoleń. Tytuł – zarówno w oryginale, jak i w przekładzie – jest niejednoznaczny. Czy to liczba pojedyncza, czy też mnoga? Czy mamy do czynienia ze stwierdzeniem? A może to westchnienie, rodzaj wezwania lub lament? Książka nie mieści się w ramach gatunkowych. Autorka nazywa ją romansem, co ma się czytelnikowi kojarzyć z literaturą awanturniczo-miłosną i popularną. To jednak najwyższej próby esej będący refleksją na temat badania domowego archiwum.

Etyka pamięci

Kiedy Stiepanowa przygląda się historii rodziny, jest z nią Marcel Proust z mistrzowską odpowiedzią na pytanie o możliwość odzyskania czasu. Przeszłość trzeba przepisać i można różne rzeczy w niej zmieniać. Na przykład płęć. Pierwowzorem Albertyny, bohaterki „W poszukiwaniu straconego czasu”, był wszak szofer Alfred Agostinelli, z którym Proust pozostawał w związku. W „Pamięci pamięci” znajdziemy dużo poezji i tragicznych losów poetek. Pojawia się Anna Achmatowa z jej represjonowanymi przez Stalina mężami i synem oraz zakazami publikacji. Jest zmarły z głodu w więzieniu obłożonego Leningradu wspaniały absurdysta Daniil Charms.

Jest też Charlotte Salomon, niemiecka Żydówka, z powstałym w ciągu półtora roku (1941-43) na Łazurowym Wybrzeżu monumentalnym cyklem gwaszy „Życie? Czy teatr?”. Obrazki opowiadają historię kilku pokoleń jej rodziny. Do każdego rysunku załączone zostało krótkie wyjaśnienie oraz instrukcja, jakiej muzyki należy słuchać, oglądając go. Historyjki dotyczą wspólnego spędzania czasu, ale też koligacji, profesji, romansów, a nawet tego, co dziś uznajemy za molestowanie seksualne wewnątrz rodziny. Charlotte w nocy do odbiorcy prosi o wyrozumiałość dla łzawej natury swych prac. Stiepanowa komentuje, że „łzawa natura” jest u Salomon złośliwą autoironią. To diagnoza, która została ubrana w formę posiadającą cechy powieści bulwarowej.

Część prac Salomon eksponowana jest w Żydowskim Muzeum Historycznym w Amsterdamie i to tam ogląda je autorka „Pamięci pamięci”. Charlotte zginęła w Auschwitz, będąc w trzecim miesiącu ciąży. Mimo to jej zapiski – jak podkreśla Stiepanowa – wykraczają poza wspomnienia ofiar Holokaustu. Wydaje mi się, że to właśnie ten cykl zainspirował rosyjską pisarkę do określenia swego dzieła mianem romansu.

W „Pamięci pamięci” nie znajdziemy ani nadmiernej żałoby, ani nostalgii, chociaż to najczęstsze tropy organizujące myślenie o rodzinnej przeszłości. Autorka unika tej pułapki. Jest w tej książce znamienity fragment: ktoś w Europie Zachodniej, słysząc, że Stiepanowa (a przynajmniej odpowiadające jej „ja” mówiące w książce) zajmuje się historią swojej żydowskiej rodziny w Rosji, zauważa: „Będzie to jedna z tych książek, które pozwalają zrozumieć tragedię XX w. poprzez indywidualne losy bliskich”. „Jedna z tych”.

Krytycy często przywołują scenę opisywającą wycieczkę autorki do Saratowa.

Miejscowy przewodnik odnalazł dom, być może rodzinne gniazdo Stiepanowów. Przemówiły znajome kąty podwórza, deski, które były świadkami życia jej krewnych. Wzruszenie, stopa zanurzona w nurcie rzeki czasu. Potem telefon: „Proszę wybaczyć, to jednak nie tam. Pomyliłem ulicę”. Czy wszystkie te przeżycia zostały unieważnione, bo uruchomiła je niewłaściwa deska i cudze podwórko? A może przeszłość zdołała wymknąć się przedmiotom, przeniosła się do sfery, w której wyraźniej widać tak pułapki, jak i zalety nostalgii?

Wspomnienia roją się wszak od projekcji naszego doświadczenia kulturowego i przeinaczeń. W „Prawdziwym życiu Sebastiana Knighta” Vladimira Nabokova V, próbujący napisać biografię swojego brata, tytułowego powieściopisarza, ma podobne dylematy. Spędza brzemiennej w decyzję noc przy łóżku umierającego Knighta, po czym dowiaduje się, że to nie ta sala, chory nosi zaledwie zbliżone nazwisko, a jego krewny już nie żyje. Zupełnie jak w Saratowie: wzniosłość wywrócona, wyjątkowość rozchwiana, a jednak zakwestionowane doświadczenie nie znika, nabiera za to innej gęstości.

Przewodnikami Stiepanowej po dziejach zmarłych krewnych są m.in. pocztówki i zdjęcia – nawet te pornograficzne, w tym większą wprawiające konsternację, że i ten, kto patrzył, i ta, która pozowała, od dawna nie żyją. Są też dyplomy, zaświadczenia, a nawet przypominające obrus plany chersońskiej fabryki, która należała do krewnego, Isaaka Guriewicza. Ważna jest też pieczołowicie rozszyfrowywana korespondencja.

Autorka myślała o włączeniu do książki listów ojca. Poprosiła go o zgodę. Sądziła, że będzie to formalność, ale okazało się, że on nie chce publikacji, bo nie utożsamia się z tym, co jako młody

→ inżynier pisał z odległych zakątków ZSRR, a co autorka określiła jako wyraz entuzjazmu charakterystycznego dla ludzi odpowiedzialnych za wielkie sowieckie projekty budowlane z lat 70. Według ojca były to opisy śmiesznych drobniaków, którymi chciał sprawić rodzinie przyjemność. Nie mogą być jednak świadectwem ani czasu, ani miejsca. Chciał oszczędzić bliskim wiedzy o trudnych okolicznościach pracy w tajdze. Nie ma zatem w „Pamięci pamięci” jego listów. Inaczej z martwymi. Etyka żywych, w tym zasada poufności korespondencji, na nich się nie rozciąga.

Kobiety piszą historię kobiet

Tuż przed „Pamięci pamięci” Stiepanowej przeczytałam „Listy z cytadeli 1886” Bronisławy Waligórskiej, niedoskiej terrorystki, otwierające serię Archiwum Kobiet Instytutu Badań Literackich PAN, poświęconą niepublikowanym dokumentom piśmienniczym kobiet. Mimo różnej natury tych tekstów odnajduję w nich coś wspólnego. Monika Rudaś-Grodzka we wstępie do „Listów z cytadeli” i Stiepanowa zauważają zgodnie, że rzeczy należące do ludzi martwych zaczynają wytworzać pamięć o nich i zasłaniają „niknące widmo” osoby. Różni je jednak podejście. Rudaś-Grodzka otwiera się na te widma, jest gotowa do odprawienia dziadów i podjęcia pracy żałoby. Stiepanowa zaś, pisząc książkę, ma poczucie, że nie zbliża się do swoich przodków. Owszem – odkryła dokumenty, zbudowała związki przyczynowo-skutkowe, naniosła historię prywatną na powszechną, ale w jej zapiskach powraca zwątpienie w sens przedsięwzięcia.

Najciekawszą dla mnie postacią w „Pamięci pamięci”, poza samą autorką, pozostaje jej prababka Sara Ginzburg, uwięziona w Twierdzy Pietropawłowskiej za rozpowszechnianie nielegalnej literatury. Jest rok 1907. Bronisława Waligórska 21 lat wcześniej siedzi w X Pawilonie warszawskiej cytadeli za nieudaną próbę zamachu. Po pół roku popełnia samobójstwo. Pozostają po niej listy do siostry Jadwigi i wspomnienie Władysława Mickiewicza.

Sara z więzienia rusza do Paryża i po siedmiu latach wraca do Rosji z dyplomem lekarskim, który po trudnych egzaminach zdobywa na Sorbonie. „Takich jak ona były setki, jeśli nie tysiące. Studia medyczne we Francji były najtańsze



DMITRY BELYAKOV / MATERIAŁY PRASOWE

MARIA STIEPANOWA (ur. 1972) – poetka i dziennikarka rosyjska, ukończyła studia w Instytucie Literackim im. Gorkiego. Pracowała jako redaktorka naczelna OpenSpace.ru, portalu o tematyce społeczno-politycznej, i serwisu Colta.ru. Nagrodzona m.in. Nagrodą im. Andrieja Biełego i stypendium im. Josifa Brodskiego (Joseph Brodsky Fellowship Fund). Jej utwory dotyczą m.in. problematyki polityki rosyjskiej i sytuacji w Donbasie. Znana jako wybitna poetka, pisze również ciekawą prozę. W 2014 r. ukazał się zbiór esejów „Jeden, nikt, nie ja”. Stiepanowa zaangażowana jest także w pracę dziennikarską. Jej wiersze przetłumaczono na wiele języków, w tym fiński, hebrajski, włoski, angielski, francuski, serbski, chorwacki i niemiecki. W Polsce ukazał się tom Stiepanowej „Wojna bestii i zwierząt” w przekładzie Zbigniewa Dmitrocy oraz „Pamięci pamięci” (przeł. Agnieszka Sowińska) – wydana w Rosji w grudniu 2017 r., została okrzyknięta przez krytyków najważniejszą rosyjską książką ostatniego dziesięciolecia.

w Europie. Od końca lat 60. XIX w., gdy uniwersytety powoli zaczęły otwierać się dla kobiet, zasiłiła je populacja rosyjskich studentek. Przed 1914 r. stanowiły one siedemdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt procent kobiet studiujących tam medycynę". Sara Ginzburg żyje 99 lat.

Bronisława Waligórska i Sara Ginzburg są poddany Imperium Rosyjskiego, pierwsze dziesięć lat życia Sary przypada na ostatnią dekadę Bronisławy. Stoją w pierwszym szeregu, chociaż nie zbyt blisko, walki o wolność. Obie należą do partii politycznych, obie są emancypantkami. Zapewne mają podobne postępowe poglądy, być może gdzieś się różnią. Jedna się wypaliła, a druga zabiła. Historii nie piszą dziś już tylko zwyczajczynie. Nad obiema pochylił się ktoś z żywych. Kobiety piszą historię kobiet.

Mam wrażenie, że powracające w humanistyce i literaturze pięknej zainteresowanie przełomem XIX i XX w., okresem poprzedzającym rozpad imperiów, ówczesnymi praktykami, wiarą w postęp, możliwością zmiany społecznej – otóż to zainteresowanie wiąże się z depresją, którą naznaczone są nasze czasy. Szukamy w przeszłości rozwiązań naszych aktualnych problemów, nowej wizji przyszłości. Lekcja rewolucji budzi jednak wiele zastrzeżeń. Obiecując świetlaną przyszłość, rewolucja zabiła i znieholowała o wiele więcej ludzi niż carski reżim. Rozpad komunistycznego bloku posłużył głównie klasie średniej i oligarchom. Czy los proletariatu jest lepszy od losu proletariatu?

Rosyjska pamięć

„Pamięci pamięci” zbiera nie tylko nagrody, pochwały krytyków i środowiska literackiego. Wzbudza też silne emocje. Książka Stiepanowej zaledwie mimochodem porusza temat represji w Rosji. Autorka nie chciała, by temat ten zdominował jej opowieść. Pojawia się co prawda poległy w obronie Leningradu Łodik Grimmelfarb, który odrzucił propozycję awansu, by nie brać odpowiedzialności za rozkazy prowadzące do śmierci innych, ale to tylko mgnienie. Jest Iwan Adolfovicz, który wysyłał pocztówki do Sary Ginzburg, kiedy siedziała w Pietropawłowie. Gdyby nie te widokówki, nie pozostały po nim żaden ślad. Nie wiedzielibyśmy, że był profesjonalnym rewolucjonistą, potomkiem polskich powstańców, przyjacielem Lenina i członkiem

■ Stiepanowa wysyła nam prosty komunikat: moim się nic nie stało, obok śmierć, a oni sobie żyli. „Moja rodzina niespecjalnie się postarała, aby nasza historia zabrzmiała ciekawie w opowieści”.

■ Rosja jest jak feudalna dama – rości sobie prawo do wszystkich, którzy kiedykolwiek urodzili się i troszkę pożyli na jej terytorium. Państwo zaś lepi z martwych, co tam sobie chce.

■ Przeszłość się demokratyzuje. Państwo nie może tego procesu zatrzymać. Państwo ma jednak instytucjonalną ciągłość, a aktywistom brakuje dofinansowania i są podatni na represje.

Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. I że we wrześniu 1937 r. został rozstrzelany.

Stiepanowa wysyła nam prosty komunikat: moim się nic nie stało, obok śmierć, a oni sobie żyli. „Moja rodzina niespecjalnie się postarała, aby nasza historia zabrzmiała ciekawie w opowieści”. „Krewni innych osób byli aktorami historii – a moi statystami, czy jakoś tak. Żaden z nich nie walczył, nie był represjonowany (mgliste aluzje do aresztowania i przesłuchania odnosiły się także do

drugiego dziadka, ale i tam najpewniej rozeszło się po kościach, przeszło bokiem) (...). Byli wśród nich lekarze, wielu lekarzy i inżynierów, byli architekci (...), byli księgowi i bibliotekarze. Pędzili bardzo spokojne życie, najpewniej na uboczu machiny historii”.

Na spotkaniach wokół „Pamięci pamięci” powraca nazwisko Jurija Dmitrijewa – członka Memoriału, historyka z Karelii, który zajął się poszukiwaniem szczątków ofiar stalinowskich represji w okolicach Miedwieżjegorska, czyli blisko Sołówek i początku Biełomorkanału. Dmitrijew siedzi w więzieniu. W lipcu 2020 r. skazano go na trzy i pół roku kolonii karnej. Powinien wyjść w listopadzie 2020 r., bo zaliczono mu areszt tymczasowy. Pretekstem do uwięzienia był zarzdekiewiały pistolet, czyli zarzdek posiadania broni (oddalony) i domniemane czyny pedofilskie, których miał się dopuścić wobec adoptowanej córki, co wszyscy obserwatorzy uznają za fałszywe oskarżenie o szczególnie obrzydliwym charakterze.

W 1997 r. Dmitrijew znalazł w uroczysku Sandarmoch jamy grobowe i udało mu się ustalić nazwiska 6241 potajemnie zagrzebanych tam ofiar. W 2016 r. zaczęły się pojawiać publikacje, które dowodzą, że w Sandarmochu pochowano nie ofiary stalinowskich represji, ale czerwonoarmistów rozstrzelanych przez Finów. Państwo mówi „nie” pracy historyka, który postanowił upamiętnić ofiary stalinowskiego reżimu. Ma na to swoje sposoby oraz odpowiednie instytucje. 5 sierpnia w Sandarmochu od lat odbywa się Dzień Pamięci, na który, mimo niechęci władz, zjeżdżają setki ludzi. W lesie powstają pomniki poświęcone grupom narodowościowym, zawodowym i religijnym. Krewni wybierają drzewa, do których przybijają tabliczki z imionami zamordowanych członków rodzin. Ich żałoba jeszcze się nie dopełniła, jest wciąż świeża i pełna poczucia krzywdy.

Łudmiła Ulicka w rozmowie o „Pamięci pamięci”, wspominając uwięzienie Jurija Dmitrijewa, zauważyła, że Rosja jest jak feudalna dama – rości sobie prawo do wszystkich, którzy kiedykolwiek urodzili się i troszkę pożyli na jej terytorium, a pamięć nadal pozostaje w tym kraju w konflikcie ze strachem. Państwo zaś lepi z martwych, co tam sobie chce.

Stiepanowa się nie boi, o nie. Nie boi się zajmować pozycji zupełnie osobnej. Z pewnością jej książka nie jest →

→ odpowiedzią na państwowy popyt, jak kilka głośnych powieści ostatniej dekady (tytułów nie przytaczam, bo nawet krytyka napędza zainteresowanie). Ich autorzy serwują nam następujący komunikat: tak, na wczesnym etapie tworzenia się ZSRR były zbrodnie, ale ważniejsza niż ich upamiętnienie jest świadomość panującego wówczas modernizacyjnego trendu. Należy się skoncentrować na dominującym pragnieniu zrzućenia oków tradycyjnej obyczajowości (proces ten przebiegał pod okiem okrutnych, acz szczerze zaangażowanych pracowników organów służb specjalnych, którzy byli twardzi i seksowni, a za swą szczerzość zapłacili śmiercią). Bohater – służbista – wzbudza emocje, dlatego poświęca się mu wiele uwagi. O tysiącach zabitych mowa jest w jednym, góra dwóch zdaniach. Niby są, a jakby ich nie było. Te książki są atrakcyjnie napisane i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie wyczuwalny smrodek podprogowo przekazywanej ideologii.

Osobność dzieła Stiepanowej polega na tym, że konfrontuje się z przeszłością na własnych zasadach, które pozwalają jej eksplorować nie tyle historię rodziny, ile siebie jako podmiot piszący i wytwarzający wiedzę o przeszłości. Dostępność archiwów, nawet jeśli nie wszystkich i niekoniecznie w Rosji, lawinowo rośnie. W cyfrowych chmurach pojawiają się nawet archiwa rodzinne. Uwiecznienie w internecie korespondencji, dokumentów i zdjęć przodków starcza nie tylko na nostalgiczną anegdotę, ale jest też znakiem wejścia w tę przestrzeń osób spoza cechu profesjonalnych historyków.

Przeszłość się demokratyzuje. Państwo, choćby nie wiem jak bardzo chciało utrzymać monopol w tej dziedzinie, nie zdoła tego procesu zatrzymać. Państwo ma jednak instytucjonalną ciągłość, a ugrupowaniom społecznym takim jak Memoriał brakuje dofinansowania, ich członkinie i członkowie są zaś podatni na represje. Tak jest nie tylko w Rosji. Nadszereg dostrzegam w dobrej literaturze, która jest kapsułą czasu. Tak jak książka Marii Stiepanowej, w której przeszłość pojawia się w formie nadanej przez naszą teraźniejszość. © ANNA ŁAZAR

23 października z **MARIĄ STIEPANOWĄ** na Festiwalu Conrada porozmawia Małgorzata Nocuń.

Opowiadaczka

ALEKSANDRA HUDYMAĆ

Bohaterki i bohaterowie Bellovej udowadniają, że w wielkiej ciszy nie wszystko umarło, że może tym, co zostało, jest pragnienie bliskości i nieporadnie, niezręcznie ofiarowywana czułość.

Najważniejsza jest dla mnie opowieść, realia są drugorzędne. Nie pociągają mnie książki, w których jej brakuje. (...) Uważam, że to nieuczciwe i nie w porządku wobec czytelnika – wyznała w jednym z wywiadów Bianca Bellová. Jej pierwsza książka z 2009 r. zatytułowana „Sentimentální román” („Powieść sentymentalna”) nie pozostawiła wątpliwości, iż oto w czeskiej literaturze pojawił się nowy głos.

Debiut (a właściwie ponowny debiut – pierwsza była bowiem niewydana nigdy autobiograficzna powieść „Green Curry”) antycypował wszystko to, co stało się znakiem rozpoznawczym jej pisarstwa: precyzyjną i surową frazę, nienachalną ironię, nieustępliwe zgłębianie możliwości, a zwłaszcza pułpek międzyludzkich relacji, głównie rodzinnych, widmo pełzającej zagłady, nade wszystko jednak małe i wielkie historie, śmieszne i mroczne, z których splecione są jej książki.

W roku 2011 do rąk czytelników trafił wydany przez prestiżowe brneńskie wydawnictwo Host „Mrtvý muž” („Truposz”), a w 2013 trzecia książka, „Celý den se nic nestane” („Nic się nie dzieje przez cały dzień”). Z pisarki docenianej i rozpoznawalnej Bianca Bellová stała się gwiazdą w 2016 r., po opublikowaniu powieści „Jezero” („Jezioro”). Otrzymała za nią prestiżową czeską nagrodę literacką – Magnesie Literę, Nagrodę Literacką Unii Europejskiej oraz nagrodę studencką Česká kniha. Prawa do przekładu sprzedano do ponad dwudziestu krajów. Autorką polskiego tłumaczenia jest Anna Radwan-Żbikowska (2018, Wydawnic-

two Afera). W 2019 r. światło dzienne ujrzała najnowsza powieść Bellovej – „Mona”.

Miłość w cieniu śmierci

Na okładce debiutanckiej książki Bellovej widnieje stryczek na różowym tle. W toku lektury bardzo szybko okazuje się, iż jedyna sentymentalna rzecz w tym utworze to zabarwiona sternowskim humorem i kpina narracja, która boleśnie kontrastuje z szorstkością prezentowanej rzeczywistości. Wszystko w tej opowieści na dwa głosy jest brutalnym zaprzeczeniem lekkości. Nad relacją dwójki postaci wisi poczucie winy, związane z samobójczą śmiercią Elišky, siostry głównej bohaterki i jednocześnie ukochanej bohaterka.

Para narratorów dzieli między siebie opowieść. Obserwujemy, jak powoli skraca się między nimi dystans, zarówno ten fizyczny, liczony kilometrami, jak i psychiczny. Nie chodzi jednak o to, że stają się sobie bliżsi. Bohaterowie Bellovej nie potrafią zbudować czułej intymności, opartej na zrozumieniu i akceptacji. Zaczyna ich natomiast łączyć opowieść oraz pewna wspólnota losu, naznaczonego stratą i bezsilnością. Narastającą pustkę próbują wypełnić brutalną fizyczną miłością, którą autorka opisuje dosadnym językiem i z posępną precyzją.

Komunikacja, której zasadą jest okrucieństwo, staje się również codziennością bohaterów „Truposza”. Zwłaszcza narratorki, której obszerny monolog stanowi oś fabularną. Jej fatalna relacja z opresyjnym, przemocowym (zwłaszcza w kontekście seksualnym) i tok-



MARTA REŽOVÁ / MATERIAŁY PRASOWE

BIANCA BELLOVÁ (ur. 1970) – czeska autorka i tłumaczka, zdobywczyni krajowych i europejskich nagród literackich. Jej debiutancka powieść „Sentimentální román” została wydana w 2009 r., następną książkę, „Mrtvý muž”, opublikowała w 2011 r. – obie opowiadają o życiu w postkomunistycznym kraju, gdzie spotyka się cienie z przeszłości. Trzecia powieść Bellovej, „Celý den se nic nestane” ukazała się w 2013 r. Kolejna, „Jezero”, (pol. wyd. „Jezioro”, 2018), zdobyła najważniejszą w Czechach nagrodę literacką – Magnesia Litera w kategorii „książka roku”, a także Nagrodę Literacką Unii Europejskiej 2017 oraz nagrodę studencką Česká kniha. Polskie tłumaczenie „Jeziora” znalazło się na krótkiej liście do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. Najnowsza powieść Bellovej „Mona” (2019) ukaze się u nas w Wydawnictwie Afera (październik 2020). Autorka mieszka w Pradze z mężem muzykiem Adrianem T. Bellem i trojgiem dzieci.

sycznym mężczyzną, który w wyniku nieszczęśliwego wypadku zostaje zdany na jej łaskę, doskonale ilustruje inklinacje czeskiej autorki do łączenia w dynamiczny trójkąt wątków miłosnych oraz tych związanych ze śmiercią i stratą.

To właśnie strata, owo nieustanne odpadanie fragmentów rzeczywistości i odchodzenie bliskich, okazuje się w gruncie rzeczy jedynym stałym i powtarzalnym elementem życia Namiego, bohatera „Jeziora”. Mona zaś – pielęgniarzka – wchodzi w rolę mitycznej przemycniczki zmarłych, gdy pomaga wrócić do domu ukochanemu, którego nie udało jej się uratować. Miłość u Bellovej rozwija się zawsze w cieniu śmierci.

Współczesna rodzina

Relacje damsko-męskie to tylko wyimek plątaniny ludzkich uwikłań, o których czeska autorka opowiada. Na tym rozległym literackim poligonie doświadczalnym lubi przyglądać się zwłaszcza rodzinom. W jednym z wywiadów z przekąsem stwierdziła, że każda z nich kryje w swojej szafie trupa w postaci przypadków szaleństwa. Główna bohaterka „Truposza”, Hana, sama zmagająca się ze stanami lękowymi, ma brata bliźniaka, który cierpi na schizofrenię, jej matka natomiast trafia do szpitala psychiatrycznego w stanie głębokiej depresji.

Historia tej rodziny jest zresztą pełna dziwnych zdarzeń i nietuzinkowych po-

staci. Ożywa we wspomnieniach bohaterki, rozciągając się od lat 50. po współczesność. „Dziadka powiesili w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym” – wyznaje Hana i prowadzi nas przez zawiłości czechosłowackiej historii i obyczajowe perturbacje własnej kroniki rodzinnej, naznaczonej coming outem ojca i romanssem matki z sowieckim szpiegiem.

Rodzice w opowieściach Bellovej zdają się wyłączeni ze swoich ról. Matki prezentują homeopatyczne ilości instynktu macierzyńskiego, zapominając np. o własnych dzieciach bawiących się na placu zabaw („Truposz”) czy też szantażując je emocjonalnie kolejnymi próbami samobójczymi („Powieść →

→ sentymentalna”). Ojców zaś albo nie ma („Jezioro”), albo są nieobecni duchem (niepogodzony z własną orientacją seksualną nauczyciel z „Truposza”), albo też znikają dosłownie, pozostawiając bliskich z niemożliwą do zagojenia raną (Esterházy w „Nic się nie dzieje przez cały dzień”). Jeśli zaś są, to ich obecność naznaczona jest przemocą i okrucieństwem.

Jedyną osobą zawsze naprawdę bliską jest babcia. Seniorki rodu w opowieściach Bellovej są silne, vitalne i zasadnicze, czułe i szorstkie. Zastępują rodziców, stoją na straży tradycji i ratują życie – dosłownie i w przenośni. O tym przedziwnym panoptikum, o rodzinach naznaczonych bliznami i o ich losach czeska pisarka opowiada szorstko. Potrafi jednak zrobić to również z czułością, może nawet wyrozumiałością. Porzucający rodzinę ojciec zostawia córce ślad swoich uczuć w postaci jej imienia wymalowanego na wspólnie składanej łódce. Pełne napięć relacje matek i córek wyrastają w gruncie rzeczy z rozpaczliwej potrzeby nawiązania dialogu. A walczące ze sobą rodzeństwo, w chwili eskalacji konfliktu, powraca do tajnego bestiariusz, wymalowanego w dzieciństwie na tylnej ścianie szafy. Pełne inwencji rysunki przypominają o tym, że tego, co ich łączy, jest więcej, niż tego, co ich dzieli.

Konanie świata

„Teraz jest cicho, jakby wszystko umarło”. Te słowa kieruje do głównego bohatera powieści „Jezioro”, Namiego, jego odnaleziony po latach dziadek. Nami wrócił do Borosu, niewielkiej osady rybackiej nad jeziorem, do miejsca, z którego przed laty wyruszył w poszukiwaniu matki. Jezioro wysycha. Mieszkańcy cierpią na egzemy wywołane wydobywającymi się z niego toksycznymi oparami. Porządku pilnuje rosyjskie wojsko. Mężczyźni łowią ryby i piją, kobiety piją i czekają na powracających z połowu mężczyzn. Na świat przychodzą zdeformowane dzieci. Ludzie komunikują się poprzez przemoc werbalną i fizyczną (w tym seksualną).

To świat Namiego, porzuconego przez matkę i wychowanego przez jej rodziców. W osadzie rozkładowi ulegają nie tylko więzi społeczne, ale i przestrzeń jako taka – znikające jezioro (Bellová zainspirowała tragiczne dzieje Jeziora Aralskiego) znamienuje bowiem katastrofę ekologiczną na skalę globalną, do złudzenia przypo-

■ Seniorki rodu w opowieściach Bellovej są silne, vitalne i zasadnicze, czułe i szorstkie. Zastępują rodziców, stoją na straży tradycji i ratują życie – dosłownie i w przenośni.

■ W świecie Bellovej, świecie na skraju katastrofy, balansującym między tym, co naturalne, a tym, co społeczne, między prymitywnym a ucywilizowanym, w natężeniu obrzydliwości i tryumfie brzydoty powraca pytanie o sens.

■ Bellová chętnie wysyła swoich bohaterów w podróż. Nie zawsze jest to podróż w sensie dosłownym. Docieraniu do celu zawsze towarzyszy o wiele istotniejsza wędrówka: w głąb siebie i wzdłuż alei wspomnień.

minającą to, z czym mierzymy się dziś w wielu miejscach globu. Dystopijna opowieść jest więc również metaforą współczesności, tym brutalniejszą, że autorka konsekwentnie pisze w czasie teraźniejszym. Czyny z nas naocznych świadków konania świata.

Podobna apokalipsa ma miejsce w świecie Mony, bohaterki najnowszej powieści. Pielęgniarka przywołuje ją mgliście, dzieląc się opowieściami o swoim życiu z młodym pacjentem po amputacji, Adamem. I w „Jeziorze”, i w „Monie” pisarka udatnie rozmyśla o historycznych. Katastrofa, która stała się udziałem mieszkańców Borosu i samego Namiego, może być każdą katastrofą, a przewrót religijno-militarny ze świata Mony, w wyniku którego zamordowani zostają jej rodzice, to w gruncie rzecz dowolna zmiana społeczna, której konsekwencją jest rezygnacja z przestrzegania praw człowieka, zwłaszcza zaś dyskryminacja kobiet. I tu, i tu rozpada się tradycyjne społeczeństwo, a do głosu dochodzi opresyjny system.

Losy Mony i Namiego naznaczone są traumą, która ich uformowała. Oboje wyrastają z bólu, straty i samotności. Każde z nich jednak radzi sobie z tym inaczej. Mona snuje swoje historie niczym Szeherazada i – tak jak córka wezyra – przy pomocy opowieści próbuje oddalić śmierć. W tym przypadku wszelako nie swoją, lecz ukochanego. Nami nie umie opowiadać. Opowieść opowiada Namiego. Surowa i lakoniczna narracja oddaje sposób myślenia bohatera. Im bardziej Nami dojrzewa, tym później przedstawiana jest rzeczywistość. Ale – paradoksalnie – tym oczywistszy staje się jej niechybny rozkład.

W świecie Bellovej, świecie na skraju katastrofy, balansującym między tym, co naturalne, a tym, co społeczne, między prymitywnym a ucywilizowanym, w natężeniu obrzydliwości i tryumfie brzydoty powraca pytanie o sens. W pierwszej chwili odpowiedź nasuwa się sama: nic nie ma znaczenia. Nami i Mona udowadniają jednak, że w tej wielkiej ciszy nie wszystko umarło, że może tym, co zostało, jest pragnienie bliskości i nieporadnie, niezręcznie ofiarowywana czułość.

Ludziom w drodze

Takim ludziom Bianca Bellová zadedykowała „Jezioro”. Książka rozpada się na cztery rozdziały, których nazwy śledzą

cykl życiowy owadów (jajo, larwa, poczwarka, imago). Nami jak owad ulega kolejnym metamorfozom, aż osiąga formę dojrzałą, zyskuje świadomość. Odbywa podróż inicjacyjną, która tworzy oś całej fabuły.

Również „Mona” spięta jest klamrą wędrówki. W pierwszej scenie bohaterka przywołuje wspomnienie z dzieciństwa, w którym jako mała dziewczynka opowiada wypasanemu przez siebie zwierzęciu o przemytniku zmarłych. To ktoś, kto umarłym z dala od domu pomaga do niego wrócić, by mogli zaznać spokoju. W ostatniej scenie zaś sama przejmując rolę owej przemytniczki. Odprowadzanym zmarłym jest jej ukochany.

Bellová chętnie wysyła swoich bohaterów w podróż. Nie zawsze jest to podróż w sensie dosłownym. Przemieszczaniu się z miejsca na miejsce albo docieraniu do celu zawsze towarzyszy o wiele istotniejsza wędrówka: w głąb siebie i wzdłuż alei wspomnień. Podróż jest więc za każdym razem doświadczeniem dotkliwym – fizycznie, emocjonalnie i intelektualnie. Bohaterowie poddają próbie siebie i świat oraz własną pamięć. Eda z „Powieści sentymentalnej” przemierza pół republiki, by zawiadomić żonę pracownika jego korporacji o śmiertelnym wypadku męża na imprezie firmowej. Jedzie ze świadomością, że za chwilę na zawsze złamie życie jakiejś rodzinie, sam zaś próbuje zrozumieć, jakie wydarzenia doprowadziły go do tego miejsca i koszmarnego zadania, którym został obciążony.

Wędrówki u Bellovej nie muszą być jednak dalekie. Hana z „Truposza” spaceruje po praskim parku, snując monolog, którego odbiorcami jesteśmy my oraz jej ukochany oprawca, niegdyś okrutnik, teraz pacjent w stanie wegetatywnym. Kolejne miejsca spaceru aktywizują kolejne obszary jej pamięci. Nie zawsze spójnie i chronologicznie.

W podróż ze swoimi historiami wybrała się również sama autorka. Porzuciwszy mocno osadzoną w czasie i przestrzeni współczesność trzech pierwszych książek, swoich bohaterów zabrała na koniec świata, gdzie rzeczywistość rozmywa się w swoich konturach, a opowieści stają się przypowieściami.

Autorka – instrukcja obsługi

Bellová nie czuje się pisarką. Dla niej to zbyt zinstytucjonalizowane pojęcie. Woli mówić o sobie „autorka”. Cieszy się, że pisanie nie musi zarabiać na życie. To daje jej niezbędną wolność. Jak twierdzi – pisze wtedy, kiedy chce i kiedy ma coś do powiedzenia. Nie za wszelką cenę. Nie dla każdego. Nie przepada za spotkaniami autorskimi i nie zawsze lubi udzielać wywiadów.

Jej introwertyczna natura pozwala jej jednak nieustrudzenie snuć opowieści. Tematem może być wszystko. Wystarczy jedynie bacznie obserwować rzeczywistość i – co najważniejsze – uważnie nasłuchiwać. Wspomina, iż „Truposza” pisała spacerując z dzieckiem po słynnym praskim parku – Riegrovych Sadach. Sytuacje, których była świadkiem, i ludzi, których spotkała, przemyciła później do książki. Do jej tekstów trafiają niekiedy również historie przyjaciół i znajomych. Przyznaje, że ostatnio stara się ukrócić ten złodziejski proceder.

Często ma wrażenie, że pisanie jest dla niej procesem mechanicznym – wyciąganiem rzeczy z głowy poprzez palce na papier. Przypomina to odkręcanie kurka czy wywoływanie filmu. Zdjęcie już tam jest, wystarczy sięgnąć po wywoływacz i utrwalacz. Jej przyjaźń z czytelnikami jest odrobinę szorstka. Nie zakłada możliwych odczytań swoich tekstów, bo boi się, że to uruchomiłoby w niej jakiś mechanizm autocenzury.

Uczciwość nakazuje jej ofiarować czytelnikom opowieść. Coś, w czym zobaczą samych siebie, i coś, co pozwoli im czegoś się o sobie dowiedzieć. Nie chce jednak niczego ułatwiać. Uwielbia ironizować, ale pozwala sobie też na kategoryczne poddanie się własnej opowieści. Ta bowiem zaczyna żyć własnym życiem i czasem umożliwia autorce, by sama się w niej przejrzała. Nawet jeśli to, co zobaczy, będzie przerażające. To ryzyko, z którym musi się liczyć każda opowiadaczka.

© ALEKSANDRA HUDYMAČ

20 października z **BIANĄ BELLOVĄ** na Festiwalu Conrada porozmawia Aleksandra Hudymač.

Polowanie w rodzinie

TOMASZ SWOBODA

**U Adeline Dieudonné
rodzinna przestrzeń
staje się terenem
polowania
i polem ludobójstwa
w miniaturze,
gdzie zwierzyną łowną
i ofiarą – w symbolicznym
i fizycznym wymiarze
– są kolejni członkowie
rodziny.**

Jeśli komuś zdarzyło się być w 2018 r. w Paryżu, miał szansę natknąć się na okładkę debiutanckiej powieści Adeline Dieudonné, „La vraie vie”. Wielkie oko lwa wyglądające z okna domu o klinkierowej fasadzie, otoczonego równiutko przyszyronym trawnikiem i nie mniej zadbanymi krzewami. Baśń dla dzieci? Egzystencjalistyczny traktat o konflikcie natury i kultury? Autobiografia 36-letniej wówczas autorki?

Późne wkroczenie w świat literatury zwiastowało coś w rodzaju mocnego wejścia: albo faktycznie kumulowane przez trzy dekady emocje i przeżycia znalazły wreszcie ujście w bezpardonowym rozprawieniu się z własną przeszłością, albo chociaż – może to nawet lepsza opcja dla wydawcy? – profesjonalnie przygotowana pisarka, sprawnie pociągając za gotowe przecież sznureczki literackiego sukcesu, wyrzuciła *bestseller*.

Kampania reklamowa w paryskim metrze zdawała się wskazywać na to drugie rozwiązanie, potwierdzone wyróżnieniami dla poczytnych książek: *Première Plume*, *Filigranes*, *Prix du Roman FNAC*, *Renaudot des Lycéens* czy *Grand Prix des Lectrices Elle*. Adeline Dieudonné – belgijska architektka wnętrz i aktorka, twórczyni i odtwórczyni monodramu „Bonobo Mousaka”, gorzkiej refleksji nad przyszłością świata, w którym przyjdzie żyć jej dwóm córkom – swoją pierwszą powieścią ewidentnie rozbiła bank.

ADELINE DIEUDONNÉ (ur. 1982)

– belgijska pisarka (występuje również jako stand-uperka). Jej wydana w 2018 r. debiutancka powieść „Prawdziwe życie” zrobiła furorę we frankofońskim świecie literackim, zdobywając kilkanaście prestiżowych nagród (w tym m.in. nagrodę Fnac za powieść, belgijską nagrodę Victor-Rossel, francuską Nagrodę Goncourtów) i rozchodząc się w nakładzie przeszło dwustu tysięcy egzemplarzy. „Prawdziwe życie” opowiada burzliwą historię rodziny żyjącej pod dyktando psychopatycznego ojca, którego główną pasję stanowi myślistwo.



TRISTAN REYNAUD / SIPA / EAST NEWS

Zwierzyna łowna

→ Historia, którą opowiada w „Prawdziwym życiu”, przełożonym na polski przez Beatę Geppert, nie należy jednak do lekkich, łatwych i przyjemnych. Ba, można by nawet, przy odrobinie dobrej czy złej woli, faktycznie uznać ją za rodzaj autobiograficznej spowiedzi, bolesnego wspomnienia o traumie życia w, jak to się eufemistycznie określa, rodzinie dysfunkcyjnej. Opowieść prowadzona raczej z krótkiej perspektywy czasowej przez pierwszoosobową, bezimienną narratorkę ma wiele cech, do których przyzwyczaiła nas współczesna literatura, nie tylko francuskojęzyczna: sięgnięcie do świata dzieciństwa z jego

radościami i (głównie) dramatami, konstrukcja narracyjna ocierająca się o pakt autobiograficzny, mówienie o sprawach, którymi chętnie żywią się media, nasyconie tekstu emocjami i szeroko rozumiana troska o prostotę przekazu.

Dieudonné z niemalą sprawnością prowadzi intrygę osnutą wokół rodzinnego dramatu rozgrywającego się na przestrzeni pięciu lat w dość posępnej scenerii osiedla Pokazowego na belgijskich przedmieściach. Mówiąc dokładniej, owe pięć lat ogranicza się właściwie wyłącznie do okresów wakacyjnych, w czasie których na początku 10-letnia, na końcu już 15-letnia bohaterka prowadzi walkę o własną autonomię, o swojego brata, lecz

w końcu także o przeżycie. Nietrudno się domyślić, dlaczego o taką stawkę toczy się tu gra.

„Na ścianach w ramach wisiały zdjęcia ojca pozującego ze strzelbą w dłoni nad ciałami martwych zwierząt. Zawsze stał w tej samej pozie, ze stopą na zwierzęciu, z jedną ręką wspartą na biodrze, drugą zwycięskim gestem wznoszącą broń, przez co bardziej przypominał napakowanego adrenaliną członka jakiejś buntowniczej milicji w ludobójczej akcji niż ojca rodziny”. Portret ten, zamieszczony już na pierwszej stronie „Prawdziwego życia”, wisi w ostatnim z pomieszczeń, o których mówi *incipit* powieści: „W domu były cztery pokoje. Mój, mo-

jego młodszego braciszka Gilles'a, rodziców i trupów".

Pokój trupów i ojciec jako naładowany adrenaliną bojówkarz od samego początku ustawiają odbiór utworu: w opowieści o uzależnionym od polowań, terroryzującym rodzinę tyranie nie będzie miejsca na niuanse i wyrafinowaną psychologię. Przestrzeń rodzinnego domu staje się tu terenem polowania i polem ludobójstwa w miniaturze, gdzie zwierzęcą łowną i ofiarą – zarówno w symbolicznym, jak i fizycznym wymiarze – są kolejni członkowie rodziny.

Najbardziej, by tak rzec, naturalną „zwierzęcą” jest w tej rodzinie matka. Nawet przez córkę nazywana amebą, jest uosobieniem ofiar patriarchalnego porządku świata. Milcząca, zajmująca się domem, poniewierana, bita i ciemiona, zredukowana do półprzezroczystej fizycznej obecności, a jako postać literacka jakby sklecona z raportów na temat przemocy w rodzinie, matka bohaterki jest zwierciadłem, w którym młoda dziewczyna ogląda siebie za kilkanaście czy parędziesiąt lat: a właściwie zwierciadłem-ostrzeżeniem, negatywnym modelem wskazującym wektor ucieczki.

Dojrzewanie nastolatki jest w tym wypadku – powieściowym, ale i społecznym – również dojrzewaniem do bycia ofiarą. Dostrzeganym przez narratorkę i jej otoczenie cielesnym przemianom towarzyszą niepokojące oznaki zainteresowania ze strony ojca: nie seksualnego – „Prawdziwe życie” nie jest opowieścią o kazirodzym molestowaniu – lecz jak gdyby „łowieckiego”. To, co mogłoby być tylko mniej lub bardziej udaną metaforą rodzinnej przemocy, zostaje przez belgijską autorkę wyzyskane dosłownie: w jednym z paru zapadających w pamięć epizodów powieści dziewczyna uczestniczy nocą w myśliwskiej „zabawie” polegającej na tym, że jako zwierzęca łowna ma uciekać po lesie przed kolegami ojca i własnym bratem.

Naznaczeni

Młodszy brat, Gilles, egzemplifikuje tu tradycyjne rozróżnienie na wychowanie męskie i kobiece. Otrzymawszy od ojca na ósme urodziny karnet na strzelnicę, zostaje symbolicznie przyjęty w poczet lepszych istot – tych, które w okresie, gdy nie mogą akurat realizować jednej ze swoich testosteronowych pasji, mają

■ Jeśli „Prawdziwe życie” jest powieścią inicjacyjną, to jest to powieść inicjacyjna epoki TikToka, w prostych, krótkich sekwencjach próbująca zdać relację z emocji towarzyszących dorastaniu.

prawo pić whisky, oglądać telewizję i rozbijać głowę żony o stół. W chłopięcej wersji przyjmuje to na razie postać męczenia, potem mordowania zwierząt domowych – szynszyl, kotów i kóz – włącznie z nagrywaniem dźwięku tych tortur.

Tak, brat narratorki jest postacią wyjętą z powieści Stephena Kinga tudzież z seriali o zombie (obie te aluzje pojawiają się na kartach powieści). Dziwny, na poły letargiczny stan, w jakim Gilles znajduje się przez większość czasu, ma swoje źródło w wydarzeniu, które silnie naznaczyło oboje dzieci, lecz przede wszystkim jego: to śmierć objazdowego sprzedawcy lodów, spowodowana wybuchem syfonu z bitą śmietaną. Epizod ten z jednej strony pokazuje, że Dieudonné łamie konwencję powieści realistycznej, sięgając po groteskę czy, na poziomie konstrukcji postaci, karykaturę, z drugiej zaś wprowadza zalecane na kursach twórczego pisania „pęknięcia”, naruszające z kolei czarno-biały obraz świata, gdyż zakorzeniające „zło” w wydarzeniach z przeszłości.

Dotyczy to także postaci ojca, płaczącego przy piosence Claude'a François: „Często się zastanawiałam, dlaczego płacze. Zwłaszcza przy tej piosence. Wiedziałam, że nie znał swojego ojca, ale nikt mi nie wyjaśnił, dlaczego. Czy umarł? Czy go porzucił? Czy nie wiedział, że ma syna? W każdym razie ta nieobecność wypaliła jakąś dziurę w piersi ojca, pod samą koshulą. Nikt nie potrafił jej zaleczyć. Dziura wciągała i miażdżyła wszystko, co się do niej zbliżyło. Dlatego nigdy nie brał mnie w ramiona. Rozumiałam i nie miałam do niego pretensji”.

Obecna nie tylko w tym fragmencie zgrzebna powieściowa psychologia, ma-

jąca być może odpowiadać mentalności nastoletniej dziewczynki, schodzi w „Prawdziwym życiu” na dalszy plan, przesłonięta wydarzeniami w rodzaju eksplozji syfonu czy nocnego polowania, a także rozmaitymi strategiami ucieczki, jakie obierają poszczególni członkowie rodziny. O ile ojciec ucieka przed własną przeszłością w przemoc, a Gilles w dręczenie zwierząt, o tyle dla matki ucieczką jest opieka nad zwierzętami, przede wszystkim hodowanymi na podwórku kozami. Sugerowane przez francuską, ale i polską okładkę książki starcie natury z kulturą stanowi rodzaj wszechobecnej matrycy, sama natura zaś staje się tu etycznym i ontologicznym punktem odniesienia: „Lubiłam przyrodę i jej idealną obojętność. Jej staranne przestrzeganie planu przeżycia i reprodukcji niezależnie od tego, co się działo ze mną. Ojciec niszczył matkę, a ptaki miały to w nosie. Uważałam to za kojące”.

Choć główna bohaterka również buduje sobie mały azyl poprzez adopcję zwierzęcia – jest nim pies o imieniu Dowka, nazwany tak na cześć Marii Skłodowskiej-Curie – jej podstawowa droga ucieczki wiedzie, także w nawiązaniu do noblistki, przez naukę. Motywowana baśniowym marzeniem o zbudowaniu maszyny mogącej – jak w „Powrocie do przyszłości” Roberta Zemeckisa – cofnąć czas, tak aby uratować łodźiarza i tym samym brata, pasja do fizyki, jakiej oddaje się narratorka, wyznacza tyleż magiczny, co naukowy właśnie wątek w rozwoju akcji i samej bohaterki. Wątek niepozabawiony zresztą znowu przemocowego akcentu: chodząca w masce żona profesora Younga (który w oryginale nosi nazwisko Pavlović) padła ofiarą ataku po tym, jak założyła organizację wspierającą kobiety maltretowane przez mężów. W takich właśnie okolicznościach młoda nastolatka wchodzi w „prawdziwe życie”.

Powieść z epoki TikToka

Powieść Dieudonné wpisuje się więc wyraźnie w model powieści inicjacyjnej. Nauka życia nie prowadzi tu, rzecz jasna, przez szkolne mury ani, jak chciałby ojciec dziewczyny: przez okrutną imitację i zarazem parodię rytuału wtajemniczenia, jaką jest nocna ucieczka przez las. Przestrzeni inicjacji są raczej pokryty rodzinego domu – także te pokryte głowami wypchanych zwierząt – i rozchodzące się dokoła ścieżki. Jedne wiedą do

→ enigmatycznej Moniki, będącej figurą czarodziejki, inne – do profesora i jego żony, a jeszcze inne – do pary młodych ludzi i ich malutkich dzieci, którymi opiekuje się bohaterka, zarabiając po kryjomu na prywatne lekcje fizyki. To zresztą właśnie z młodym ojcem-sąsiadem przejdzie narratorka inicjację seksualną, zaliczając tym samym obowiązkową, symboliczną rysę na swojej bohaterskiej biografii, zanim w ostatniej scenie książki zaliczy już niesymboliczną rysę w walce wręcz z despotycznym ojcem, co stanowi interesującą wariację na temat założycielskiego dla całych kultur, ale i pojedynczych męskich biografii, ojcobójstwa.

Powieść inicjacyjna nie wyczerpuje jednak repertuaru form gatunkowych, z jakich korzysta Adeline Dieudonné. Dominujący wątek przemocowy powinien pociągać za sobą konwencję realistyczną, lecz ta, jak widzieliśmy, zostaje podważona przy pomocy elementów baśniowych, fantastycznych i groteskowych. Czytelnik szukający prawdy psychologicznej czy analizy społecznej, o którą motyw dysfunkcyjnej rodziny aż się prosi, będzie srodze zawiedziony. Zręby tych ważnych składowych nowoczesnej powieści pojawiają się wprawdzie – wątek społeczny choćby w obrazie osiedla i jego mieszkańców, a także w reperkusjach zwolnienia ojca z pracy – lecz tylko w postaci szczątkowej, podporządkowane głównemu zwornikowi intrygi, jakim jest narastanie przemocy i przesączanie się jej do życia poszczególnych postaci. Jeśli bowiem „Prawdziwe życie” jest powieścią inicjacyjną, to jest to powieść inicjacyjna epoki TikToka, w prostych, krótkich sekwencjach próbująca zdać relację z emocji towarzyszących dorastaniu, a także – co w tej konwencji skazane było na porażkę – z kondycji kobiet, nie tylko młodych, w świecie późnej nowoczesności.

Kulturowe wybory, jakich dokonuje Dieudonné, są jednak interesujące, wymowne, a może i ważne dla zrozumienia języka, jakim próbuje się dziś opisywać ów świat. Wspomniałem już o filmie Zemeckisa, o powieściach Stephena Kinga – będących dla „Prawdziwego życia”, mimo wszystko rodzinnego thriller, niedoścignym wzorem – czy też o figurze zombie. Do tego zestawu dodać można bez wahania harlequina, w których zaczytuje się bohaterka, jak również – z nieco innego porządku – utwór „Du

■ Bardziej może niż rodzinnym thrillerem powieść Dieudonné jest baśnią czy wręcz bajką. Może to historia dla dzieci i młodzieży: atrakcyjna i przerysowana; atrakcyjna, bo przerysowana.

Has” grupy Rammstein, wedle słów autorki towarzyszący jej nieustannie przy pisaniu powieści. W wyliczeniu tym nie chodzi mi o to, że układem odniesienia jest tu kultura popularna: to zjawisko tyleż banalne, co oczywiste, a ignorować popkulturę decydują się dziś chyba tylko nadęci literaci zamknięci w coraz mniej licznych wieżach z kości słoniowej.

Pocieszenie, jakie daje fikcja

Czym innym jest jednak korzystanie z przebogatych zasobów współczesnej kultury medialnej, a czym innym – jak mi się zdaje – redukcja języka literackiego do środków podsuwanych przez same media. Przy czym język rozumiem tutaj możliwie szeroko – jako wszelkie środki wyrazu, także tematykę czy konstrukcję.

W książce „Dernières nouvelles du spectacle (ce que les médias font à la littérature)” [„Ostatnie wieści ze spektaklu (co media robią literaturze)”] szwajcarski teoretyk literatury Vincent Kaufmann zwraca uwagę na ważną cechę współczesnej literatury, polegającą na uleganiu wpływom nowych mediów, a przejawiającą się choćby w nachalnej autobiograficzności, przesadnej emocjonalności czy też w tytułowej spektakularności. Nie miejsce tu na szersze przedstawianie jego uwag, o których wspominam dla tego, że „Prawdziwe życie” jest doskonałym przykładem takiej schematyzacji i stereotypizacji języka literackiego. Przejawia się to głównie w nagromadzeniu wizualnych i językowych klisz, a także w prowadzeniu czytelnika za rękę, tak aby przypadkiem nie przegapił jakiegś ważnej wskazówki, jak choćby w scenie przemiany chłopca: „Gilles padł na ko-

lana. Jego wargi drżały. Pogłaskał martwe futro i objął szyję hieny. Jego twarzyczka znalazła się tak blisko ogromnej paszczy zwierzęcia. Po chwili zaczął lkać, a jego drobnym jak u wróbelka ciałem wstrząsały dreszcze przerażenia. Niczym pękający ropień groza wybuchła i popłynęła mu po policzkach. Zrozumiałam, że to dobry znak, coś w nim drgnęło, maszyna poszła w ruch”.

Ale fragment ten wskazuje też może na coś innego niż mimowolne klisze: krótkie zdania mówiące o emocjach, łzach i zwierzętach, trafnie chyba dodane przez tłumaczkę orzeczenia tam, gdzie w oryginale są równoważniki zdań, a przede wszystkim zdrobnienia (twarzyczka, wróbelek) – wszystko to uzmysławia, że bardziej może niż rodzinnym thrillerem jest „Prawdziwe życie” baśnią czy wręcz bajką, współczesną wersją Tomcia Palucha albo Jasia i Małgosi, których motywy zresztą przejmują i powtarza. Może to nie powieść o kondycji kobiet w patriarchalnym świecie, tylko historia dla dzieci i młodzieży: atrakcyjna i przerysowana; atrakcyjna, bo przerysowana.

Nie bez powodu Adeline Dieudonné, belgijska debutantka, otrzymała za nią nagrodę licealistów. A jej bohaterka, niczym Bruno Bettelheim albo inny Paul Ricoeur, wyjaśnia bratu przerażonemu legendą o pobliskim Lesie Małych Wisielców: „Historie układa się po to, by zasiać w nas lęk, dzięki czemu jesteśmy pewni, że w prawdziwym życiu nic takiego się nie wydarzy”.

Określenie, które zawędrowało z tego zdania do tytułu całej powieści, ma tu, rzecz jasna, wydźwięk ironiczny: koszmarny prawdziwego życia znacznie przerosł legendę opowiedzianą przez Monikę, tak jak ojciec-ogr okaże się straszniejszy od baśniowego smoka. Ale zdanie to odnieść też można do „Prawdziwego życia” jako tekstu literackiego: nie daje on wprawdzie gwarancji, że w prawdziwym życiu nic takiego się nie wydarzy, ale przy pomocy budzącej grozę opowieści próbuje mówić o starej zasadzie rządzącej życiem ludzi piśmiennych: o pocieszeniu, jakie daje fikcja.

© TOMASZ SWOBODA

23 października z **ADELINE DIEUDONNÉ** na Festiwalu Conrada porozmawia Tomasz Swoboda.

wylicytuj portret Conrada

Wylicytowaną kwotę przeznaczymy na rozwój Festiwalu Conrada, którego pomysłodawcą i współorganizatorem, wspólnie z Miastem Kraków i KBF, jest Fundacja Tygodnika Powszechnego.

Dzięki temu zwycięzca bądź zwyciężczyni aukcji nie tylko stanie się właścicielem cennego dzieła sztuki – portretu najchętniej czytanego na świecie pisarza z Polski autorstwa krakowskiego artysty transmedialnego Albina Talika – lecz również wesprze największy festiwal literacki w Polsce.

Więcej szczegółów
w następnym wydaniu
„Tygodnika Powszechnego”

NIEPRYZYWOITE PIOSENKI

JOHN PORTER, MUZYK:

Skończyłem szkołę średnią i wróciłem do domu.
Rodzice już byli w trakcie rozwodu. Nasza mama okazała się
party girl, lubiła imprezy, alkohol, mężczyzn.
Przeżyłem szok, bo przecież mama to mama.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Twój pierwszy w życiu punkt zwrotny?

JOHN PORTER: Urodziłem się z zaćmą. Do szóstego roku życia praktycznie nie opuszczałem szpitala – operacja za operacją, a ja wciąż widziałem źle. Działo się to kilka lat po wojnie, medycyna była wtedy w powijakach, lekarze nie wiedzieli właściwie, co mi dolega i jak to leczyć. Czas w szpitalu spędzałem głównie sam.

A jak wychodziłeś ze szpitala?

To bawiłem się poza domem, jak wtedy wszystkie dzieci. Gdy o tym myślę, włosy mi się jeżą, bo robiłem niebezpieczne rzeczy.

Jakie?

Jeździłem na rowerze.

I to jest niebezpieczne?

Jeździłem ledwo widząc, ale bardzo szybko. Poza tym choroba w latach 50. to był wstyd.

Wstyd?

Dziś trudno to pojąć, ale wówczas noszenie okularów przez dziecko to już był wstyd. Ostatnią operację oczu przeszedłem 15 lat temu. Teraz widzę lepiej, ale nieperfekcyjnie. Nie możesz odkręcić tego, co

mózg zakoduje, a potem dyktuje. Pierwsze dwa dni po operacji widziałem dużo lepiej, a później, powoli, mózg przesterował się na stare tory widzenia. Jeżeli jesteś bardzo młody, to idziesz na trening i masz szansę odzyskać widzenie, ale ja jestem stary.

Z oczami wiąże się kolejny punkt zwrotny: rodzice wysyłają mnie jako sześciolatka do internatu. Uznają, że z tak słabym wzrokiem w zwykłej szkole nie dam sobie rady.

Dałbyś?

Dałbym, siedziałbym blisko tablicy. To był ich największy rodzicielski błąd. Internat angielski był męczarnią: pobudka o 6.30, gimnastyka na zewnątrz bez względu na pogodę, bicie bambusem po tyłku, linijką po łapach. →

JOHN PORTER (ur. 1950 r. w Cardiff) jest muzykiem, kompozytorem i tekściarzem, w tym roku celebrytuje 70. urodziny oraz 40-lecie wydania płyty „Helicopters”. Od połowy lat 70. mieszka w Polsce, początkowo grał z Maanamem, potem założył swój zespół Porter Band. W okresie największej popularności nieoczekiwanie go rozwiązał i zdecydował się pozostać artystą z „muzycznego offu”.





→ Często obrywałeś?

I za cokolwiek. Dyrektor szkoły dodatkowo moczył kijek w wodzie, żeby był bardziej sprężysty. Regularne gnojenie. Najlepszym człowiekiem w tym sadystycznym gronie był pan od plastyki – miał długie włosy, nosił sandały, pierwotny hipis. W porządku był jeszcze nauczyciel od matmy, tyle że ja z tego przedmiotu byłem do luftu. Matematyk zabierał na weekend do domu nawet kilkoro dzieci. Bo co robi się w weekend w internacie? Możesz włączyć się po okolicach albo grać w piłkę nożną. Ileż można...

Można jechać na weekend do domu.

Ja miałem za daleko. Dwa, trzy razy w semestrze rodzice zabierali nas do domu na tzw. wolny weekend. I tyle. Jaśne, miałem kolegów, ale nasze relacje opierały się na konkurencji. Każdy starał się udowodnić, że jest lepszy od drugiego.

Ty też?

Każdy. Ja byłem świetny w sporcie, przede wszystkim w bieganiu na średnie i długie dystanse. Po dziewiętnastej, kiedy odrobiłem lekcje, mogłem biegać po pustych wiejskich ścieżkach: nareszcie byłem sam, a wokół panowała ciemność.

To bieganie w samotności było takie ważne?

Zobacz: najpierw w szpitalach byłem kompletnie sam, a od szóstego roku życia prawie cały czas między ludźmi. Przywożłem do internatu swoje zabawki i nagle inne dzieci też chciały się nimi bawić. Nie rozumiałem tego, byłem zszokowany. Dlatego przez całe życie trzymam się trochę na uboczu i walczę o swoją prywatność.

Opowiedz o tym więcej.

Najbardziej to widać w próbach założenia rodziny. Brakło mi wzorców, jako dziecko nie uczestniczyłem w życiu rodzinnym, bo albo szpital, albo internat. Brata o trzy lata starszego prawie nie znałem, spotykaliśmy się sporadycznie – w święta i te wolne weekendy. Nie potrafię stworzyć rodziny, nie wiem, na czym ona polega, nie mam punktu odniesienia. Złe reaguję, gdy przekracza się moją granicę prywatności. Małżeństwa kończyły się porażkami, mimo że byłem pełen dobrej woli i starań.

Tego zawsze szkoda.

Może chodzi o to,
że wartościowe rzeczy
rodzą się w trudnych
warunkach?

**Dobry czas
to brak pomysłów.**

Miałem 17 lat gdy, skończyłem szkołę średnią i wróciłem do domu. A rodzice już byli w trakcie rozwodu. Brat opowiadał, że nasza mama okazała się *party girl* – lubiła imprezy, alkohol, mężczyzn. Przeżyłem kolejny szok, bo przecież mama to mama.

A ojciec?

Znałem go trochę lepiej, spędziliśmy więcej czasu razem. Starał się: graliśmy w nogę, taki męski *bonding*. Pochodził z Walii, do Anglii przyjechał po wojnie, za chlebem. Wychowywał mnie jako Walijszyka, w swojej pracowni – był tapingiem – trzymał flagę walijską. Nauczył mnie nawet walijskiego hymnu.

Śpiewasz go czasem?

Nie pamiętam słów. Ale jako dziecko obowiązkowo musiałem oglądać rugby, wtedy walijskie drużyny były najlepsze. Ojciec często zabierał mnie i brata do Walii. Tam jest mnóstwo zamków. Emocjonalnie był stabilny, choć mama, jak lekkie piórko, zniknęła z domu na kilka dni. Dlaczego jestem rockandrollowcem? Pewnie więcej we mnie genów matki niż ojca.

Ale to ojciec kupił Ci gitarę.

I zachęcał do grania. Ojciec początkowo był konserwatywny, a potem ożenił się po raz drugi, do tego z artystką, więc poluzował. A mama zniknęła, zerwała z nami kontakt. Potem zmarła na gruźlicę.

Dużo stracił jak na jedno młode jeszcze życie.

Ale bardzo dużo zyskałem na Uniwersytecie Sussex, to był mój kolejny punkt zwrotny. Wybrałem uczelnię blisko Londynu, a daleko od tego gówna w domu.

To był rok 1968, wybuch hipisowski, w ogóle przez cały świat szedł ferment. Londyn był centrum Europy – to w nim rodziła się wówczas moda i sztuka, stał się ważniejszy niż Paryż. Piękne czasy.

Co w nich było najpiękniejsze?

Muzyka. Grałem na tej gitarze od ojca, byłem samoukiem, nie znałem nut. U nas w domu zawsze dużo słuchało się muzyki. A w internacie w starszych klasach stworzyliśmy zespół The Dogs, graliśmy raz w miesiącu, zapraszaliśmy dziewczyny, były tańce bez alkoholu i bez miłosnych zbliżeń.

Czyli w tym internacie nie było tak najgorzej!

W Londynie, na studiach, już czasem występowałem w klubie. Co weekend odbywały się darmowe koncerty w Hyde Parku, kiedyś na małej scenie wystąpiłem koncertu Pink Floyd. Kolekcjonowałem płyty, miałem ich mnóstwo – Beatlesi, The Who, Rolling Stonesi, później Jimmy Hendrix, którego początkowo nikt nie rozumiał, ale każdy czuł, że jest niezwykły. W ogóle inaczej się wtedy słuchało muzyki – ludzie zapraszali się do domu, wystarczyło hasło: idziemy do mnie, mam „Yellow Submarine”. Więc słuchaliśmy, jarałiśmy, kręciliśmy jointy. Dziś w ten sposób ludzie już nie słuchają.

Eee, słuchają...

Kiedy ostatnio umówiłaś się z kimś na słuchanie płyty? No widzisz sama... Muzyka jest teraz używana jako *soundtrack*. A wówczas była wspólnotą. W ogóle wszystko było wspólnotą: mieszkaliśmy w komunach, wolna miłość.

Do tego wszystkiego nie pasują mi Twoje politologiczne studia.

Politologia korespondowała z tym, jak wrzało na świecie, non stop mówiło się o wojnie wietnamskiej, chodziłem na pacyfistyczne demonstracje. Ciągnęło mnie do Europy Wschodniej. Popularnym miejscem był Berlin Zachodni. Już na miejscu kupowało się wizę na jeden dzień i można było przejść na drugą stronę – do Berlina Wschodniego.

Jakie robił wrażenie?

Dziwne, bo ludzie niemili, zamknięci, podejrzliwi. Gdy w 1976 r. przyjechałem do Polski, okazaliście się zupełnie inni – otwarci, przyjacielscy, ciepłi.

Po skończeniu politologii i obronie pracy o konflikcie izraelsko-palestyńskim nie wyobrażałem sobie, że mogę zostać nauczycielem akademickim. Wyjechałem do Berlina, chciałem tam pomieszkać. Znalazłem pracę w wojsku amerykańskim przy rozdzielaniu jeźdźni, miałem pieniądze na czynsz. I właśnie w Berlinie zacząłem komponować.

Ten Berlin to był punkt zwrotny?

Byłem coraz bliżej Polski. Polska to był prawdziwy punkt zwrotny. Nie byłem emigrantem ekonomicznym, z ciekawości do was przyjechałem.

To niebawem: druga połowa lat 70., schyłek bogatego Gierka, komuniści zacieśniają swobody, gdy ktoś tylko ma możliwość, emigruje na Zachód, a Ty przyjeżdżasz, żeby pomieszkać w nędznym PRL-u.

I absolutnie tego nie żałuję. Nie zaskoczyły mnie u was nawet kartki na cukier, bo w Anglii do 1957 r. wszystko było na kartki.

To w Polsce zaczęła się moja kariera muzyczna. I to tu odnalazłem samego siebie – miałem 28 lat i już wiedziałem, co chcę robić, taki mam spóźniony refleks. To dopiero punkt zwrotny – przestajesz dryfować.

Ba!

W tamtym czasie poznałem wielu inspirujących ludzi ze środowisk twórczych i opozycyjnych. Najbardziej jestem wdzięczny Maciejowi Zembatemu, on mnie wprowadził w środowisko undergroundu, zaprosił do „Zgryzu”, audycji, którą prowadził w Trójce. Ktoś mu powiedział, że w Polsce jest Anglik, że był na jego koncercie, że fajnie gra, i Zembaty przyszedł sprawdzić, jak ten Anglik wygląda. A dalej potoczyło się naturalnie: dostałem zaproszenie na Jazz Jamboree, gdzie spotkałem się z Markiem Jackowskim. „Słyszałem, że grasz na gitarze. Może zabierzesz tę gitarę i pogramy razem” – zaproponował, a ja się zgodziłem. W zespole była też Kora, próbowała śpiewać, ale jeszcze bardzo niepewnie. Wcześniej w Maanamie grał Milo Kurtis, ale to im nie wyszło, rozstali się. Stworzyliśmy nowy Maanam uzupełniony o nazwę Elektryczny Przynic. W ten sposób zaistniałem na scenie muzycznej w Polsce, mimo że wkoło cała ta komuna. Stałem



John Porter, Lublin 1985 r.

się muzykiem zawodowym. Z Maanamem grałem prawie dwa lata.

A w maju 1979 r. obraziłeś się na Korę i Jackowskiego, bo nie pojawili się na umówionym koncercie we Wrocławiu. Warto było?

Wtedy zamiast esemesów wysyłało się telegramy. Dostałem telegram od Irka Głowackiego, naszego menadżera, że mam pojechać do Wrocławia, bo gramy koncert, a Kora i Marek nie dostali telegramu z tą informacją. Teraz myślę, że Głowacki celowo to zrobił, widział, że muzycznie z Korą i Markiem zaczęliśmy się nie zgadzać. Poza tym Kora robiła się nieznośna, coraz trudniej się z nią pracowało – ciężko jej było w szowinistycznym otoczeniu, musiała wywalczyć autonomię. Wtedy Polacy nie brali kobiet na poważnie.

Dziś też kobiety muszą walczyć o swoje.

A Kora odstawała od tłumu. Wyglądała jak Cyganka, inaczej się ubierała, była zjawiskowa. Ludzie zaczepiali ją na ulicy. Była piekielnie silną osobowością, gdy wchodziła do pokoju, zagarniała całą przestrzeń. Dziś nie ma w Polsce tak charakterystycznej wokalistki.

No, a ten Wrocław?

Z Aleksandrem Brożkiem, Kazimierzem Cwynarem i Leszkiem Chalimoniu-

kiem zakładałem Porter Band. I rezygnuję z gry w Maanamie. Marek przez wiele lat miał do mnie duży żal.

A Ty co poczułeś?

Uwolnienie: nie gram ich piosenek, gram swoje.

Pomógł mi wtedy Tomasz Tłuczkiewicz: w błyskawicznym tempie załatwił studio, ludzie zazwyczaj czekali na taką możliwość latami. A my nagrywaliśmy w cztery dni w Studiu Polskiego Radia w Opolu. I parę miesięcy później gotowa była płyta „Helicopters”.

Moja ulubiona piosenka z tej płyty to „Life” z delikatnymi solówkami basu i gitary slide.

Właśnie mija 40 lat od premiery „Helicopters”, miałem być w „rocznicowej” trasie, wszystko było załatwione, w tym Jarocin, Męskie Granie. Te plany pokrzyżowała pandemia. Dla naszej branży to dramat, szczególnie dla tych, którzy mają kredyty, małe dzieci. A tu od państwa żadnej pomocy, dziś sporo techników pracuje na budowie.

Proroczco brzmią pierwsze wersy „Life”: „Czy już masz dość zmian / czy już masz dość zmieniania”.

Zmiany są zdrowe. Może nie tak drastyczne, jak te spowodowane przez pandemię, ale i w tym można znaleźć coś pozytywnego. W czasie kwarantanny ludzie mogli robić coś, na co nigdy nie mieli czasu. Na przykład pomyśleć o rozwodzie, bo nagle odkryli, że partner nie jest aż tak wspierający, jak sądzili.

A Ty?

Lekką paranoję miałem tylko przez pierwsze dni pandemii – nie miałem maski i rękawiczek, nie mogłem wyjść z domu. A potem jak robiłem zakupy, denerwowałem się, gdy widziałem stojącą przed sklepami ochronę, przypominało to sceny ze stanu wojennego.

Jak jest teraz?

Muzycy robią, co można, w tej sytuacji. Mój zespół będzie grać bezpieczny koncert, czyli 150 ludzi po jednej stronie ulicy, po drugiej stronie ulicy może siedzieć drugie 150, obowiązkowo zachować trzeba sześć przepisowych metrów od wokalisty. To jest trudne, ale za to mam świetny zespół – jak oni odświeżająco grają stare kawałki!

→ „Helicopters” miała premierę w karnawale Solidarności: dziecięć milionów zjednoczonych ludzi, a Lech Wałęsa podpisuje porozumienia sierpniowe. I później gwałtowne cięcie: stan wojenny i osiem lat trwogi.

W grudniu 1981 r. mieszkałem w Krakowie. Wieczorem wróciłem z koncertu, zdążyłem do domu, byłem jeszcze z drugą żoną, mieliśmy miesięczne dziecko. Budzimy się rano, a tu nic nie działa, tylko Jaruzelski w mundurze straszy z telewizora. Byłem w kropce: nie miałem zameldowania w Krakowie, tylko w Warszawie, i musiałem kombinować, by mnie milicja nie zgarnęła z ulicy. Pamiętam zomowców chodzących po ulicach i łapiących młodych ludzi, kiedyś na moich oczach zaczęli pałować kogoś za nic, tylko po to, by pokazać że istnieją, że mają władzę, że mogą. Te chaotyczne represje były skuteczne, bo siały strach, nikt nie wiedział, co będzie. Przy alei 29 Listopada jest cmentarz Rakowicki – tam było bezpiecznie, chodziłem na spacer z synem w wózek.

Wtedy nie chodziło Ci po głowie, by wrócić do Anglii?

Jak to? Miałem dziecko, zespół i związki z ludźmi. Nie mogłem nagle dać nogi. Uznałem, że trzeba przetrwać i robić w tej sytuacji, co jest możliwe.

Z Maciejem Zembatym zaczęliśmy grać po domach kultury piosenki Leonarda Cohena, do repertuaru dodawałem też swoje kawałki. Nie rozstawałem się wtedy z gitarą akustyczną. Maciej też grał na gitarze, tyle że okropnie, trudno było mu w tym towarzyszyć. Ale ludzie go uwielbiali: miał wielką charyzmę, czarował, kobiety za nim szalały...

Maćka tłumaczenia Cohena były dość toporne, Jacek Kleyff robił to o niebo lepiej: poetycko. Cohen to był prawdziwy artysta. Taki jak Bob Dylan... Tylko że Dylan pisze przerażająco długie teksty, czasem 10 zwrotek – kto to spamięta? Na pewno nie ja. (*śmiej*)

W stanie wojennym śpiewałeś „Everlasting madness”. Jest tam wers: „Obietnice zmieniają się, ale mundury są te same / Jeżeli nie naciśniesz spustu, ktoś robi to w twoim imieniu”.

To mój pierwszy i ostatni *protest song*, Maciek tłumaczył. Ale na jednym z kon-

certów trafiliśmy na cenzora, na następny dzień wezwano nas na dywanik i oburzona bezpieka pytała, jak coś takiego można śpiewać. Kazali nam zagrać koncert wyłącznie dla cenzorów, a Maćkowi mówić wszystko, co potem powie na koncercie.

Graliście bez „Everlasting madness”?

Dla nich bez niej. Ale wieczorem z Maćkiem zagraliśmy koncert już z piosenką. Do tego wszystkiego Maciek dodał opowieść o tym, co nam się przydarzyło z cenzorami. A oni go wezwali ponownie, powiedzieli, że jeżeli dalej będziemy śpiewać tę piosenkę, to dostaniemy zakaz występów i nagrywania przez kilka lat. Maciej wszystko nielegalnie nagrał na magnetofon i przekazał do drugiego obiegu – informacja ukazała się w *bibule*. I, o dziwo, odczepili się od nas.

Mieliście farta.

Na początku lat 90. zrobiłem sobie dłuższą przerwę od Polski i pojechałem do Anglii. Tęskniłem do języka, potrzebowałem zmiany, no i całe życie prywatne mi się posypało.

I?

Znowu ulga. Artysta nie powinien mieć rodziny, żony, dzieci, bo tylko ich rani. W Anglii mieszkałem u znajomych, pracowałem na budowie – świetny reset. I wróciłem do Polski, przez moment myślałem, że to błąd. Ale tylko przez moment; tu przecież mam dzieci. I zacząłem grać, trochę z Zembatym, trochę solowo, trochę z Grzegorzem Ciechowskim. Szło.

A wcześniej: rok 1989? Przecież to był przełom dla całej wschodniej Europy.

Głęboko odetchnąłem, skończył się ten koszmar. Tylko że w latach 90. nie miałem żadnych olśniewających momentów.

Ciekawe, bo to lata pełnej wolności, można było korzystać z niej pełnymi garściami.

Może chodzi o to, że wartościowe rzeczy rodzą się w trudnych warunkach? Lata 90. były i minęły, to był czas dobrobytu, człowiek mógł wreszcie zarabiać, nie to co za komunę. Lecz dobry czas to również brak pomysłów.

A potem, na początku roku 2000, przeniósłem się do Bielska-Białej. Menadżer mojego zespołu stamtąd pochodził. Bielsko okazało się dobrym miejscem. Myślałem, że nigdy nie będę komponować w takim otoczeniu, ileż można pisać patrząc na kozy. Jednak góry są inspirujące, a ja patrzyłem na nie dzień w dzień z okna sypialni. I pisałem same nieprzyzwoite piosenki, które później zaśpiewała na naszej wspólnej płycie Anita Lipnicka. Ale wtedy jeszcze jej nie znałem.

Po roku wróciłem do Warszawy, wynająłem mieszkanie i zacząłem męczyć mój zespół. I wtedy zaczęły się podchody Anity, że najchętniej by ze mną śpiewała chórki. Nie miałem pojęcia, kim jest jako artystka, to były inne klimaty, znałem tylko „Wszystko się może zdarzyć”, ale tę piosenkę słyszał każdy. Anita parę razy zadzwoniła, odbyliśmy serię spotkań, wymienialiśmy książki, było romantycznie, szybko poszło i w pewnym momencie zaczęliśmy razem żyć i pracować. A w 2003 r. wydaliśmy z Anitą płytę „Nieprzyzwoite piosenki”. I to był punkt zwrotny.

Bo?

Bo wcześniej zaczynałem tracić nadzieję. W tym, co robiłem, szło mi coraz gorzej. Narzekałem, że mi się nie uda, że nikt mnie już nie chce. A dzięki „Nieprzyzwoitym piosenkom” odzyskałem pewność siebie – płyta świetnie się sprzedawała, miała dobre recenzje, sam ją bardzo cenię. Początkowo martwiłem się różnicą wieku między Anitą a mną, przecież to 25 lat. Sądziłem, że to źle zostanie przyjęte. Ale hejt okazał się wyjątkowo mały, może dlatego, że nie tylko byliśmy parą w życiu, ale udowodniliśmy, że sens ma nasze spotkanie artystyczne.

A co byś chciał, by zdarzyło się w najbliższym czasie?

Chciałbym jechać w trasę koncertową. I chciałbym w przyszłym roku nagrać płytę.

A poza muzyką?

Poza muzyką nic nie istnieje. Żyję dla niej i piszę pod nią. Czytam książki i oglądam filmy, bo są inspiracjami muzycznymi. Moją jedyną ambicją jest ciągle tworzyć i tworzyć, póki mogę.



DZIĘKI UPRZEJMOSCI ARTYSTKI I GALERII SZYDŁOWSKI

 Małgorzata Mirga-Tas, *Wizytacja*, 2014 r.

Prawdziwsze od prawdy

PIOTR KOSIEWSKI

Jej prace są bardzo dekoracyjne i wielobarwne. Są próbą opowiedzenia o Romach przez Romów. Na własnych zasadach.

W LIPCU 1943 R. NIEMIECCY ŻANDARMi z pomocą polskiej policji granatowej zatrzymali w okolicach małopolskiego Borzęcina Dolnego grupę 29 Romów i Romek – ośmioro dorosłych oraz 21 dzieci. Wszystkich rozstrzelano w pobliskim lesie, a ich ciała wrzucono do dołu wykopanego na miejscu kaźni. W 1959 r. zamordowanych ekshumowano i pochowano w zbiorowym grobie na lokalnym cmentarzu parafialnym. Jednak na upamiętnienie ofiar trzeba było czekać prawie sześć dekad.

W lipcu 2011 r. na Cygańskich Górkach – tak to miejsce okoliczni mieszkańcy nazywali od czasów zbrodni – odsłonięto pomnik, wykonany z drewna. Na wielkiej płycie zamieszczono tekst: „Nie było życia dla Cyganów w mieście / i na wsi zabijali, zabijali nas. / Co robić? Szły z dziećmi Cy-

ganki w las, / daleko w las, by nie znalazły nas niemieckie psy”. To fragment wiersza romskiej poetki Papuszy. Po obu stronach znalazły się postacie kobiety i mężczyzny. Skulone, jakby starające się schronić, upadające. Pomnik zaprojektowała Małgorzata Mirga-Tas.

Autoopowieści

Małgorzata Mirga-Tas urodziła się w 1978 r. i sama pochodzi z grupy Bergitka Roma, od wieków osiadłej na pogórzach Karpat. W 2004 r. ukończyła Wydział Rzeźby krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Od rzeźby zaczynała też swą twórczość. Sięgnęła jednak po dość nietypowy materiał – tekturę. To z niej, sklejonej w warstwy, ciętej, modelowanej i odpowiednio usztywnionej wykonała w 2004 r. swoją pracę dyplomową

– „Tabor”, przedstawiającą romski wóz, ozdobny, ale jakby niepełny, opuszczony.

Z czasem coraz więcej miejsca w tej twórczości zajmowały rysunek i malarstwo. Początkowo powstawały portrety, w których ludzka postać przenikała się z formami zaczerpniętymi ze świata roślin. Przede wszystkim jednak Mirga zaczęła przedstawiać codzienne życie: spotkania rodzinne, kobiety siedzące przed domami, wieszanie prania... To wszystko, co mogła zobaczyć na romskim osiedlu.

Wcześniej – w ramach robionej z Martą Kotlarską akcji dla dzieci „Romski Pstryk” – powstawały fotografie. „Pomyślałam, że to są gotowe obrazy. Dotarło do mnie, że szukam inspiracji nie wiadomo gdzie, a mam ją pod nosem” – podkreśla artystka w rozmowie dla „Przekroju”. Łączy w obrazach elementy zaobserwowane w różnych miejscach. Włącza też postaci z popkultury. Wprowadza fragmenty tkanin, wzorzystych, barwnych (czasami wykorzystuje ubrania kupione w lumpeksie, ale najczęściej te noszone przez własną rodzinę, znajomych), pióra, cekiny, karty do gry. Wszystko to sprawia, że powstają prace bardzo dekoracyjne, wielobarwne, wręcz ornamentalne.

Wiele jej obrazów, jak sama mówi, sytuuje się nawet na pograniczu kiczu. ➔



Małgorzata Mirga-Tas w Galerii Bielskiej BWA, listopad 2019 r.

→ Bo chce pokazywać „typowych Romów”, z ich upodobaniem do kolorów i eks-trawagancji ubioru. Eksperymentuje też z formatem prac – niektóre, jak „Romani Kali Daj” z 2017 r., przedstawiają kobietę w otoczeniu kotów, przybierając formę parawanów. Inne – tryptyku. Jakby chciała się wyłamać ze schematu obrazu jako eleganckiego, neutralnego obiektu zawieszonego na ścianie.

Wszystko to sprawia, że twórczość Małgorzaty Mirgi-Tas bardzo się różni od rozmaitych form polskiego malarstwa figuratywnego, dominującego w nowym stuleciu. Jeżeli już szukać powinowactw, trzeba raczej przywołać malarstwo młodych artystek afroamerykańskich, jak Njideka Akunyili Crosby czy Tschabalala Self, ale też np. zajmującego się tkaniną Australijczyka Paula Yore’a. Łączy ich też rehabilitacja stylów i praktyk artystycznych uznanych za przeszłe, minione, niemodne, a które dają możliwość mówienia o sprawach bardzo aktualnych. Wreszcie – występowanie z pozycji mniejszości.

Małgorzata Mirga-Tas uczestniczyła w ważnych wystawach, m.in. Biennale „Art Encounters” w Timișoarze w 2019 r. Jej obrazy wyróżniono na Biennale Malarstwa „Bielska Jesień” w 2015 i 2019 r. Pozostaje jednak trochę niedostrzeżona. Tymczasem – co dla niektórych było zapewne zaskoczeniem – bierze udział w tegorocznym Biennale Sztuki Współczesnej w Berlinie jako jedyna z Polski i (poza urodzoną w Belgradzie Katariną Zdjeler) z naszego regionu. Być może obecność Mirgi na tej cenionej

imprezie wymusi uważniejsze przyglądanie się jej twórczości.

Ona sama mówi zresztą o zarzutach, jakie stawiano jej twórczości: że jej prace są zbyt romskie, za bardzo sztampowe. W rozmowie dla „Przekroju” tłumaczy: „Co w tym złego, że ja, Romka, pokazuję swój świat? Czy lepiej byłoby, jeśli robiłby to nie-Romowie? Przetwarzam tożsamość romską poprzez sztukę i nie wydaje mi się, żeby było w tym coś »stereotypowego«”. Jej twórczość jest próbą opowiedzenia o Romach przez Romów na własnych zasadach.

Kluczowe jest właśnie dostrzeżenie przez nią emancypacyjnego potencjału tkwiącego w sztuce. Możliwości użycia jej w imieniu tych, o których przez wieki mówili inni. Nieprzypadkowo Mirga-Tas powołuje się na doświadczenie tzw. Harlem Renaissance z lat 20. i 30., ruchu

skupiającego intelektualistów i artystów, kluczowego dla stworzenia własnej, nowoczesnej afroamerykańskiej tożsamości.

Sama artystka ostatecznie osiadła w rodzinnej Czarnej Górze, wsi położonej na pograniczu Spiszu i Podhala. Tworzy, ale jest też aktywistką. W 2007 r. z dwójką innych artystów, Bogumiłą Delimatą i Krzysztofem Gilem, założyła ruch Romani Art. W latach 2012-16 organizowała w Czarnej Górze plenery „Jaw Dikh!”. Spotkania te odegrały dużą rolę w integrowaniu się romskich artystów z różnych krajów. Od 2017 r. jest zaangażowana w prace berlińskiego The European Roma Institute for Arts and Culture (ERIAC), którego celem jest popularyzacja romskiej sztuki i kultury.

Pomnik. Druga odsłona

„Chciałam zrobić coś delikatnego. Już sam mój pomysł na pomnik był taki, żeby to nie był taki typowy monument, »na amen«, ale żeby żył razem z lasem i stopniowo w niego wrastał, znikał” – wyjaśniała w rozmowie w „Dwutygodniku” ideę drewnianego pomnika w Borzęcinie Dolnym. Miał on starzeć się w sposób naturalny. Podlegać, podobnie jak całe jego otoczenie, prawom natury. Stało się jednak inaczej.

W kwietniu 2016 r., w przeddzień rocznicy urodzin Hitlera, to miejsce pamięci Porajmos (Samudaripenu), czyli Zagłady Romów, zostało zniszczone. Rzeźby porąbano, tablicę przewrócono. Nie był to jedynie chuligański wybryk – skala zniszczeń świadczy o tym, że akcja została wcześniej przygotowana. Po kilku miesiącach pomnik udało się odbudować. Nie odtworzono jednak dokładnie

Zdewastowany Pomnik Pamięci o Zagładzie Romów w Borzęcinie Dolnym, 23 kwietnia 2016 r.





PIOTR KOSIEWSKI

Tu i poniżej: Małgorzata Mirga-Tas, 29. Ćwiczenia Ceroplastyczne w Centrum Rzeźby Współczesnej w Orońsku

pierwotnej formy, upamiętnienie w obecnym kształcie jest jednocześnie przypomnieniem o losach samego pomnika. Po zostały szczątki dawnego monumentu.

Były one, jak podkreśla sama artystka, świadectwami aktu przemocy dokonanej na monumencie, ale też nośnikami pamięci o Zagładzie Romów. Bo przecież te rzeźby, umieszczone w miejscu niemieckiej zbrodni, w symboliczny sposób zastąpiły ciała ofiar przeniesionych przed laty na cmentarz w Borzęcinie.

Właśnie te fragmenty wykorzystała Małgorzata Mirga-Tas, przygotowując wystawę „29. Ćwiczenia Ceroplastyczne” w Centrum Rzeźby Współczesnej w Orońsku. Nie znalazły się tu jednak oryginały, lecz ich odlewy. Artystka szukała odpowiedniego materiału – ostatecznie zdecydowała się na zabarwiony na różowo воск, ze swej natury kruchy, delikatny, a dziś kojarzony przede wszystkim z gabinetami figur woskowych.

Ceroplastyka, czyli sztuka modelowania i rzeźbienia w wosku, ma długą tradycję. Wykorzystywali go twórcy niezwykłych XVIII-wiecznych modeli anatomicznych, Clemente Susini czy Anna Morandi Manzolini. Po воск sięgali artyści, tworząc wstępne studia swych rzeźb – do dziś zachowały się takie dzieła Michała Anioła czy Benvenuto Celliniego – ale też z tego materiału przez stulecia powstawały ostateczne, skończone prace.



PIOTR KOSIEWSKI

Wosk wykorzystywano tworząc wota, ale również, od czasów starożytnych, do wykonywania portretów zmarłych. Właśnie do tej tradycji nawiązała Małgorzata Mirga-Tas.

Wosk daje możliwość dokładnego odwzorowania pierwotnej formy. „Jest – jak pisze Wojciech Szymański, kurator wystawy w Orońsku – materiałem prawdziwszym od prawdy”, lecz także mocno związanym z romską kulturą. Wykorzystywano go „w praktykach funeralnych i apotropaicznych; to z niego wykonywano magiczne rzeźby przedstawiające trupa, diabła i krzyż”.

Odlewy znalazły się w powstałej w 1841 r. kaplicy, kształtem nawiązują-

cej do greckiej świątyni. Jej nawę poprzedza czterokolumnowy portyk, a na architrawie belkowania zamieszczono sentencję: OMNIA VIDIT (Wszystko widzi). Budowla przez lata pełniła funkcję kościoła parafialnego dla okolicznych mieszkańców. Po wzniesieniu nowej świątyni kaplicę zdesakralizowano i od 1987 r. pełni funkcje ekspozycyjne. Pozostał w niej jednak ołtarz i wmurowane w ściany dawne epitafia. To między nimi Małgorzata Mirga-Tas umieściła fragmenty pomnika. W pomieszczeniu ustawiono też uszkodzone postacie kobiety i mężczyzny. Te wszystkie ułamki, na których widać ślady zniszczenia, przypominają o dramacie upamiętnienia w Borzęcinie.

Materiał i miejsce ekspozycji sprawiają, że na wystawie przenikają się rozmaite tradycje. Antyk współistnieje tu z chrześcijaństwem i tradycją romską. Wszystkie te elementy łączy jedno: pamięć. O miejscu – kaplicy, która już nie jest kaplicą, o pomniku, który już nie jest pomnikiem. Artystka stworzyła przejmującą opowieść o tym, co robimy z przeszłością, dawną i tą nieodległą. O wymazywaniu pamięci i o jej przywracaniu.

© PIOTR KOSIEWSKI

Małgorzata Mirga-Tas, 29. ĆWICZENIA CEROPLASTYCZNE, Orońsko, Centrum Rzeźby Współczesnej, wystawa czynna do 11 października. Kurator: Wojciech Szymański.

Łańcuszek nieszczęścia

MONIKA OCHĘDOWSKA

Najpierw LGBT i 5G, węgiel i Smoleńsk, media społecznościowe i fake newsy, Patryk Vega, płaskoziemcy i pandemia. Potem Europa jako błyskotka. Oto dwie nowe płyty Taco Hemingwaya.

ZESZŁEGO LATA WYDAWAŁO SIĘ, ŻE NA dobre pojechał się z bronią. Wojna polsko-polska? „Nie będę się produkował, wszystko już powiedziała Masłowska” – deklarował w pierwszych minutach „Pocztówki z WWA”, płyty wysłanej słuchaczom w połowie upalnych wakacji. Dobra intuicja – od wydanego sześć lat temu „Trójkąta warszawskiego” Taco Hemingway świetnie się sprawdzał właśnie jako autor dźwiękowych pocztówek: kawiarniany korespondent, mikrolog coraz bardziej eterycznych mód, ironiczny obserwator gestów i grymasów stołecznej młodzieży.

I nawet gdy zamiast wypadów nad Wisłę coraz częściej wybierał „piątki w wannie”, dawało to pewną nadzieję. W końcu – jak wierzył Walter Benjamin – najlepiej opowiada ten, kto się srogo wynudził. Istotnie, upichcony jesienią „Bigos” oraz wiosenne występy na płycie duetu TUZZA, w zwiewnym, elegancko skrojonym „Haute couture”, niosły obietnicę, że to domowe „Sanatorium” zadeklarowanego abstynenta (a więc, po Benjaminowsku, „praca, porządek, subordynacja”) obrodzi w nowych projektach pękami soczystych rymów.

Tymczasem zamiast pełnokrwistych historii dostaliśmy właśnie od Taco Hemingwaya nie bigos nawet, ale suchary – internetowe pasty i telewizyjne paski, kolaż nieświeżych wiadomości. Dwie płyty, wypuszczony w sieci (artysta swoje płyty udostępnia bezpłatnie) oraz serwi-

sach streamingowych siermiężny „Jarmark” oraz uciekająca przed nim w popłochu, wydana tydzień później „Europa”, to – parafrazując stary kawałek Pezeta – tanie moralizatorstwo. Hemingway przepisał „Wyborczą”.

Nie pytam, skąd ma hajsy

Rok temu było o nim głośno z powodu liczb – zaraz po wydaniu „Pocztówki z WWA” wyprzedził z Dawidem Podsiadłą stadion PGE Narodowy. Na kilkudziesięciotysięczną widownię w Warszawie mogli dotąd liczyć Rolling Stonesi albo gwiazdy pop pokroju Beyoncé, ale nie występujący w duecie młodzi polscy wykonawcy. Droga do Narodowego przebiegła nie bez perturbacji, choć artysta nigdy nie krył, że gdyby nie wsparcie rodziców („mama pyta, czy chcę jakiś przelew, mówię: bardzo proszę”), nie miałby czasu na twórcze poszukiwania.

Dwie pierwsze anglojęzyczne płyty Filipa Szczęśniaka nie wzbudziły bowiem zainteresowania. Zarabiać na muzyce zaczął, gdy nagrane mimo klapy wcześniejszych projektów „Trójkąt warszawski” oraz „Umowę o dzieło” wznowiła i wprowadziła do regularnego obiegu w 2015 r. wytwórnia Asphalt Records, przestrzegając, by ich autor nie robił sobie nadziei na popularność w skali Tedego czy O.S.T.R. Robotę tłumacza rzucił nie bez wątpliwości cztery lata temu, gdy z odpowiedzialnym za bity producentem Macie-

jem „Rumakiem” Ruszeckim rozpoczął swoją pierwszą, promującą oba krążki trasę koncertową.

Co przeważało o sukcesie? Okrzyknięto go głosem pokolenia. Tytuł „Umowa o dzieło” – jak mówił sam artysta autorom książki „To nie jest hip-hop. Rozmowy II” – „narzucił odbiór słuchaczom i recenzentom, którzy szukali w piosenkach ważnych wersów pod z góry ustaloną tezę” i spodziewali się, że zaraz po śmieciówkach przyjdzie kolej na krytykę kredytów hipotecznych.

Jego rap, okraszony nawiązaniem do prozy Gombrowicza i filmów Koterskiego, wykorzystujący do skitów (przerwy między utworami) fragmenty Polskiej Kroniki Filmowej, a przede wszystkim pozbawiony wulgarności i przemocy – dobrze się sprawdzał w ogólnokrajowych dziennikach jako ścieżka dźwiękowa III RP. Ale Hemingway utarł nosa recenzentom i zamiast nawiązać o problemach ze znalezieniem pracy, wydał eschatologiczny „Marmur” (2016), a następnie imprezowego „Szprycera” (2017). „Trochę mnie martwi, że ludzie myślą, że jestem wczutym gościem, który dotyka ważnych problemów pokoleniowych – tłumaczył się wówczas – podchodzę do rapu ze sporym dystansem”. Niechęć do odcinania kuponów od pierwszego sukcesu pojawia się także na nagrany w duecie z Quebonafide (Kubą Grabowskim) albumie „0,25 mg” (2018).



KAROL MAKURAT / REPORTER

Taco Hemingway, Open'er Festival, Gdynia 2018 r.

Sorry, jestem stąd

Gdy obchodzący właśnie 30. urodziny Szczęśniak wydawał jako Taco Hemingway „Trójkąt warszawski”, Dorota Maśłowska pod pseudonimem Mister D. odkrywała, że „Społeczeństwo jest niemiłe” – np. gdy niespodziewanie natknie się na tęczę („Komu to szkodziło, że normalnie było pusto, szaro / Ludziom do twarzy przynajmniej pasowało”). Pisarka opiewała prowincjonalne romanse, kościelny marketing sensoryczny („chryzantemy, płaszcz powstańca”) i szyk klasy średniej („Audi zaprzężone w głodne amstafy”), ale też empatyzowała z codziennymi smutkami prezydenta, co „kłopotów ma sto”. Wreszcie – troszcząc się o nasze portfele – przestrzegała przed obliczoną na zysk kokieterią celebrytek („a taka w tym Teleexpressie byłeś do rany przyłóż”).

Hemingway lubi nawiązywać do Maśłowskiej – fragmenty jej płyty pojawiały się jeszcze w zeszłorocznej „Pocztówce”. Teraz fraza o społecznej antypatii wyśkakująca w pierwszych sekundach „Jarmarku” organizuje concept całego albumu rapera. O ile jednak Maśłowska, eksponując narodowe przywary, śpiewała najczęściej w pierwszej osobie liczby pojedynczej, podkreślając, że jest jedną z „niemiłych” – jedną z nas, Taco przyjmuje pozę outsiderską i nieznosnie beszerwisserską.

Album składa się z trzech części, określających jednocześnie miejsca akcji świata nam przedstawianego: kiosk, korek i korpo. W każdej pojawia się gościnie Artur Rojek. Każda z nich nazwana zostaje „łańcuchem”, bo poprzez ciąg następujących po sobie, powtarzających się zdarzeń (w szkole na lekcjach polskiego nazywany „łańcuchem” właśnie) spaja concept „Jarmarku”.

Łańcuch odsyła też do idei społeczeństwa jako wspólnoty czy raczej – wspólnoty w rozpadzie. To, innymi słowy, poszukiwanie najsłabszych ogniw („społeczeństwo jest niemiłe, bo to łańcuch, efekt motyla w wartkim tańcu”). Jak wiemy od Oscara Wilde’a, cytowanego skądinąd w „Jarmarku”, „nienawiść jest ślepa, a żywi się wszystkim”. Jest też zakaźna, jak influenza (covid) albo *influenca* (*viral*, marketing wirusowy). Łańcuch Hemingwaya reprezentuje także hierarchię społeczną – pniemy się, słuchając tej płyty, schodek po schodku, od pracujących w podziemiach sprzedawcy gazet

(kiosk), przez poziom ulicy, którą wiezie nas ukraiński taksówkarz (korek), aż po biura w drapaczach chmur wynajmowanych przez korporacje. Dodałabym jeszcze jedno skojarzenie do tej palety metafor – szczękościsk powodowany przez łańcuszek ortodontyczny, bo Taco jest na tej płycie nie tyle „wczutym”, co koszmar nie śpiętym gościem.

Na czterdziestominutowym albumie udało mu się ubrać wielkie nieszczęścia w wielkie kwantyfikatory: jest wychowująca nasze dzieci pornografia, są grożący naszym dzieciom antyszczepionkowcy, oszukujący nasze dzieci wirtualni celebryci i molestujący nasze dzieci księża. Do tego LGBT i 5G, węgiel i Smoleńsk, media społecznościowe i fake newsy, Patryk Vega, płaskoziemcy i pandemia. Dowiadujemy się także, że „telewizja kłamie”, a „ksenofobia to udręka”. To wszystko podlane sosikiem złudzeń klasy średniej o smaku późnych lat 90. Sosikiem, dodajmy, wylewającym się z tysięcy przedpotopowych tekstów o lemin-gach, trochę w stylu wczesnego Ziemowita Szčerka, trochę Roberta Mazurka.

Rany, ci straszni mieszczanie – za-trważa się Taco – pod pastelozą dobrobytu skrywają rozpacz i narkotyki. „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Torba z białym. Gdzie ty mieszkasz? Na strzeżonym. Czym ta ziemia? Zamek z piachu. Czym zdobyta? Propagandą strachu”. Takie rewelacje działają może jak zimny prysznic, jeśli, jak w przypadku głośnego debiutu Maty ujawniającego rozrywki „patointeligenckiej” młodzieży z dobrych domów, utrzymane są w poetyce wyznania. W dziecinnej wyliczance pozostają zgrabną stylistycznie dziecinną wyliczanką.

Wróć do siebie na Moskwę

Inna sprawa, że powtarzane za popularnymi portalami czy paskami telewizji informacyjnych tezy tej płyty są jeśli nie fake’ami (w końcu „nic się tak nie klika jak fake news, w sumie to w dotyku jak fake boobs”), to co najmniej zestawem wysłużonych jak mieszczańskie pantofle stereotypów. Palącym problemem „Jarmarku” jest ogólnonarodowa niechęć do Ukraińców. Rzeczywistość zdaje się jednak nie zgadzać z Taco Hemingwayem, bo nasz stosunek do nich jest – mimo prób wpajania nam lęku – na ogół życzliwy. Wszelkie raporty i sondaże podkre-

ślają, że jeśli coś nas naprawdę martwi, to fakt, że imigranci są nieuczciwie traktowani przez pracodawców.

Może dlatego dla Taco ostatecznie najgorszym przejawem ksenofobii, o której nawija w kilku kawałkach, pozostaje przyznanie trzech z pięciu możliwych gwiazdek kierującemu uberem Dimitrijowi. Nie fakt, że stworzony przez firmę algorytm ukarze go za tę ocenę pominięciem przy rozdzielaniu kursów. Bo to właśnie tak ochoczo przez Hemingwaya reklamowany Uber – jak dowodzili skarżący go tego lata w Holandii kierowcy – najbardziej ich dyskryminuje nie informując klarownie, wedle jakich zasad działa aplikacja niespodziewanie dezaktywująca się w trakcie dnia pracy.

Nie dowiemy się także, że mobbing (kolejny ważny temat „Jarmarku”) nie musi dotyczyć wyłącznie pracowników korporacji, w której zresztą pracę sam Filip Szczęśniak – niegdyś *copywriter* – wspomina wyjątkowo dobrze: „mieliśmy sympatyczny skład i super szefostwo”. Otóż przemoc w pracy spotyka także, a może przede wszystkim (wiem, to mniej *sexy*) urzędników, wykładowców akademickich, pracowników trzeciego sektora. Ulokowane w dużych miastach międzynarodowe firmy, szczególnie w momencie podlegania do nienawiści wobec osób homoseksualnych, wydają się enklawami tolerancji – pal sześć, czy wpisane w zeszyt dobrych praktyk z powodu poprawności politycznej. Czy nie trudniej dziś być gejem w podkarpackim samorządzie, gdy gmina ogłasza się strefą wolną od LGBT?

Nie rapuj o tym, bo to smutne

Zmęczony niemiłym społeczeństwem oraz błyskami fleszy śledzących każdy jego krok *paparazzi*, Taco Hemingway ucieka – jak notuje skrupulatnie w „dzienniku pokładowym” – 13 lipca (to dzień, w którym dowiedzieliśmy się, →



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia
Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

→ że Rafał Trzaskowski przegrał w wyborach prezydenckich) poza granice Polski, wybierając nieprzypadkowo „kierunek zachodni”. No to mamy „Europe”.

Wożąc się „betą po Sycylii”, Francji i Niemczech, Taco powtarza stereotypy na temat europejskiego dobrobytu i tolerancji, czuje zażenowanie TikTokiem i kolegami („raperzy to banda niedźwiedzi”), jada w drogich restauracjach, zjada go poczucie odpowiedzialności za młodych słuchaczy (nie po raz pierwszy zresztą), głównie chłopców („staram się redefiniować męskość, chcę nauczyć typów, że to super, kiedy tęsknią”), a potem sypia w hotelach, na które stać tylko emerytów ze Szwajcarii.

Paryż, przyznaje raper, nie wygląda jak w filmach, ale „paryskie getto w deszczu” mimo wszystko estetyzuje wyliczanką luksusowych marek. Jest na „Europie” sporo błyskotliwych, głównie środowiskowych aluzji i nawiązań, np. gdy w pełniącym rolę skita „dzienniku pokładowym” Hemingway mówi, że temperatura tego dnia wynosi 21 stopni, a w nocy ma zejść do 15, to zapowiada tak naprawdę Bedoesa, który pojawia się w następnym kawałku (Borys Przybylski „Bedoes” to założyciel grupy 2115 Gang). „Europa” to taka błyskotka, pusta w środku. Ale może ostatecznie taka ma być prawda o Starym Kontynencie?

A może nie należy rozliczać piosenki rozrywkowej z tego, czy zawarte w niej tezy znajdują potwierdzenia w raportach i sondażach? Może. Ale po zabierającym się za ostrą, krajową publicystykę – z europejskiej do tego perspektywy – najpopularniejszym polskim raperze, który udowodnił, że potrafi pisać, a do tego chce wieszczyć jak Norwid (jak nazywa siebie w „Luxembourg”) albo być nową Republiką („Metallica 808”), oczekiwałam czegoś więcej niż posklejania w rymy stereotypów na temat naszych domniemyanych lęków i opinii. Tymczasem gdy po włączeniu wydanej na początku sierpnia płyty Białasa „H8M5” słyszę w intro zapożyczony z „Nocy wam-pira” krzyk Grzegorza Ciechowskiego, ostrzegający, że „inwazja spadnie na kraj”, wciąż czuję większe ciary niż po sesji łańcuchowego kinbaku z Hemingwayem. ©P MONIKA OCHEŃDOWSKA



Zamrożeni w czasie

ANITA PIOTROWSKA

Zabawa zabawą, lecz w filmie Kaufmana gra toczy się o wysoką stawkę. O ludzkie życie – tragikomicznie niespełnione, uwięzione w przeszłości, w pogrzebanych marzeniach i ekranowych mirażach.

MOŻE PORA Z TYM SKOŃCZYĆ? – PODOBNO takie pytanie zadaje sobie wielu widzów najnowszego filmu Charliego Kaufmana, na różnych etapach seansu. Bo skoro nie bardzo wiadomo, czy cokolwiek z tego, co widzimy, wydarzyło się „naprawdę”, czy jest tylko czyjąś projekcją, albo nawet projekcją w projekcji, jaki sens brnąć w to przez ponad dwie godziny?

Sensów tu jednak niczym płatków śniegu, choć rację mają ci, którzy emocjonalnie zaangażowanie w ten film porównują do jedzenia lodów w śnieżnej zamieci. Ale Kaufmanowi nie o emocje przecież chodzi. Stara się opowiedzieć na ekranie sens życia (lub jego brak) w formie puzzla – skomplikowanego bądź niemożliwego wręcz do ułożenia. Mając w pamięci scenariusze w rodzaju „Być jak John Malkovich”, „Adaptacja”, „Zakochany bez pamięci” oraz te, które Kaufman osobiście zekranizował („Synekdocha, Nowy Jork”, „Anomalisa”), można się spodziewać, że łatwo nie będzie. Że czas i przestrzeń będą się zakrzywiać i zapętlać, a melancholijna rzeczywistość będzie nieustannie nicowana przez fantazje.

Już pozornie realistyczny początek „Może pora z tym skończyć” przynosi dziwne zakłócenia. Oto zamknięta w samochodzie para młodych ludzi przemierza zimowy pejzaż, by odwiedzić jego rodziców na prowincji. Długa, wielce intelektualna konwersacja przenika się z jej monologiem wewnętrznym, w którym dziewczyna (wspinała Jessie Buckley) rozważa zakończenie niedawno rozpoczętego związku. Wystarczy jednak się przyjrzeć, co tu wyprawia kamera Łukasza Żala („Ida”, „Zimna wojna”), która raz jest wewnątrz auta, raz na zewnątrz, to znów dokonuje przesunięć uwagi niezgodnie z tym, kto akurat mówi – i już wiadomo, że nie mamy do czynienia z typową „obyczajówką” na temat rozstania.

Chociaż narratorką tudzież postacią najbardziej w tym filmie rzeczywistą wydaje się właśnie dziewczyna, to zostaje ona jakby unieważniona. Jej imię i profesja zmieniają się w tej historii kilkakrotnie. W zależności od potrzeby chwili bywa poetką, malarką, naukowczynią czy kelnerką, jej słowa zaś, wiersze czy obrazy okazują się wcale nie jej, jakby tylko zostały jej na chwilę przypisane. Dylematy bohaterki zostają wzięte



MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Może pora z tym skończyć”

w cudzysłów, jej fotografia z dzieciństwa tak naprawdę przedstawia kogoś innego – w czyjej zatem głowie jesteśmy?

Już od samego początku pojawiają się w filmie tajemnicze przebitki na starszego mężczyznę, który krząta się samotnie po domu, a następnie idzie do opustoszałej szkoły, gdzie pracuje jako woźny, zapewniając puste godziny telewizją. Łątwo więc się domyślić, że głównym bohaterem filmu jest nie ona, lecz on – jej chłopak Jake (Jesse Plemons), a właściwie alternatywny, wyobrażony, czytany od tyłu scenariusz jego życia.

Kaufman, przenosząc na ekran powieść kanadyjskiego pisarza Iana Reida, wykonuje iście ekwilibrystyczną pracę, by złapać nas w siatkę znaczących symboli i równocześnie pomieszać nam szyki. Stąd charakterystyczne kolory, desenie czy wszytkie te wędrowne tropy: kapcie, kości, świnki, lody, nowe huśtawki przy opuszczonym domu, nie mówiąc o przywoływanych natrętnie tekstach kultury, jak musical „Oklahoma”, poezja Wordswortha, sentencje Tolstoja albo recenzja Pauline Kael z „Kobiety pod presją” Cassavetes. Uff... Osaczają one w przestrzeni i zamrażają w czasie, umożliwiają orientację w terenie, a zarazem powodują głęboką dezorientację. Sprawiają, że zaiste trzeba czasem czegoś w rodzaju łańcuchów na koła, by przebrnąć przez te zasy znaków i cytatów.

Zabawa zabawą, lecz gra toczy się o wysoką stawkę. Chodzi o ludzkie życie – tragikomicznie niespełnione, uwięzione w przeszłości, w pogrzebanych marzeniach i ekranowych mirażach. Bo wszystko wskazuje na to, że Jake i rudowłosa dziewczyna w budrysówce tak naprawdę nigdy nie ze sobą nie związali. On nie odważył się dać jej numeru telefonu,

nie przedstawił jej swoim rodzicom, nie zrobił naukowej kariery, nie toczyli ze sobą tych wszystkich wyrafinowanych dysput...

Sekwencja w rodzinnym domu Jake’a ma coś z błądzącego w czasie horroru, gdzie piwnica, pokój dziecienny i groteskowi rodzice (Toni Colette i David Thewlis), na przemian postarzani i odmładzani, tworzą upiorne uniwersum dzieciństwa, które w dużym stopniu zeterminowało życiową drogę bohatera. To przestrzeń pełna głębokich rys i blizn, różnych plastrów i mokrych plam, które pozostają w duszy na zawsze. Kaufmanowi jednak taka psychoanaliza nie wystarcza, toteż uruchamia kolejny etap zimowej podróży. A tym samym rozpoczyna trochę inny film, surrealistycznie jeszcze bardziej rozpasany, klimatycznie zbliżony do Davida Lyncha i, niestety, dużo mniej przekonujący niż wcześniejsze części „Może pora z tym skończyć”.

Właśnie ten ostatni rozdział najbardziej przydaje tytułowi wspomnianej metawymowy. W tytule można wyczytać także, prócz oczywistych rozterek dziewczyny brnącej w nieciekawą związek, opis krytycznej sytuacji egzystencjalnej, w jakiej znalazł się zimową porą stary samotny człowiek. Odczytywanie filmu Kaufmana jako studium psychicznego zaburzenia z pewnością znajdzie zwolenników, jednak byłaby to lektura dość okrutna, bo pozbawiająca nadziei. Lepiej spojrzeć na film po prostu jak na wielopiętrową łamigłówkę z zegarem czy kalendarzem w roli głównej.

„Ludzie widzą siebie jako punkty podróżujące w czasie. A ja uważam, że jest na odwrót: my stoimy w miejscu, a czas przechodzi przez nas. Wieje jak zimny wiatr, kradnie nam ciepło i zostawia nas skostniałych, zmarzniętych i martwych” – monologuje bohaterka podczas drogi powrotnej, choć to pewnie Jake znów wkłada w jej usta cudze słowa. Jeśliby brać te wynurzenia dosłownie, mielibyśmy do czynienia wyłącznie z pretensjonalnym, ponurym filmem. Jeśli zechce się dostrzec w nich zasadę konstytuującą ów przeładowany i umyślnie rozjechany filmowy świat, będzie się on jawił – również poza ekranem – troszeczkę bardziej znośnym. ©

MOŻE PORA Z TYM SKOŃCZYĆ (*I'm Thinking of Ending Things*) – reż. Charlie Kaufman. Prod. USA 2020. Dostępny na Netflixie.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Ratched



Serial, tw. Ryan Murphy, Evan Romansky, USA 2020, odc. 1–8, Netflix, 18 IX

Elektryzująca Sarah Paulson wciela się w postać zniechęconej przez pacjentów – i przez widzów – pielęgniarki psychiatrycznej z „Lotu nad kukułczym gniazdem”. To jej historia i jej osobiste demony znalazły się teraz na pierwszym planie. W pozostałych rolach m.in. Sharon Stone, Judy Davis i Cynthia Nixon.

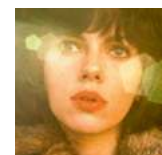
2. Chantal Akerman



Przegląd filmów, dafilms.pl
Zmarła w 2015 r.
awangardowa reżyserka belgijska o polsko-żydowskich

korzeniach została po sobie liczne tytuły dokumentalne. Przed nami retrospektywa zawierająca cztery spośród nich oraz fabularne „Szaleństwo Almayera” według Josepha Conrada i dwa dokumenty o Akerman. Filmy nie mają polskich napisów.

3. Pod skórą



Horror/SF, reż. Jonathan Glazer, Szwajcaria/Wielka Brytania 2013, Cineman

Jeden z najoryginalniejszych filmów grozy mijającej dekady to luźna adaptacja powieści Michela Fabera, w której hipnotyczne kino drogi i rozważania nad istotą człowieczeństwa spotykają się ze współczesną technofobią. Uosobieniem tych lęków jest krwiożerczy Obcy – tym razem w skórze Scarlett Johansson.

4. Dzień trzeci



Miniserial, reż. Marc Munden, Philippa Lowthorpe, Wielka Brytania/USA 2020, HBO GO
Dwie pory roku

i tajemnicza wyspa u wybrzeży brytyjskich – w takiej scenarii łączą się ze sobą dwie różne historie z Jude’em Lawem i Naomie Harris w rolach głównych. Bohaterowie przybywają na Oseę wraz ze swoimi tajemnicami i problemami, co prowadzi do zaskakujących konfrontacji, również rzeczywistości z fikcją.

JAN

Klata:

Kwiatek do kozucha



NIEPRAWDĄ JEST, ŻE NARODOWA KULTURA się w obecnej, kwitnącej Polsce nie rozwija. Prawdą jest, że się rozwija, a nawet kwitnie. Przykłady można mnożyć w nieskończoność, a najnowszym jest choćby narodowe czytanie „Balladyna”.

Prologiem była mowa Głowy Państwa: że mamy ten czas, w którym obchodzimy, że zachęca do czytania, zarówno dzieci, jak i dorosłych, że to literatura, która także lektura, więc się przyda, że zakorzeniona jakże głęboko, że dla czego „Balladyna”, otóż, proszę państwa, dlatego że niestety Słowacki nie dożył wiktorii warszawskiej, ale bardzo chciał, że przewidział Papieża Słowianina, ale tak naprawdę możemy przypuścić, że Polaka, że marzył te swoje sny, które się ziściły poprzez szczegóły historii Polski i świata, można śmiało powiedzieć,

to było wielkie marzenie Słowackiego. I że szczątki doczesne za sprawą Piłsudskiego przypłynęły bocznokołowcem „Mickiewicz” na Wawel.

Następnie Pierwsza Dama napomknęła, że „Balladyna” intriguje i trzyma w napięciu do ostatniej chwili już od dwustu lat, a przecież autor nie doczekał jej inscenizacji. Żywa akcja, intrygujący bohaterowie, choćby Skierka, oraz słowiańska sceneria. W interpretacji ta przewrotna tragedia otwiera się na różne strony, ale także w okolicach Gniezna, co bardzo ciekawie zilustrowano w scenografii prezydenckiego czytania w Ogrodzie Saskim. Król uzurpator, krytyka władzy autorytarnej, ale także skrzy się żartem, humorem, ironią.

Konkluzja występu duetu: prawda jest taka, że każdy interpretuje na swój sposób. Po czym piątka reżyserów zainscenizowała po akcie w plenerze. Najważniejsze, że pogoda dopisała, co umożliwiło odbycie obchodów. Aha, na wstępie ceremonii jeden z ministrów powiedział, że czytanie wypasała nas w takie umiejętności, bez których nie potrafimy żyć, nie potrafimy funkcjonować jako ludzie, i że w Polsce około 40 procent społeczeństwa czyta.

I tutaj należałoby skończyć narodowe czytanie.

©

Lektor:

Osobistość



■ Matilda Voss Gustavsson

KLUB

Ze szwedzkiego przełożyła
Justyna Czechowska.

Wielka Litera, Warszawa 2020, ss. 302.

W LUTYM 1989 R. IRAŃSKI ajatollah Chomeini obłożył fatwą Salmana Rushdiego, autora „Szatańskich werse-tów”, i wyznaczył nagrodę za jego głowę. Akademia Szwedzka, przyznająca Literackie Nagrody Nobla, zdecydowała się nie zabierać głosu. W proteście dwoje pisarzy, Kerstin Ekman i Lars Gyllensten, zrezygnowało z udziału w jej pracach, wkrótce dołączyli do nich Werner Aspenström. Akademia liczy 18 foteli, członkostwo

było wtedy dożywotnie – pozostało 15 członków czynnych, zwykle w podeszłym wieku. Kiedy więc w 1992 r. po śmierci 85-letniego Artura Lundkvista fotel po nim objęła 39-letnia poetka Katarina Frostenson, uznano to za dobry znak. Niestety Frostenson miała męża. Jean-Claude Arnault, Francuz osiadły w Szwecji, niespełniony twórca, miteman, ale sprawny organizator, twórca sztokholmskiego klubu kulturalnego

Forum odwiedzanego przez elity, okazał się także nałogowym erotomanem i gwałcicielem. A członkostwo żony w Akademii zρέcznie wykorzystał – towarzysko i finansowo. Kiedy w Ameryce wybuchł skandal wokół Harveya Weinsteina i zaczął się ruch #MeToo, 30-letnia dziennikarka „Dagens Nyheter” zajęła się sprawą Arnaulta. W artykule z 2017 r. występował jako „osobistość ze świata kultury”, w książce ukryto już tylko nazwiska ofiar. Bo tymczasem Arnault skazany został za dwa gwałty, a skandal wymusił zmiany w Akademii i zawieszenie przyznania nagrody w roku 2018. Matilda Gustavsson opowiada o swoim (pierwszym w życiu!) dziennikarskim śledztwie, o zbieraniu relacji ofiar molestowanych i gwałconych przez Arnaulta, o weryfikowaniu jego biografii. Pokazuje, że i w dziedzinie kultury

władza, choćby symboliczna – polegająca np. na umożliwieniu debiutu czy wprowadzeniu w odpowiednie kręgi – może przerodzić się w całkiem dosłowną przemoc. Że autorytet instytucji pozwala czasem osłonić przestępstwa, ale płaci ona za to słono.

Sara Danius, będąca w 2017 r. tzw. stałym sekretarzem Akademii, podjęła zdecydowane kroki, by oczyścić jej wizerunek. Przegrała jednak starcie z innym akademikiem, Horacem Engdahlem (skądinąd przyjacielem Arnaulta), odwołano ją z funkcji i odeszła z Akademii, a wkrótce potem zmarła. Katarina Frostenson również odeszła, wynegocjowawszy jednak dożywotnią pensję i dożywotnie prawo do korzystania z mieszkania należącego do Akademii. A Engdahl nadal w Akademii zasiada. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Pożar pychy



MILION TRZYSTA TYSIĘCY HEKTARÓW LASU i zarośli płonie lub właśnie spłonęło ostatnio w Kalifornii – co sprawia, że ten sezon pożarowy jest najgorszy w dziejach. Patrząc zresztą na coraz wyższe roczne bilanse strat, można wysnuć

przypuszczenie, że rekord utrzyma się tylko do następnego lipca. Wszystkie przesłanki tej sytuacji będą wszak za rok również na miejscu: coraz cieplejsze lata i wysuszona przyroda, fatalna struktura tamtejszych lasów, które wskutek krótkowzrocznej gospodarki leśnej są jednym wielkim pudełkiem zapalek, struktura osadnictwa, która utrudnia prewencję, spowalnia akcje gaśnicze, a przede wszystkim sprzyja zaproszeniom. Za dużo ludzi mieszka pośrodku zbyt łatwopalnych obszarów.

Zwłaszcza kiedy ludziom nie starcza rozumu. Jeden z większych pożarów koło miasta Yucaipa zaczął się od źle przeprowadzonego pokazu fajerwerków podczas przyjęcia, które pewna para wydała dla rodziny i znajomych, żeby ogłosić płć spodziewanego dziecka. W kulminacyjnym momencie odpalono wyrzutnię odpowiednio zabarwionego dymu i iskier. Prasa skupia się na apokalipsie, jaka z tego wynika, lecz nie wspomina nic na temat tego, czy dym okazał się w końcu różowy, czy niebieski. Przy okazji jednak przypomniano, że to nie pierwszy wielki pożar wywołany przez pirotechnikę płciową, a *gender reveal party* zamieniły się w ekstrawaganckie i popaprane imprezy bez granic smaku i rozsądku.

Kiedyś – a dla badaczy obyczajów oznacza to zwykle początek poprzedniej dekady – gwoździem programu takiego przyjęcia był tort niespodzianka, który przyszli rodzice kroili, by odkryć, czy krem jest różowy, czy niebieski (uprzednio lekarz przekazywał wyniki badania USG przyjacielowi pary, który jako strażnik sekretu zajmował się organizacją). Dziś, kiedy trzeba to wszystko wrzucić na Instagrama, muszą być co najmniej podniebne fajerwerki albo samolot opryskujący gości zabarwioną wodą czy wreszcie eksplozja gigantycznych balonów z konfetti. Lub aligator – wypycha się gadzie do pyska spreparowanego arbuza, który po zmiążdżeniu tryską kolorowym żelem.

Zostawmy na boku kwestię, że takie rytuały celebrytów binarność w określaniu osoby, i to jeszcze zanim się pojawi ona na świecie. Cokolwiek sądzimy o płynności płci kulturowej, ludzie jednak rodzą się albo z jed-

nym, albo z drugim fenotypem powiązany z ich późniejszą rolą rozrodczą. A dla większości rodziców ten fenotyp ma istotne znaczenie w kształtowaniu zachowań wobec potomstwa – z powodów, które lekkomyślnie byłoby zlekceważyć jako jedynie mentalne złogi z czasów heteronormatywnej opresji.

Dziś opowiadam o tych przyjęciach, bo to dla mnie szczytowy przykład pychy, z jaką wyrwa się naturze tajemnicę płci spodziewanego dziecka. Ciekawe, że to zdarzenie nastąpiło tak późno. Pomimo iż od tysiącleci ludzkość szlifowała techniki zagłębienia w głąb materii i ciała, to pytanie „czy ma siusiaka?” pozostawało bez odpowiedzi jeszcze pół wieku temu. Powód oczywisty: odpowiedź na to akurat pytanie nic istotnego nie zmienia. Nie jest diagnozą, która pozwoli zapobiec cierpieniu lub oddalić śmierć albo zawczasu coś w naszym ciele naprawić, zanim będzie za późno.

Pożar, który strawił całe hrabstwo i parę miasteczek dlatego, że jakiemuś idiocie zachciało się ogłosić światu z przytupem, czy jego potomek będzie miał siusiaka, to wymowny przykład, iż choćbyśmy najmocniej zaciskali oczy w zaprzeczeniu, to i tak każda pycha, każdy naddatek mocy, jaką sobie nadamy, zostanie ukarany. Moc bez rozumu i cnoty obraca samą siebie w popiół. Mówią, że świat Zachodu się dechryścianizuje, ja bym dodał, że cofa zegar rozwoju jeszcze głębiej, unieważniając nawet proste nauki Greków o losie, tragizmie i poznaniu właściwej miary. I jeszcze na dodatek męczy aligatory. © P

*Jestem w głębi ducha tylko prostym barmanem i z dumania, czy może być wino ani czerwone, ani białe, nic mądrego mi nie wyjdzie. A co z różowym? – odpowiadacie. Poza paroma wyjątkami to de facto wino czerwone, tylko krócej macerowane na skórkach. Ale kiedy działałem jako kucharz, powinienem z kolei dobrze rozumieć płynność podziałów i względność ról, choćby z powodu mięs jedzonych na słodko albo zup podawanych na deser. Szczególnym przypadkiem są różne konfitury z ostrą nutą, znane u nas głównie w postaci chutneyów, które do Europy ściągnęli Anglicy. Dziś opowiem wam o typowym dla moich rodzinnych stron dodatku do sera albo mięsa na zimno, który zwie się mostarda. W paru regionach włoskiej północy słowo to oznacza owoce kandyzowane w syropie z dodatkiem gorczycy. Ale w okolicach Vicenzy robi się to w postaci przecieru. Obieramy i drobno kroimy równe ilości **kwaskowych jabłek, gruszek** oraz **pigwy** – w naszym przypadku może być dojrzewający właśnie **pigwowiec**. Gotujemy osobno w trzech garnkach pod przykryciem, podlewając odrobiną **wody**, aż się prawie rozpadną. Rozgniatamy, przecieramy przez sito, łączymy w jednym garnku, dodajemy **cukru** ok. połowy wagi owoców, zgnieciony **ząbek czosnku** oraz po kropelce **oleju z gorczycy**, aż do uzyskania smaku ostrego, ale nie przesadnie. W Polsce trudno dostać olej z gorczycy dopuszczony do użytku spożywczego (to skądinąd bardzo niebezpieczna substancja), dlatego zastąpić go można **gorczycą sproszkowaną**.*



GÓRY W KORONIE

Na najbardziej znanych polskich szczytach
spokój i cisza są rzadkie i sezonowe.

Najlepiej szukać ich jesienią.

TEKST I ZDJĘCIA: BARTEK DOBROCH

WYRUSZYĆ JEST NAJTRUDNIEJ. ABY W GÓRZE ZŁAPAĆ pierwsze promienie słońca, trzeba wyjść w ciemności. W godzinie należącej do zwierząt. Najkrótszy szlak na Połoninę Caryńską przecina stromo obręcz lasu, wyprowadza już na nagą przestrzeń połoniny. Zdążymy dotrzeć do grzbietu. Stąd jeszcze parę minut na Kruhly Wierch, kulminację rozległego masywu. Ale szkoda odwracać się plecami do spektaklu, zwłaszcza jeśli jesteśmy jedynymi widzami.

Na Babiej Górze, gdzie zwyczaj obserwowania wschodów słońca sięga XIX w., nie ma co liczyć na taką ekskluzywność. Ale tutaj, w jeszcze innym miejscu Bieszczad, jest pusto. Położony poniżej wierzchołka trójboczny obelisk, oznaczający

trójstyk granic, wymienia równoprawne nazwy szczytu, polską, słowacką i ukraińską: Krzemieniec, Kremenec, Kremenaros.

Pułapki geografii

Wędrówka zaczęła się jednak wcześniej, w dzieciństwie. Od najbliższych wschodnich rubieży Beskidu Żywieckiego, Gorców, Pienin i wreszcie Tatr, które na lata przysłoniły inne polskie góry. Opowieści dziadka przyciągały jeszcze tylko w Bieszczady, po których po wojnie wędrował z siedmioosobową paczką przyjaciół, spotykając po tygodniu pierwszego człowieka, wopistę.

Chęć poznania polskich gór w całej rozciągłości dojrzała długo. Wymagała impulsu i ambicji. Mogłoby ją zaspokoić wej-

*Zjazd po wspinacze na Grani Fajek,
Tatry, październik 2019 r.*

ście na sto polskich gór – pomysł przyszedł razem z jubileuszem stulecia niepodległości w roku 2018. Sto, ale których? Subiektywna lista miała się opierać na obiektywnym geograficznym trzonie.

Geografia gór przedeptanych i opisanych na mapach dziesiątkami tysięcy nazw wydaje się nauką niezmienną i pozbawioną tajemnic. Nic bardziej mylnego – co pokazuje historia „Korony Gór Polski”.

W 1997 r. w miesięczniku „Poznaj swój kraj” geografo- wie Marek Więckowski i Wojciech Lewandowski ogłosili listę najwyższych szczytów pasm górskich Polski. Finalnie, po uwzględnieniu masywu Słęży, objęła 28 szczytów. Krajoznawstwo przeżywało wtedy kryzys, co wytrawniejsi turyści zaczęli poznawać góry świata. Popularne pozostawały Tatry. Korona miała w zamyśle zdwyersyfikować zainteresowanie polskimi górami, odkryć nieodkryte turystycznie pasma i szczyty. Lista uwzględniała szczyty dostępne szlakami, ale miała też uporządkować wiedzę. Zamiast tego wbiła jednak kij w mrowisko rodzimej geografii.

Według autora najbardziej znanej regionalizacji fizyczno-geograficznej Polski, Jerzego Kondrackiego, najwyższym szczytem Beskidu Makowskiego jest nieodległa od Babiej Góry Mędralowa, której próżno szukać na większości map tego pasma. Autorzy „Korony” uznali za najwyższy leżący po drugiej stronie Raby Lubomir. Na teraz sprawę rozstrzyga nowa, korygująca Kondrackiego regionalizacja z 2018 r. Uznała ona prymat Lubomira w Beskidzie Makowskim, zaliczając Mędralową do Beskidu Żywiecko-Orawskiego.

Błędnie umieszczono na liście Góry Bialskie stanowiące część ograniczających Ziemię Kłodzką Gór Złotych. Natomiast pominięto znane co najmniej od średniowiecza, nazywane przez Jana Długosza Montibus Sarmaticis, a później raczej Górami Sanockimi, obecne Góry Sanocko-Turczańskie. Choć i tu spór o miejsce w „Koronie” stoczyłyby dzikie, pozbawione szlaków Jaworniki i zaliczany przez wielu geografów do Bieszczad Trohaniec, kulminacja długiego pasma Otrytu, którego nazwę w ostatnich latach kojarzy się z wycinką, prowadzoną tu bez respektu nawet dla rezerwatu przyrody.

Autorzy „KGP” pominęli pogórza, nawet te przekraczające wysokość 1000 m n.p.m., jak Spisko-Gubałowskie (obecnie Przedtatrzańskie), z rozległą Magurą Witowską. Zignorowali podział na Tatry Wysokie i Zachodnie z najwyższym po polskiej stronie Starorobociańskim Wierchem. No i ulegli czarowi patrzenia na góry jak na tabelę liczb (choć niech pierwszy rzuci kamieniem, kto nigdy nie spojrzał na nie przez pryzmat wysokości).

Wiele sudeckich szczytów z listy nie wytrzymało próby nowych pomiarów. W Górach Wałbrzyskich Borowa zdegradowała zawdzięczając nazwę swojemu kształtowi Chełmieć, uwznioślony przez urodzonego w pobliskim Szczawnie-Zdroju – wówczas Bad Salzbrunn – niemieckiego noblistę Gerharta Hauptmanna, który uważał go w dzieciństwie za kraniec świata i świętą górę. Okazało się, że podwyższający Chełmieć o 18 metrów punkt pomiaru wysokości szczytu umieszczono na XIX-wiecznej, przypominającej ruiny zamku wieży widokowej.

Nowsze pomiary wykazały, że w Górach Bardzkich Kłodzka Góra jest niższa od Szerokiej Góry, której zalesiony wierzchołek ktoś niepozabawiony duchologiczną fantazją oznaczył przybitą do drzewa tablicą z talerza anteny satelitarnej. Jagodną w Górach Bystrzyckich zdezonizował porośnięty świerkowym młodnikiem bezimienny albo po prostu północny wierzchołek góry na mapach mylnie podpisany jako położona trochę dalej Sasanka. Ale najbardziej drwią z „Korony” Góry Kaczawskie, nieznana kraina wygasłych wulkanów, gdzie aż cztery ze starych stożków według różnych pomiarów mieszczą się w przedziale 718–725 m, a według najnowszych – w jeszcze niższym.

Cios na zdobywców najwyższych szczytów (lub ich dublerów) spadł, nieoczekiwanie, od strony uznawanych za jedne z najstarszych w Europie Gór Świętokrzyskich. W listopadzie 2019 r. naukowcy z Politechniki Świętokrzyskiej ogłosili, że najwyższym wierzchołkiem Łysicy okazał się nie ten zachodni, zwieńczony krzyżem i tłumnie odwiedzany, lecz wschodni – położona 700 m dalej Skała Agaty. Przed ponowną wycieczką w Świętorzyskie trzeba poczekać na wytyczenie nowego wariantu szlaku. Ciężkie czasy nastały dla topograficznych purystów i kolekcjonerów szczytów.

A nawet dla artysty. Po tym, jak w sierpniu ogłoszono, że według laserowych pomiarów polski szczyt Rysów ma 2,5 tys. m, syzyfowy trud Adama Rzepeckiego, który od dekad wnosił na szczyt kamienie, żeby podnieść go do rangi dwuipółtysięcznika, okazał się daremny.

Śpieszmy się odwiedzać Sokolicę

Może więc stworzyć nowy górski kanon? Spójrzeć szerzej na polskie góry – ten mikry, obejmujący ledwie 3,3 proc. powierzchni, ale historycznie nieodzowny, sentymentalnie istotny fragment Polski? Bo co to jest – 28 gór? Dla wpraw- nego turysty wyzwanie na rok, a może nawet na jedne wakacje. Dla górskiego biegacza bardziej zadanie logistyczne niż sportowe, bo pomiędzy poszczególnymi pasmami trzeba przejechać nawet 2 tysiące kilometrów. W lipcu Artur Piecha i Andrzej Kowalik, ubiegłoroczni zwycięzcy na dłuższej trasie „Biegu Rzeźnika”, górskiego ultramaratonu, osiągnęli wszystkie wierzchołki w zaledwie 73 godziny i 23 minuty.

Odwrócona liczba szczytów „KGP” to liczba wszystkich (według Międzynarodowej Federacji Związków Alpinistycznych) alpejskich czterotysięczników. To zadanie na całe życie. Łatwiej osiągnąć „Koronę Europy”, 46 najwyższych szczytów i wzniesień poszczególnych krajów, począwszy od Mont Blanc po Wzgórze Watykańskie. Szkoci wchodzą na „Munros”, czyli góry przekraczające 3000 stóp (914 m). Jest ich aż 282 plus 227 pobocznych. Wszystkie te listy mają wspólny mankament – za jedyne kryterium uznają wysokość. Inaczej jest na Tajwanie, gdzie miłośnicy gór zdobywają „Baiyue”, czyli 100 ważnych szczytów wyspy, ale w ich selekcji, poza warunkami geograficznymi – wysokością ponad lub około 3000 m oraz wybitnością – uwzględniono także kryteria nie- ostre: unikalność i piękno.

Podobna setka najważniejszych polskich gór mogłaby objąć te najwyższe zarówno bezwzględnie, jak i w poszczególnych pasmach, te najpiękniejsze, najbardziej znane, wyróżnione lub naznaczone przez naturę, historię, kulturę.



Powinna się w niej znaleźć dzika i odległa Chryszczata, porośnięta gęstym, tajemniczym lasem – dawną kryjówką partyzantów, oddziałów UPA i uciekinierów przed nimi – nosząca na sobie bruzdy trudnej historii, blizny rowów strzeleckich, tych austriackich z 1914 r. i polskich z 1920 r. Ale i osobliwość naturalną – powstała w 1907 r. w wyniku oderwania się jej zbocza Jeziora Duszatyńskie.

Albo Cergowa, górująca nad Duklą, nieco sennym miasteczkiem – bohaterem książki Andrzeja Stasiuka, który dostrzegł w kształcie góry odbicie Sorakte z „Krajobrazu z tańczącymi” Claude’a Lorrain’a. Zawdzięcza go północno-wschodniemu zbocz, chyba najbardziej stromemu w całych Beskidach, bardziej niż zbocze Lackowej opadające ku przełęczy Beskid czy stoki Ćwilina piętrzące się nad przełęczą Gruszowiec.

Nie pominąłbym już Szczebłą, który mijalem setki razy zauważając przecież w drodze z Krakowa do Zakopanego jego potężną sylwetę. Ani Leskowca, który w całym nadmiarze szlaków papieskich w polskich górach jest najbliższy źródeł turystycznych pasji Karola Wojtyły, a nawet ma za sąsiada Groń Jana Pawła II. Ani też położonej na granicy polsko-czeskiej Borówkowej – w latach 80. miejsca konspiracyjnych spotkań działaczy Polsko-Czechosłowackiej Solidarności z udziałem m.in. Václava Havla i Jacka Kuronia.

Śpieszmy się odwiedzać też Sokolicę, póki żyje sosna reliktowa, symbol uszkodzony dwa lata temu w wyniku akcji ratunkowej z użyciem śmigłowca, a także wyrastający ponad Śnieżne Kotły w Karkonoszach Wielki Szyszak, na którym stoi jeszcze ruina pomnika cesarza Wilhelma I.

Umieściłbym je też wśród najpiękniejszych polskich gór obok Trzech Koron, Szczelińca Wielkiego i dostępnych tylko wspinaczkowo tatrzańskich turni: Mnicha, Żabiego Konia, Wierchu pod Fajki. Nazwa tego ostatniego, sąsiadującego z Granatami, odnosi się do przypominających piszczałki organowe turniczek w Grani Fajek. Podążając nią wypatruję miejsca, w którym mogła stać jedna z fajek urwana w 1944 r. przez bombę, której pozbyła się amerykańska latająca forteca „Miss Behaven” uszkodzona podczas nalotu na śląską fabrykę. Wspinaczka ostrą jak siekiera wschodnią granią Żabiego Konia przywołuje z kolei niezwykłą historię jego zdobycia. 11 września 1905 r. schodzący z Rysów Janusz Chmielewski i Klimek Bachleda nadali mu nazwę, a Klimek ocenił: „Jesce się tyn nie urodził, co by na te turnie wyloz”. Dzień później rozprawili się z nią monachijszyk Simon Häberlein i zabrzanka Katherine Bröske.

Mania udostępniania

W ostatnich latach polskie góry stały się ofiarami własnej popularności. W Tatrach tłok panuje już nie tylko latem i nie tylko na tradycyjnie obleganych szczytach – Giewoncie, Kasprowym i Rysach – co wszak bywało już w latach 50. „Uprawiałem wtedy tatarnictwo. Deptałem więc z kolegami okolicę Granatów, Kościelca, Kozich Wierchów i Mnicha – pisał w ankiecie »Tygodnika Powszechnego« ks. Józef Tischner – A ponieważ takich jak ja było wielu, trzeba było niekiedy

Z Polski można zobaczyć Alpy.

Ze Śnieżnika widać austriackie masywy Schneeberg i Rax, oddalone o prawie 300 kilometrów.

stać w pokaźnej kolejce, by wyjść, na któryś z wymienionych szczytów”.

Na wierzchołku Mnicha, który rozbudza wyobraźnię kolejnych pokoleń taterników i przewodników, miejsca starcza dla zaledwie kilku osób, co latem uzasadnia kolejkę zespołów oczekujących do wejścia na łatwiejszą drogą na szczyt. Ale w ubiegłym roku zaskoczyła mnie ona także w zimną listopadową sobotę, gdy na Mnichu panowały już wczesnozimowe warunki i wiało tak, jak mogło w 1942 r., gdy wiatr zrzucił ze ściany umieszczoną na niej przez Niemców drewnianą swastykę, której mocowanie poluzowali uprzednio nocą Czesław Łapiński i Kazimierz Paszucha.

Przed napierającą cywilizacją Tatry i inne pasma bronią jeszcze parki narodowe. Wiele szczytów przypomina górskie przyczółki znajdujących się pod nimi miejscowości, stanowiąc odbicie nieładu ich zagospodarowania przestrzennego. To nie razi na Szyndzielnii, jedynej ponad tysiącmetrowej górze leżącej w granicach stutysięcznej Bielsko-Białej. Przyzwyczailiśmy się do tego na najwyższym w Beskidzie Śląskim Skrzycznem, na którego szczycie znajdują się: schronisko, stacja narciarska, basen dla dzieci, ścianka wspinaczkowa i boisko. I na najbardziej chyba przekształconej przez człowieka górze Żar, gdzie na ściętym uprzednio szczycie znajduje się zbiornik elektrowni szczytowo-pompowej. Tłumy wywozi do góry kolejka podobna do tej na Gubałówkę, a spod szczytu startują paralotniarze.

Polskie góry opanowała mania udostępniania, tym razem w wersji późnego kapitalizmu. Jej symbolem nie są już powstające na szczytach schroniska – nie licząc tego planowanego na Lubaniu – tylko wieże widokowe. Czasem, jak te gorczańskie (Lubań, Gorc), mocno ingerujące w krajobraz, wyglądające z daleka na warowne wieże, a z bliska na wielkie ambony myśliwskie służące do łowów na wrażenia, widoki, zdjęcia. Podobna powstaje na Orlicy w Sudetach, gdzie dominują bardziej fantazyjne w formie stalowe konstrukcje na Borowej, Trójgarbie i Jagodnej. W sierpniu otwarto kolejną – na Kłodzkiej Górze.

Gminy inwestujące w tego typu konstrukcje chwają się „nową atrakcją turystyczną na szczycie”, tak jakby same góry, nawet jeśli pozbawione widoków, nie były wystarczająco atrakcyjne. A las, przyroda, cisza, które oferują, nie były dostateczną nagrodą za wysiłek ich osiągnięcia.

Na najwyższej w Beskidzie Sądeckim Radziejowej otwarto w tym roku nową wieżę odbudowaną po tym, jak pierwsza padła ofiarą pioruna, druga zaś grzyba – niszczycy płotowej. W czasie wieżowego wakatu na pozbawionej rozległych widoków, porośniętej lasem górze panował zadziwiający spokój nawet w letni weekend, a poszukiwanie najwyższego punktu na wierzchołku uatrakcyjniało popołudniowe światło przebijające się przez gęstwinę.

Alpy na horyzoncie

Na najbardziej znanych polskich szczytach spokój i cisza są rzadkie i sezonowe. Najlepiej szukać ich jesienią. Kiedy porastający Tatry Zachodnie sit skucina farbuje na rudo Czerwone Wierchy i inne szczyty. Kiedy idąc lub biegnąc



Góra Żar, październik 2019 r.

– bo biegi górskie są alternatywną formą smakowania gór i przestrzeni – na najwyższy w Beskidzie Małym Czupel brodzi się w szeleście bukowych liści. Kiedy oglądana ze ścieżki rowerowej między Mochnaczką a Izbami Lackowa mieni się jak kolorowa mozaika. A październikowe barwy pustego lasu na Magurze Małastowskiej i głęboki mrok listopadowego zmierzchu na Rotundzie budują mistyczną atmosferę wokół ułożonych na szczytach tych gór cmentarzy wojennych projektu Dušana Jurkoviča. Kiedy też wreszcie na znaczony wilczym śladem drodze z Jamnego na Gorc pod koniec listopada pokonuje się dystans między ostatecznym schyłkiem lata a leniwym początkiem zimy.

Góry często odkrywają swoje piękno w niestandardowych porach roku, dnia i przy różnej pogodzie. Na Śnieżce nawet z początkiem grudnia, przy wietrze osiągałym 115 km/h nie doświadczyłem dzikości. Ale to właśnie huraganowe wiatry, z których słynie najwyższy szczyt Karkonoszy, oblepiające zimą śniegiem i szronem ściany kaplicy św. Wawrzyńca oraz dawnej restauracji i obserwatorium, tworzą z ich ascetycznego baroku i urbeksowego socyfuryzmu spójną estetyczną kompozycję.

Na Śnieżnik, także podług nazwy, najlepiej wybrać się w mroźny, zimowy dzień. 2 stycznia tego roku po zachodzie słońca Krzysztof Strasburger, naukowiec z Politechniki Wrocławskiej, dowiódł, że z Polski można gołym okiem

zobaczyć Alpy. Z dawnego niemieckiego Schneebergu sfotografował austriackie masywy Schneeberg i Rax oddalone o 281 i 292 km.

Żeby odnaleźć prawdziwą pustkę, trzeba było przekroczyć granice kraju. Wjechać na rowerze od słowackiej strony na niemal bezludną, i to w długi sierpniowy weekend, Magurę Witowską. Wspiąć się samotnie od tej strony oznaczoną kamiennymi kopczykami najłatwiejszą „drogą po głazach” na Mięguszowiecki Szczyt Wielki, drugi co do wysokości szczyt Polski, który w południowym słońcu rzuca razem z sąsiadami monstrualny cień pożerający Morskie Oko jak placek. W upalny październikowy dzień na szczycie spotkałem tylko częstujących meruńką – morelową wódką – Słowaków.

Wreszcie – trzeba było wybrać się z Ukrainy na niedostępny od naszej strony Opołonek. W latach 20. XX w. wchodził tam Józef Piłsudski z dziećmi, dziś to teren Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Formalnie potrzeba było pozwolenia ukraińskiej straży granicznej. Nieformalnie wystarczył telefon wykonany przez recepcjonistę z hotelu w Wołosiance. Na granicznej grani nadal wznoszą się jeszcze resztki zasieków radzieckiej систeimy – płotu z drutem kolczastym pod niewielkim napięciem. Pół dnia spędzone na najdalej na południe wysuniętym polskim szczycie było podróżą w czasie w góry sprzed 60 lat, znane tylko z dziadowych opowieści.

© (P) BARTEK DOBROCH

STANISŁAW

Mancewicz: Nadszarpnięcie



WYPADA ZAUWAŻYĆ, ŻE JEŚLI IDZIE O NAD-reprezentację cokolwiek bredzących osobników u władzy, to nie zostaliśmy w tyle światowych trendów. Jesteśmy – rzecz trzeba – w awangardzie. Ilość bredni głoszonych z niepokojącymi mianami, na dowolny temat, publicznie, z flagami państwowymi w tle, budzić musi niepokój. Oczywiście tylko u obywateli jako tako trzeźwych, będących przy zdrowych zmysłach, niepopadających z byle jakiego powodu w histerię, umiejących pisać i czytać ze zrozumieniem. Człowieka zaczynają jednak męczyć przeczucia, że takich ludzi jest już wokół bardzo mało. Że to są jakieś niedobitki, że może wypadałoby dla takich budować rezerwaty, karmniki, stawiać poidelka i lizawki.

Popatrzymy – oto wysoki urzędnik państwa polskiego lęka się zjedzenia przez cudzoziemców, inny przestrzega nieletnich przed zażywaniem tabletek zmieniających płeć, kolejny trzęsie się nad informacjami dotyczącymi rozmnażania człowieka, następny otwiera szeroko oczy, bo usłyszał o obyczajach erotycznych uznawanych przez naukę od dziesięcioleci za oczywiste i raczej umiarkowanie ciekawe. Wypada, zdaje się, głośno powiedzieć, że jesteśmy w rękach nowych ludzi, żyjących nie tylko w świecie rozdzierającego nieuctwa, braku elementarnych informacji, cierpiących na straszliwe i najdziwniejsze obsesje erotyczne, ale i spożywcze, bądź też wypowiadających najgłupsze opinie na tematy medyczne, fi-

zyczne i metafizyczne. Dlaczego akurat oni są u władzy, a nie ci mający cokolwiek mądrego do powiedzenia i zrobienia? Bardzo są to cacane pytania, stawiamy je sobie ciągle, co dzień niemal, i co dzień pękamy ze śmiechu nad własną pocziwością, jakąś taką delikatnością i naiwnością, o cośmy się nie podejrzewali w najbardziej romantycznych wyobrażeniach na własny temat, w chwilach nielicznych przecież uniesień czy w snach autoerotycznych.

Spróbujmy tu, w tym momencie, dla sportu oczywiście, pomniemać jednak sekundę nad – nie krepujemy się użyć tu tego słowa – fenomenem, czyli delegowaniem przez masy do władzy ludzi najgłupszych.

Niestety musimy tu wyrzec pewną oczywistość. Otóż niechybnie umysłowość ludzi władzy, a tym samym poziom, na jakim owi władzę pełnią, wynika ze stosunku ogółu do swych elit. Byłoby bardzo łatwo powiedzieć, że przyznawanie się do bycia członkiem elity jest dziś wyznaniem o tyle ryzykownym, że masy mają do elit stosunek zły. I są to masy wszelkie – i pisowskie, i niepisowskie. Słowo „elita” stało się więc wyzwiskiem – ktoś to nieźle wymyślił – i tu już nic poradzić się nie da. Ktoś powie, że elity sobie zasłużyły. Czymkolwiek, bo wciąż czytamy o nowych powodach, a jest ich dziś bez liku i na tyle dużo, że straciliśmy orientację, i wydaje się, iż to jednak jest już histeria. Stańmy w prawdzie. A więc nawet jeżeli elity krzywdzą umiłowane masy, to ceną za elit eliminację jest właśnie minister bojący się kanibali, który uważa zoofilię za bardzo poważny problem, chyba cywilizacyjny, a może kulturalny – trudno nam było wybać, jaki, co mu w oczy zajało. Wybór – trzeba rzec głośno – jest bardzo prosty. Albo mamy ministra spraw zagranicznych, którego można wsadzić bez obaw do samolotu, by poleciał pogwarzyć w jakimś cywilizowanym kraju o tym i owym, może być i o niczym, albo lepiej nie ryzykować – jak to się teraz mówi – nadszarpnięcia wizerunku Polski we wszechświecie, na co zdaje się jest już paragraf. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



COPERNICUS FESTIVAL: CZAS

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

06-11.10



PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

Jesienny Przekrój już jest!

REKLAMA



Numer dostępny
również w pakiecie
z zeszytem
z krzyżówkami.

Kup na **przekroj.pl**